

Anty nC+: siła
oburzonych → 28

Paul Krugman
ma rację → 32

Smog dusi
Kraków i Śląsk → 40

PRZE KROJ

nr 14 (3533), 8 kwietnia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Naćpani jak Słowacki

Kamil Sipowicz o wieszczu → 16

Modna ayahuasca → 6

Hiperreal.info → 12

DEKS
1424

ISSN 0033-2488

14 >

„Przekroj” ukazuje się od 1945 roku



Jazz to wolność
Pomyśl o tym

Thelonious Monk

Bilety:

www.ticketportal.pl
www.ticketpro.pl

oraz w miejscach koncertów

26
kwietnia
piątek

18.30 **New Tide Orquesta**
Kinoteatr Rialto

21.00 **Tie Break & Michał Urbaniak**
Kinoteatr Rialto

22.30 **Jon Irabagon Trio**
Jazz Club Hipnoza

27
kwietnia
sobota

18.30 **Erik Truffaz4tet**
Kinoteatr Rialto

20.30 **LedBib + Elektro Guzzi**
Jazz Club Hipnoza

22.00 **ImproGraphic**
Scena Gugalander

28
kwietnia
niedziela

18.30 **Julian Gembalski + Hob-Beats**
Kinoteatr Rialto

20.30 **Roberto Fonseca**
Jazz Club Hipnoza

22.00 **Boeing**
Scena Gugalander

29
kwietnia
poniedziałek

20.30 **Weston-Gembalski-Majchrzak Trio**
Scena Gugalander

19.00 **Projekcje filmowe**
Jazz Club Hipnoza

30
kwietnia
wtorek

18.30 **Manu Katché 2013**
Kinoteatr Rialto

20.30 **Sons of Kemet**
Jazz Club Hipnoza

21.00 **Jakub Kościuszko**
Katofonia

22.00 **Das Quartet**
RajzeFiber

1
maja
środa

20.30 **Jan Garbarek & The Hilliard Ensemble**
kościół św. Ap. Piotra i Pawła

22.00 **Burnt Friedmann&Jaki Liebezeit**
Jazz Club Hipnoza

**PRZE
KROJ**

W tym tygodniu nie piszemy...

...o Piotrze Tymochowiczu, który chce pozwać Google na rekordową w Polsce kwotę 20 milionów dolarów. Powód? Strony wysoko pozycjonowane w wyszukiwarce przedstawiają pana Tymochowicza w złym świetle. Gdyby kózka nie ślakała, nie zgubiłaby nóżek.

...o Angeli Merkel, która miała pozwać do sądu zdjęć w stroju Ewy. Woli ją jednak w stroju Angeli.

...o posłance Sobeckiej, która złożyła w parlamencie ponad 650 identycznych interpelacji. Chyba nie zna powiedzenia, że lepiej raz, a dobrze. I może to dobrze dla nas.

...o najnowszych badaniach CBOS, z których wynika, że trzy czwarte Polaków źle ocenia działalność Sejmu, a ponad połowa - Senatu. To najgorsze notowania obu izb w tej kadencji. Aż dziw bierze, że Polacy są tak wyrozumiali.

...o rekordzistce z Goleniowa. Kiedy zatrzymała ją odpowiednie służby, miała we krwi 10 promili alkoholu. Podwójna śmiertelna dawka nie zepsuła jej samopoczucia.



ZUZANNA ZIOMECKA

Siedziałam w pracowniczego stołówce, czytając tekst o katastrofie w łańcuchu pokarmowym oceanów (str. 70), gdy dosiadł się do mnie kolega redaktor z innego tytułu. Nasza rozmowa wyglądała tak, jakby jedna strona - siedząc pod parasolką podczas ulewy - uparcie twierdziła, że wcale nie pada. Chociaż argumenty podważające naukowe prognozy o klęsce ekologicznej miewają urok anegdoty, już nie można ich traktować jak wróżenie z fusów. Te prognozy spełniają się na bieżąco. Wymieranie z głodu dużych gatunków morskich nie jest zwiastunem horroru klasy B, który niebawem będzie wyświetlony w kinach, tylko wydarzeniem rozgrywającym się na naszych oczach u wybrzeży Kalifornii w tym i ubiegłym tygodniu. Foki dopływające tam z trudnością umierają z głodu, gdyż odłowiliśmy niemalże do wyginięcia ryby, którymi się żywią. O śmierdzących skutkach palenia śmieci i spalin samochodowych też nie ma co dywagować. W Krakowie, Rybniku i wielu miejscowościach na Śląsku smog definitywnie dusi mieszkańców (str. 40). Podczas pracy nad narkotycznym tematem numeru (str. 6-18) przyszło mi do głowy, że polskie zamiłowanie do narkotyków może być kolejną formą ucieczki od świadomości, że zaczynamy się zatruwać własnym bałaganem cywilizacyjnym. Jest pewnego rodzaju poetycka ironia w tym, że w duchowej ucieczce (lub, jak twierdzą zwolennicy narkotycznych eksperymentów, w przebudzeniu) pomaga nam właśnie przyroda, w postaci roślin halucynogennych.



MARCIN PROKOP

Toniemy w oceanie informacji, a jego fala ciągle wzbiera w nieprawdopodobnym tempie (str. 48). Według szacunków większość danych dostępnych na świecie zostało wygenerowanych i zarchiwizowanych w ciągu zaledwie ostatnich pięciu lat. Pojawiają się teorie, że w samym tylko Internecie - paradoksalnie - znajduje się aktualnie więcej odpowiedzi niż pytań. Jakiś czas temu grupa naukowców wysnuła nawet dość efektowne przypuszczenie, że można by wykonypować lekarstwo na raka, jeśli się wstukało w wyszukiwarce odpowiednie zapytania, tylko trzeba jeszcze wpaść na pomysł jakie. Za pomocą Internetu zrzesza się również co najmniej kilka grup, których członkowie regularnie poddają się rozmaitym drobiazgowym badaniom lekarskim, tworząc na ich podstawie rozbudowane bazy danych. Po co? Tego jeszcze do końca nie wiedzą, ale wierzą, że zgromadzone w ten sposób zasoby z pewnością kiedyś się komuś przydadzą. Wniosek? Zwycięzcami w globalnym wyścigu zostaną nie ci, którzy potrafią informację zdobywać i dostarczać (a więc m.in. media), ale ci, którzy ją najskuteczniej przetwarzają. Powstające w tym celu narzędzia i perspektywy z nimi związane sprawiają, że z cywilizacyjnego punktu widzenia lądowanie człowieka na Księżycu przy tym, co ma dopiero nadejść, to pikus.

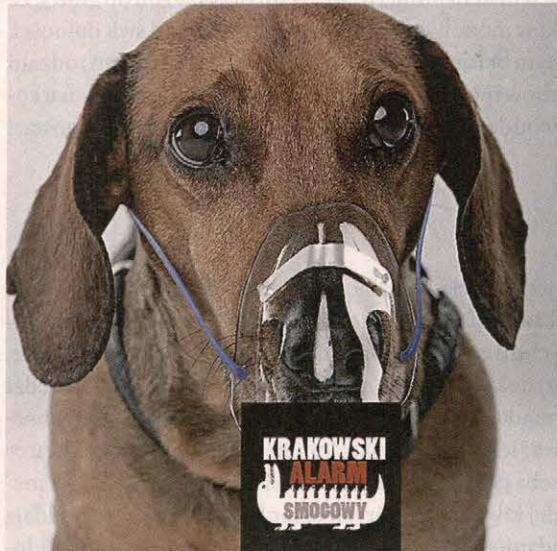


AKTUALNOŚCI

- 6 → **NARKOTYKI** Roślina ma swoje plany Urszula Jabłońska
- 12 → **NARKOTYKI** Polska narkotyczna Jerzy Ziemacki
- 16 → **NARKOTYKI** Słowacki wieszczem był. I ćpał
Z Kamilem Sipowiczem rozmawia Jacek Tomczuk
- 20 → **ŚWIAT** Agenci pod damskim butem Monika Libicka
- 22 → **ŚWIAT** Trzeciej wojny światowej nie będzie Nicolas Levi
wyjaśnia, dlaczego nie warto się bać Korei Płn.

GRUBE SPRAWY

- 28 → **ANTY NC+** Cyfrowa lawina Janina Blikowska
- 32 → **STREFA EURO** Euro może poczekać Z brytyjskim ekonomistą
Bobem McKee rozmawia Grzegorz Siemionczyk
- 36 → **SERIALOHOLICY** Życie w odcinkach Olga Świącicka
- 40 → **ŚRODOWISKO** Smog wawelski Anna Sańczuk

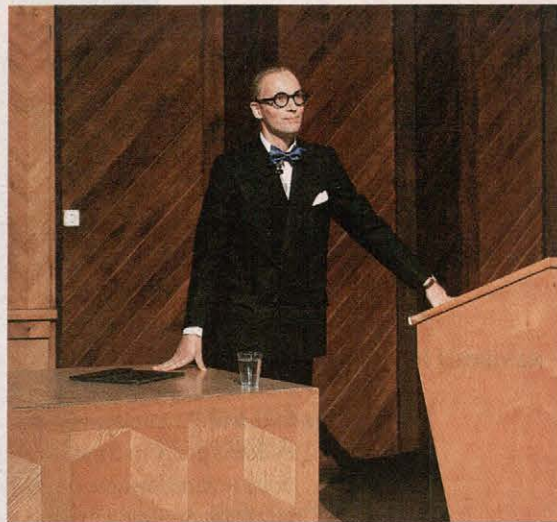


- 44 → **ODPIS PODATKOWY** Jednoprocentowe dary serca Joanna
Ćwiek i Janina Blikowska przekonują, że warto być hojnym
- 48 → **TECHNOLOGIE** Zapomnijcie o anonimowości
Bankomat, komórka i tablet to maszyny do szpiegowania,
pisze Robert Horbaczewski

RACZKOWSKI



KULTURA



MICHAŁ DĄBROWSKI

- 52 → **ARTYSTA** Studium kopii i symbolika władzy Jacek Tomczuk
- 56 → **KINO** Kiedy niewidomi widzą więcej Z reżyserem
Andrzejem Jakimowskim rozmawia Monika Brzywczy
- 62 → **MUZYKA** Nie jesteśmy góralami Z Tomkiem Szpaderskim
o polskiej muzyce na świecie rozmawia Angelika Kucińska
- 66 → **LITERATURA** Chiny x 2 Jacek Tomczuk
- 68 → **LITERATURA DLA DZIECI** Recenzje

ROZMAITOŚCI

- 70 → **PLANETA** Wielka woda umiera Krzysztof Kowalski
- 74 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Novika Monika Brzywczy
- 76 → **PIERWSZA PRACA** Drumla, papuga i skrety Adam Wajrak
opowiada duetowi Bartosiak & Klinke, jak zarobił na goldeny
- 78 → **PO-PATRZ** Z opery na talerze Kuba Dąbrowski
- 80 → **WINA** Uzdrawianie korka Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 19 → **SYLWIA CHUTNIK** Palę miasto
- 25 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Tłuste koty i minister
- 60 → **MACIEJ NOWAK** Frau Jelinek, Ruhe!

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
22 463 03 00, www.przekroj.pl
e-mail: doredakcji@przekroj.pl
Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)
Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska
Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnaoka
Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Wojciech
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szablowski, Mike Urbanik,
Jerzy Ziemacki
Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnaoka
Korekta: Dominika Stepieli,
Agnieszka Ujma
Strona internetowa: KRCMedia.pl
Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski - p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Beres
(p.beresa@rp.pl)
Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl
**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński**
tel. 22 463 05 53
**Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert**
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje:
tel. 800 120 195; 22 463 00 87
Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18
www.prenumerata.ruch.com.pl
urzędy pocztowe
Prenumerata na e-Wydanie:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl
Dostęp na stronie www i wersje na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,
rok – 19,99 €
Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwis@przekroj.pl,
tel. 22 46 30 066

Zdjęcie na okładce:
Reprodukcja Piotr Meck/FORUM

**Bloomberg
Businessweek**

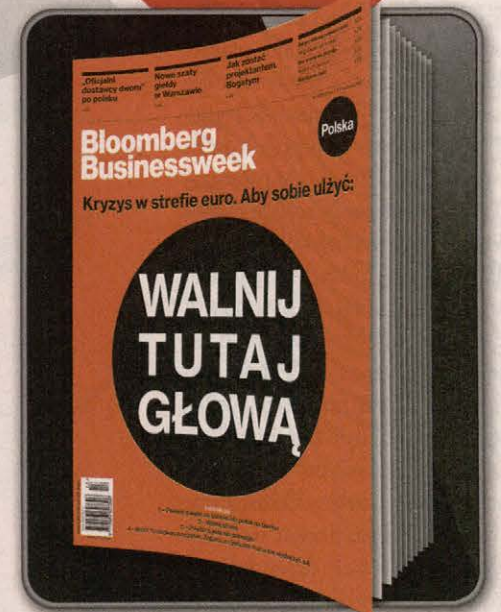
Knowhow
i sprawdzona
metodologia

Polska

Biznes
i gospodarka
świata

Biznesplan
na tydzień

Najważniejszy
dla nas jest
rynek polski



**Bloomberg
Businessweek**

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

URSZULA JABŁOŃSKA, ILUSTRACJE KAROL BANACH

Roślina ma swoje plany

Za 100 euro można poznać prawdę. I odmienić własne życie. Wystarczy spotkać się z południowoamerykańskim szamanem, wypić parę kieliszków **ayahuaski**, zwymiotować i oddać się we władanie wizjom.

Sala była z tych beżowych, bo na co dzień odbywały się w niej szkolenia firmowe dla pracowników. Tym razem nie było w niej jednak krzesełek ani ekranu do prezentacji w PowerPoincie. Na środku stał ołtarz z kamieni, świętych roślin i kolorowych piórek, wokół porozkładane były egzotyczne instrumenty. Skrzypnęły drzwi i świta weszła do sali. Najpierw Holendrzy. Jeden wyglądał jak surfer: opalony blondynek, długie włoski falowane, uśmiechnięta twarz. Drugi posepny i tajemniczy, nie odzywał się, tylko patrzył przenikliwie. Za nimi wszedł szaman z Ekwadoru i jego syn-pomocnik. Indianie byli niewyjściowi, w spranych dżinsach i koszulach, żadnych tam pióropuszcach. Przynieśli ze sobą roślinę, którą zerwali na Polu Mokotowskim. Szaman wyjaśnił, że w każdym kraju rosną święte rośliny, więc nie musi ich ze sobą wozić po Europie. Natomiast ayahuaski nie ma, więc musiał ją przywieźć z Ekwadoru w dwóch dwulitrowych butelkach po coli.

Indianie przylecieli do Europy na dwa miesiące, żeby poprowadzić 50 ceremonii ayahuaski. W Polsce trzy. Całość trwała trzy dni, można było przyjść na jeden albo na wszystkie. Każdy dzień kosztował 100 euro. Na sali osób było 20, raczej znajomi znajomych, bo nie ma ogłoszeń w Internecie, na ceremonię nie trafiają ludzie z przypadku. Byli wszyscy

– od studentów w dredach po panie około sześćdziesiątki, które namiętnie ćwiczą jogę. Ciężko było stwierdzić, kto jest kim, bo wszyscy w dresach i wełnianych skarpetkach, każdy ze swoim kocykiem i karimatką.

Holendrzy rozdali plastikowe miseczki. Ostrzegli, że będzie rzyganie, ale żeby się tym nie przejmować. Im więcej i głośniej, tym lepiej, byle do miseczek i nie stresując innych. Potem był krótki wstęp o tym, że może się nie wydarzyć absolutnie nic, a możemy mieć niezwykle doświadczenie. I o tym, że cokolwiek by się działo, całkowicie ufamy roślinie. Roślina jest potężniejsza od nas i wobec każdego ma swoje plany.

Wejście

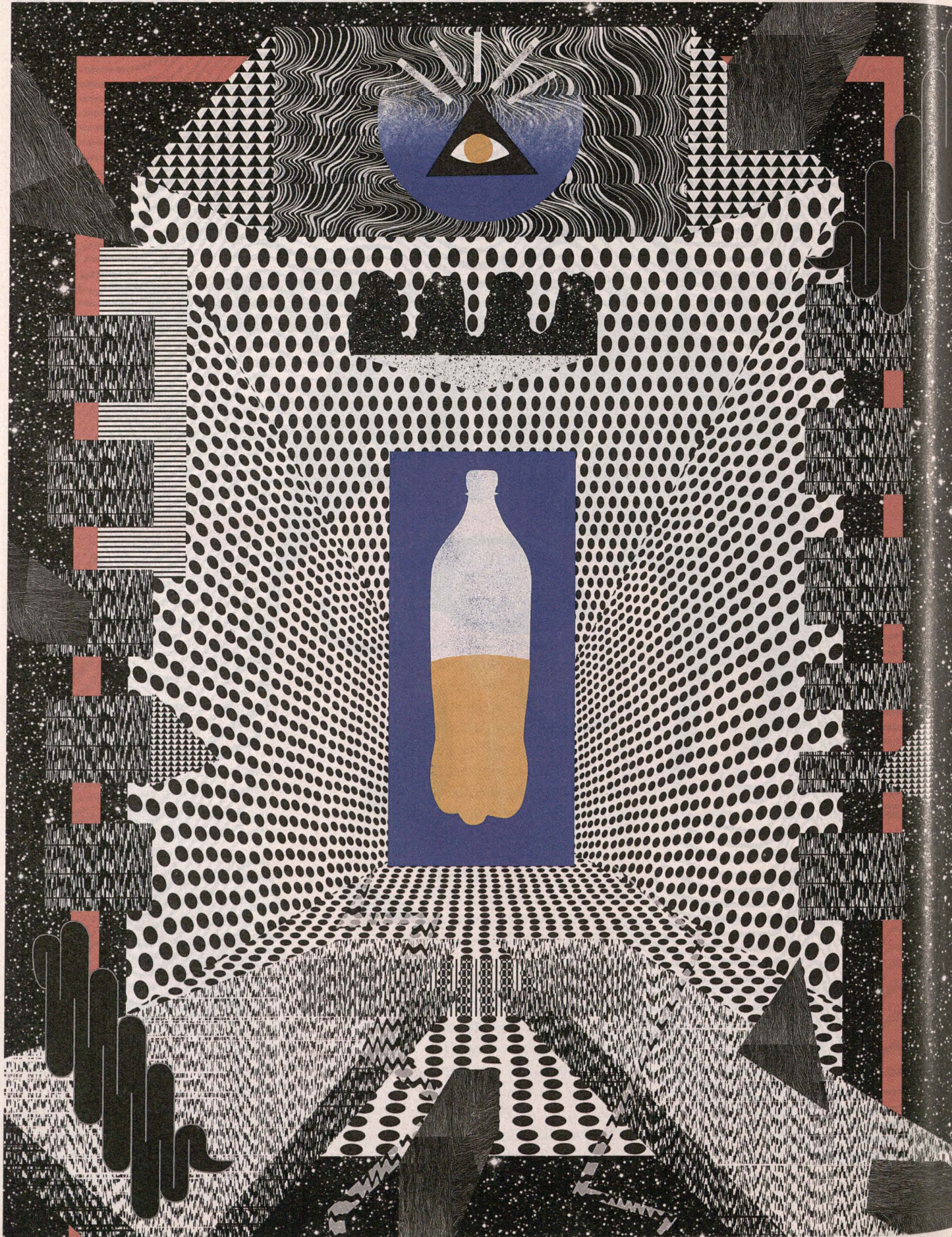
Jednak zgromadzeni też mieli swoje plany wobec rośliny. Mariusz, weterynarz, na ceremonię przyjechał w konkretnym celu – żeby się dowiedzieć, dlaczego jego gabinet weterynaryjny nie rozwija się tak szybko, jak by tego chciał. VIP swoje motywacje wyjaśnił krótko: „Od 10 lat brak mi głębi uczuć”. Irena, Ukrainka z Holandii, wyznała: „Moje życie było bardzo szare – aby do lata, a później do zimy. Codziennie nic nie przynosiła – praca, dom i taka pustka”. Kasia, eksgwiazdka filmowa, obecnie pracowniczka reklamy, i Adam, przedsiębiorca roku, szukali ratunku dla swojego małżeństwa: „Przy-

jechaliśmy strudzeni sobą. Nie przez brak miłości, raczej przez brak zaufania do siebie, niewyobrażalne lęki i obawy. Wiele miesięcy terapii, rozmów, awantur, odchodzenia, powrotów... Marzyliśmy o cudzie, ślubie duchowym, wskazówce”. Krystian, operator filmowy po operacji raka mózgu i chemioterapii, myślał, że na ceremonii dostanie konkretne podpowiedzi, co i jak budować od nowa. Mateuszem, pracownikiem firmy konsultingowej, powodowała głównie ciekawość, ale chyba liczył, że uda mu się nawiązać kontakt z tragicznie zmarłym bratem. Tomek, przyszły aktor, lat 21, przyjechał z matką: „Czuła potrzebę wzięcia udziału, a ja z ochotą dołączyłem. Nie miałem wielu problemów, no, może oprócz tego, że jeszcze nie miałem dziewczyny”.

Trip nr 1 – Psycholog

Szaman i syn rozlali brązowy płyn z plastikowych butelek do kieliszków po wódce. W smaku gorzko-kwaśny, jakby sfermentowany. Wszyscy wypili po pierwszym, położyli się na kocykach. Światło przygasło, pomocnik zaczął grać na jakimś instrumencie szarpanym. Po chwili szaman powiedział, że jak ktoś ma ochotę na więcej, to zaprasza. Nie trzeba się bać, że wypijemy za dużo. Jeżeli roślina uzna, że ktoś już więcej nie potrzebuje, po prostu nie będzie mógł podejść albo od razu zwró-





ci. Większości wystarczył jeden kieliszek – zaczęli wymiotować właściwie od razu.

Marcin, psycholog, lat 33, musiał wypić cztery czy pięć kieliszków, zanim się na dobre zaczęło. Może dlatego, że kiedy był młodszy, cenił sobie grzyby halucynogenne? Ale nie imprezowo, bardziej dlatego, że dawały mu dostęp do czegoś ponad codziennością, ponad „rzeczami, które dziś są, a jutro ich nie ma”. Na studiach zrezygnował z dragów i zainteresował się szamanizmem, czytał Carlosa Castanedę. Odkrył, że kontakt z tym czymś można nawiązać na różne sposoby. Zaczął medytować. Tylko że medytacja to długa i mozolna droga, a on wolał olśnienia. W końcu wciągnęły go inne sprawy – rozwój zawodowy, pieniądze, zajął się też muzyką. O ceremonii indiańskiej z ayahuasą powiedziała mu koleżanka z Londynu. Natychmiast się zdecydował.

Marcinowi roślina postanowiła pokazać, czym jest miłość i dlaczego jest najważniejsza. Na początku, leżąc na kocyku, zastanawiał się nad tym, dokąd zmierzana nasza cywilizacja. Uważnie przyglądał się Indianom i czuł wielką przepaść między tym, jak żyją oni, a jak my. Są tak blisko natury, a my to straciliśmy. Zaczął rozumieć, co to znaczy, że szaman poszedł do parku i dogadał się z roślinami. Indianie wierzą, że wszędzie są duchy, które decydują o tym, co się dzieje. Dlatego roślina na ceremonii musi być lokalna, bo tu są inne duchy niż w Ekwadorze. Obserwował szamana i był pod wrażeniem szacunku, z jakim podchodzi do ayahuaski, kiedy podnosi do góry butelkę z napojem i przygląda się, ile go zostało. Pomyślał, że chciałby mieć taki szacunek do czegośkolwiek na świecie.

W pewnym momencie usłyszał piękne dźwięki, jakby dzwoneczki. Ich brzmienie pociągnęło go do góry. W ciele pojawiły się drgania – zaczynało się w kroku, potem przechodziło przez brzuch, serce, gardło i głowę. Drgania przeszły w odczucie, jakby słup energii z dolnych części ciała eksplodował w górę. Wibracje ustały, pozostała tylko ta w sercu, a z niej zaczęła wypływać bar-

☞ Marcinowi roślina postanowiła pokazać, czym jest miłość i dlaczego jest najważniejsza.

dzo przyjemna energia. Marcin jako psycholog boi się nazywać pewne rzeczy, ale gdyby zapomniał, że jest psychologiem, to by powiedział, że poczuł pierwotną miłość. Nie do kobiety, nie do rodziców, tylko taką uniwersalną, silniejszą niż wszystkie negatywne emocje, taką, która rozpuszcza zło. I wyraźnie poczuł, że nie ma w życiu nic ważniejszego niż ta miłość.

Zaczął myśleć o wartościach w swoim życiu. Zorientował się, że większość czasu – rozmów, kontaktów z ludźmi, myśli – poświęca zarabianiu pieniędzy. Przypomniał sobie ideały, plany, marzenia sprzed 10 lat, kiedy obiecywał sobie, że tak nie będzie. Specjalnie wybrał zawód psychologa, żeby nie biegać do firmy od 8 do 16. Poczuł, że musi mieć więcej czasu dla siebie i bliskich. Zaczął też myśleć o rodzinie, analizować, jak często się z nimi widuje. No, nie za często, bo go irytują. Wciąż pytają: „Czy nie powinieneś mieć żony?”, „Czy w twoim wieku można nosić czerwone spodnie? Nie powinieneś się ubierać w garnitur?”. Zwłaszcza dziadek. Więc Marcin zwykle się denerwuje i krzyczy, żeby się dziadek nie wtrącał. Leżąc na tym kocyku, wyraźnie poczuł, że to są najbliżsi mu ludzie na świecie. Zrozumiał, że będzie dalej się z nimi spierał o różne kwestie, ale to w żaden sposób na tą bliskość nie wpłynie. Po co się denerwować? Przecież może spokojnie wytłumaczyć dziadkowi, że moda się zmieniała.

Marcin z perspektywy czasu ocenia: – To były doświadczenia, a nie przemyslenia, więc natychmiast stawały się częścią mojego postrzegania. Wcześniej miałem podobne przemyslenia, ale nie powodowały zmiany w percepcji świata. Te doświadczenia były w sferze emocjonalnej, duchowej, na którą ciężko jest inaczej wpłynąć. Wiem, że to są rzeczy, które można osiągnąć dzięki terapii, ale ja ich nigdy nie osiągnąłem. Terapia jest



bezcenna, ale długo trwa. A te wglądy były spektakularne, spowodowały zmiany w moim życiu.

Przyszedł bardzo fajny dystans. Wcześniej Marcin wszystko przeżywał na 100 procent – jak lęk, to lęk, jak złość, to złość. Teraz mniej rzeczy go wyprowadza z równowagi. Zdarza mu się wściec, ale złość szybciej przechodzi. Pojawiają się emocje, spięcie w ciele, ale towarzyszy temu spokój, którego wcześniej nie miał. Jakby negatywne emocje nie miały już w nim zaczepienia.

Po ceremonii próbował jakoś określić to uczucie miłości, którego doświadczył, odnieść do czegoś. Najbliżej było mu do tego, co głosił Jezus. Kiedy wczytał się w Biblię, rozumiał, że jej sens to jest właśnie to, co przeżył. To oczywiście nie znaczy, że zacznie chodzić do kościoła, bo nie uznaje obrządku katolickiego. – To był kontakt z jakością, która nie pochodzi ode mnie, ale mam do niej dostęp. Bóg? Boga bym w to nie mieszał. Wierzę, że istnieje coś takiego jak Bóg, ale wszelkie próby zdefiniowania go byłyby z mojej strony bezczelnością. Ale jeszcze większą bezczelnością jest myślenie, że nie ma nic większego niż umysł ludzki. To dopiero jest bzdura.

Marcin chce wziąć udział w ceremonii jeszcze raz, bo minęło trochę czasu i uczucie miłości zostało już przytłumione. Ale zdecyduje się dopiero za jakiś czas. To mocne doświadczenie, nie można tego robić zbyt często.

Trip nr 2 – Trener biznesu

Ala wróćmy na salę, bo minęło już kilka godzin i Indianie sami również przyjęli ayahuasę. Potem rozpuszczali tytoń w wodzie i podawali leżącym, by wlewali go sobie do nosa. Tytoń odpędza złe duchy, pobudza, sprawia, że nie traci się świadomości, nie odpływa za daleko. Niektórzy odpływali – płakali albo krzyczeli. Wtedy szaman koncentrował się na nich – śpiewał, okadzał dymem.

Przemek, trener biznesu, lat 42, wypił tylko kieliszek i po godzinie miał jazdę na całego, ale nie były to wizje ani miłe doświadczenia. Nie potrafi opisać, co się działo, ale czuł się bardzo źle. Nie

miał doświadczeń z substancjami zmieniającymi świadomość, no może kilkanaście lat temu zapalił z kolegą marihuanę. I przeskadzało mu, że nie ma kontroli nad tym, co się z nim dzieje. Co chwila otwierał oczy, żeby popatrzeć na zegarek, a tu minęło tylko pół godziny. A do tego ciągle rzyganie.

Chwilę szczęścia miał, kiedy nareszcie było po wszystkim. Wyszedł z sali, myśląc: „Nigdy więcej!”, ale wtedy roślina postanowiła mu jednak coś pokazać. Poczuł się dziwnie lekki – psychicznie, emocjonalnie, fizycznie. Kiedy wracał taksówką do domu, patrzył na ludzi, drzewa, budynki i myślał, że wszystko ma w sobie jakiś element niewidzialny, taką duszę. I że on do tej pory w życiu opierał się tylko na tym, co widzi, a to jest tylko cząstka rzeczywistości, na której nie warto się koncentrować. To uczucie go zaciękało. Wrócił na ceremonię następnego dnia.

Tym razem wypił cztery kieliszki i miał wizję, którą pamięta ze szczegółami. Roślina wyzwoliła go z niechęci do Kościoła katolickiego, którą miał od szkoły podstawowej, kiedy został wyrzucony z religii kopniakiem za to, że się założył się z kolegą, ile gum można zmieścić w buzi. Widział coś w rodzaju kolorowego przenośnego ołtarza 3D, a w środku krzyż, na którym wisiała Matka Boska Brzemienna. Pomyślał, że nie dość im było Jezusa, jeszcze Matkę Brzemienną ukrzyżowali, i jego nienawiść doszła do maksimum. Ale wtedy ukrzyżowana Matka Boska pokazała mu język i cała niechęć w jednej chwili przysła. Zrozumiał, że ludzie mają różne drogi, różne podejścia i że nie powinien tego oceniać.

Po drugiej ceremonii uczucie, że to, co widzi, jest nieważne, pogłębiło się. Zrozumiał, że świat widzialny to jest rodzaj laboratorium, poligonu, szkoły, istnieje tylko po, żeby się czegoś nauczyć. A to, co jest ważne, to pewien rodzaj energii. Przemek nie wie, jak ją nazwać, ale nie czuje też takiej potrzeby. Jest wierzący, ale nie jest katolikiem. Najbardziej pasuje określenie deista. Wierzy, że jest Bóg, ale go nie definiuje. Albo nie. „Wierzy” to złe słowo, bo on ma pewność, że jest coś więcej, doświadczył tego, zresztą nie tylko

po ayahuasce. To nie jest związane z żadną religią. Religie, które poznał – chrześcijaństwo, buddyzm czy islam – mają piękne założenia, natomiast kiedy zajmuje się nimi człowiek, szybko stają się narzędziem do zdobywania władzy, pieniędzy, pozycji. Jak tłumaczy: – Na ceremonię trafiłem, bo szukałem duchowości. Była dla mnie na tyle ważna, że wahałem się, czy nie pójść do klasztoru w Tybecie albo pojechać do dżungli amazońskiej i zostać szamanem, bo myślałem, że życie w Polsce – rodzina, praca – mnie od tej duchowości odrywa. Po ceremonii zrozumiałem, że do tej pory, mówiąc o duchowości, angażowałem w to swoje ego – nie oglądałem się na innych, co często przysparzało bliskim cierpienia. Zdałem sobie sprawę, że jestem zarozumiały. Wyraźnie poczułem, że moje życie w Polsce to jest właśnie moja praktyka duchowa. Duchowość nie jest odjechana i oderwana od świata, jest we wszystkim. Jest w tym, żeby wychować dzieci, dać im miłość, oparcie. Jest w tym, żeby się dogadać z żoną. Żeby nie kłamać.

Przemek rozumiał, że wcześniej całe życie uciekał. Kiedy było mu źle, szedł tam, gdzie jest lepiej – gdzie jest alkohol, znajomi, inna kobieta. Co jakiś czas zmieniał pracę, miejsce zamieszkania, ale po jakimś czasie znów było źle. W ten sposób doszedł do punktu, w którym dzieci ma z trzema kobietami i po raz kolejny się zastanawiał, czy nie zostawić żony i nie związać się z inną.

Po ceremonii rozpoczął porządki. Założenie było takie, żeby od tej pory w jego życiu była tylko prawda. Po pierwsze, zakończył związek pozamążelński – jeden z wielu, które miał w ostatnich latach, właściwie całe życie był tajnym poliga-

Przemek zrozumiał, że wcześniej całe życie uciekał. Kiedy było mu źle, szedł tam, gdzie jest lepiej.

mistą. Wyznał wszystko żonie, co było jednym z najtrudniejszych momentów w jego życiu. Po drugie, zauważył, że nie bardzo kontroluje kwestię alkoholu. Poszedł się przebadac. Okazało się, że jest uzależniony i nie może w ogóle pić. Skończył terapię, chodzi na spotkania AA. Po trzecie, zrezygnował z praktyki trenerskiej, którą miał do tej pory. – Zrozumiałem, że nie uczyłem ludzi niczego ważnego, raczej sprzedawałem im różne stany emocjonalne: „Jesteś zajebisty, nie przejmuj się, że świat cię nie docenia”. Takie bzdety amerykańskie, na których można było zrobić pieniądze. Może jest ważne, żeby ludzie nauczyli się patrzeć pozytywnie, ale ja już nie chciałem tego robić. Zamknąłem firmę. Teraz szukam inspiracji, ale mam zaufanie, że powoli wszystko się ułoży. Mam już wizję nowej firmy, brak tylko dokładnego planu.

Rano Przemek odprowadza dzieci do przedszkola, potem przez parę godzin odpisuje na e-maile, czyta albo nie robi nic. W południe odbiera dzieci i jest z nimi do wieczora. Pracuje żona, na którą przepisał jedną ze swoich firm. Nareszcie spełnia się zawodowo, a firma zaczęła dawać lepsze efekty. Z tego układu wszystkie strony są zadowolone, łącznie z dziećmi.

Przemek nie chce więcej zażywać ayahuaski. Wie, że jest uzależniony od alkoholu i jakkolwiek inny stan świadomości może spowodować nawrót. Ale też nie bardzo ma ochotę. Ma wrażenie, że dowiedział się już tego, czego miał się dowiedzieć. Zrobił się trochę mniej poszukujący.

Trip nr 3 – Pracownik agencji reklamowej

Rano po ceremonii nikt nie czuł szczególnego zmęczenia, nie było kaca, tylko przyjemny, dziwny stan, jakby się przespało całą noc. Ludzie trochę gadałi, zbliżeni wspólnym doświadcze-

niem, wszyscy mieli przekonanie, że stało się coś bardzo ważnego. Niektórzy opowiadali, że byli w piekle, ale mówili to z uśmiechem na twarzy, bo już z niego wrócili, bogatsi o różne refleksje. Indianie powiedzieli, żeby od razu po ceremonii nie gadać przez telefon, nie oglądać telewizji, nie iść do centrum handlowego. Żeby jak najdłużej nie wybijają się z tego stanu.

Jako pierwszy z sali wyszedł Dominik, lat 36, pracownik agencji reklamowej. Na ceremonię trafił dlatego, że po wakacjach w Azji zapadł na dziwną chorobę. Najpierw miał problemy z żołądkiem, potem zaczęły się bóle stawów – nie mógł kłękać, potem już nawet ugiąć nóg, momentami tracił w nich czucie. To była bakteria, której lekarze w Polsce nie byli w stanie zidentyfikować. Powiedzieli, że może pojechać na badania za granicę, ale też nie ma pewności, że tam będą mieli odpowiednie próbki. Od kolegi usłyszał, że ayahuasca uzdrowia i oczyszcza organizm. Dominik ciągle nie rozumie, dlaczego ceremonia tak się dla niego skończyła. Może dlatego, że nie przestrzegał zalecanej przez szamanów diety, bo przez trzy dni można było jeść lekkie rzeczy, głównie owoce, a on jadł wszystko? Może za mało kieliszków wypił? A może dlatego, że się bał?

Kiedy tylko zobaczył szamana, ołtarz, grzechotki, od razu chciał uciekać. Ludzie, którzy przyszli na ceremonię, też wydali mu się dziwni. Jak członkowie sekty, którzy zbierają się wokół jakiejś tajemnicy. Patrzył na te osoby i myślał: „Co ja tu robię?”. Z nikim nie rozmawiał, chował się w swoim kącie. Wypił dwa kieliszki. Po półgodzinie wszystko zrobiło się ciemnozielone, na całym ciele wystąpił mu pot. Nie miał wizji, roślina nie powiedziała mu, co ma zrobić w życiu. Miała wobec niego inne plany.

Dominik dostał strasznej biegunki, osiem godzin spędził w toalecie. Wyszedł wprawdzie na chwilę, żeby poradzić się szamana, co robić, ale ten tylko miarowo kiwał głową i mówił, żeby się nie martwić. A Dominik się martwił,

bo jeszcze nigdy czegoś tak okropnego nie przeżył.

Rano był kompletnie wypompowany. Wszedł do sali, w której unosił się zapach wymiocin, wszyscy byli dziwnie zieleni na twarzach. Starsza kobieta coś śpiewała pod kocem. Zamówił taksówkę i pojechał do domu. Spał 24 godziny. I być może Dominik już na zawsze by uznał, że ayahuasca to koszmarny, gdyby nie to, że niedługo potem wyzdrowiał. Trudno powiedzieć, czy pomogła ceremonia, czy to, że chodził do różnych ziołarzy i homeopatów, w każdym razie bakteria odpuściła – był w coraz lepszym stanie.

Dlatego teraz myśli, żeby jednak jeszcze raz spróbować. Może teraz, kiedy jest zdrowy, ayahuasca jednak powie mu, jak żyć? Albo wydarzą się inne ciekawe rzeczy? Tylko tym razem Dominik raczej pojedzie na ceremonię do Ameryki Południowej. Tam na pewno będzie inaczej niż w Polsce.

Wyjście

Mariusz, weterynarz, rozumiał, że jego droga polega na tym, żeby być lekarzem, który kocha swoich pacjentów. VIP miał wizję inicjacji do tajnego bractwa wiedzy i oświecenia. Irena, Ukrainka, poczuła, że wypełnia ją wielkie dobro i miłość i że niczego więcej nie potrzeba w życiu. Kasia, eksgwiazdka filmu, i Adam, przedsiębiorca roku, rozplnęli się w zachwycie nad sobą i światem, a potem ayahuasca powiedziała im, że mają tendencję do obwiniania innych lub okoliczności za swoje cierpienie i pławią się w nim bez opamiętania. Krystian, operator filmowy po chemioterapii, odkrył, że do tej pory nie umiał kochać i krzywdził żonę oraz dzieci. Po powrocie przeprosił rodzinę za to, że zawsze miał coś ważniejszego do załatwienia. Mateusz, pracownik firmy konsultingowej, rozumiał, że brat odszedł na zawsze. Tomek, przyszły aktor, umówił się na randkę z dziewczyną, która mu się podoba.

Zmieniłam imiona bohaterów. Niektóre cytaty pochodzą ze strony ayahuasca.net.pl.

Ayahuasca



123RF

Rytualny psychodelik zażywany w Ameryce Południowej. Przyjmuje się go w postaci napoju, który przyrządzany jest z roślin zawierających DMT oraz inhibitor MAO. Zażywany jest przez szamanów, którzy w ten sposób wprowadzają się w trans jasnowidzenia i kontaktują z mityczną pamięcią plemienia. Ayahuasca służy też do uzdrawiania. Podczas ceremonii zazwyczaj napój piją zarówno pacjenci, jak i szaman. Doświadczają wizji, w których duchy dyktują im, jak ma przebiegać kuracja duszy i ciała. W Polsce w 2009 r. składniki ayahuaski zostały wpisane do wykazu środków odurzających i zakazane, jednak rocznie odbywa się kilkadziesiąt prywatnych ceremonii z szamanami zapraszonymi z Ekwadoru, Peru czy Chile. Są także grupy organizujące wyjazdy na seanse do Czech albo Holandii, gdzie prawo jest mniej rygorystyczne. Zażywanie ayahuaski w domu na własną rękę może być niebezpieczne.

JERZY ZIEMACKI

Polska narkotyczna

Ponad 100 tys. Polaków dyskutuje o substancjach psychoaktywnych. Tych legalnych i nielegalnych. Poznajcie **Hyperreal.info**, jeden z największych narkotycznych serwisów internetowych w Europie.

Ostatnio (wczoraj) miałem okazję próbować pewnej substancji o konsystencji proszku, kolor żółty, aplikacja donosowa, wjazd zaraz po strzale. Uczucie euforii połączone z optymalną stymulacją. Co to mogło być?, pyta Marcus, użytkownik forum Hyperreal.info. Pytanie zostało zadane w wątku „diagnostycznym”, którego podtytuł brzmi: nie wiem, co ćpiemy. Wątek należy do kategorii: Substancje psychoaktywne (47 tys. postów). Jest bardzo popularny, ponieważ substancji zmieniających świadomość jest tak dużo, że trudno się już połapać we wszystkich rodzajach, gatunkach i nazwach. Czasem trzeba poradzić się bardziej doświadczonych. „To najprawdopodobniej był 4MEC”, odpowiadają Marcusowi forumowicze Hyperreal.info.

Hyperreal to jeden z największych w Europie internetowych serwisów narkotycznych. Łączy elementy forum, portalu i biblioteki. Posiada sprawnie działający dział newsów, w którym pojawiają się informacje z kraju i ze świata. Wszystkie związane z tematem narkotyków. Ostatnio najgorętsze newsy to: walka gangów narkotykowych w Kopenhadze, doniesienia naukowe o nowych właściwościach zdrowotnych THC oraz polskie absurdy: kwaciarnia z Wrzeszcza sprzedająca psychodeliczne kaktusy oraz kara dla działkowiczów za uprawę maków niskomorfinowych. Jest tutaj również dział literacki, radio, sklep z koszulkami. I oczywiście potężne forum. Największym zainteresowaniem na fo-

rum cieszą się kategorie: Psychodeliki (64 tys. postów), Depresanty, delirianty i dysocjanty (85 tys.), Opioidy (88 tys.). O wiele mniej uwagi forumowicze przywiązują do kategorii takich jak: Zdrowie (19 tys. postów) oraz Prawo (14 tys.).

W sumie liczba postów na forum portalu Hyperreal.info przekroczyła już milion. Ten milion postów od 100 tys. użytkowników daje ciekawy obraz polskiego społeczeństwa. Polacy biorą wszystko: od swojskiego muchomora czerwonego i bielunia, które można znaleźć w krajowych lasach, przez południowoamerykańską ayahuascę aż po hawajskie grzybki. Jesteśmy na bieżąco z modami światowymi: MDMA,

W momencie, gdy nasz kraj otworzył się na Zachód, otworzył się również na narkotkową rewoltę.

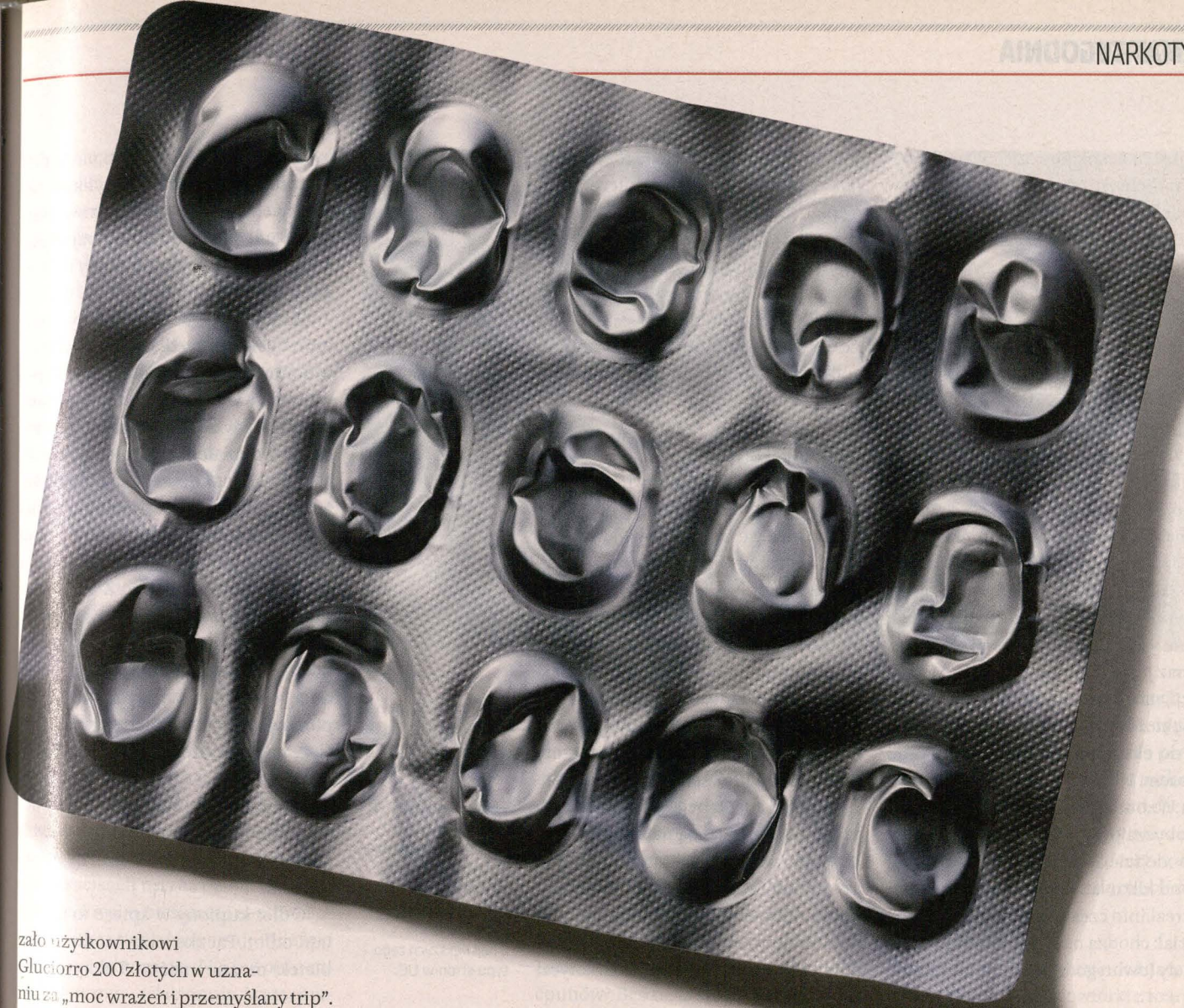
DMT oraz LSD-25 należą do klasyki gatunku. Nie mówiąc o marihuanie czy haszyszu, które traktowane są jak chleb powszedni. Dział Konopie zawiera prężne podkategorie: Uprawa i hodowla, Moja pierwsza uprawa, Fotorelacje oraz Konopne Varia. Ale trawka, kawa i papierosy to tylko dodatki do prawdziwych, mocnych odlotów w hiperrealność.

Na pełnym pizdingu

Tripraporty, czyli niecenzurowane opisy przeżyć wywołanych substan-

cjami psychoaktywnymi, publikowane są w dziale Neurogroove.info. Serwis powstał w 2002 r. Zgromadził kilkaset opisów narkotykowych przygód. Literatura narkotykowa ma bogatą tradycję. Swoje doznania po zażyciu opisywali tak wielcy pisarze jak Charles Baudelaire, Walter Benjamin czy Ernst Junger, a na gruncie polskim chociażby Witkacy. Tutaj do pisania o swoich stanach świadomości biorą się amatorzy z wena. Teksty publikowane na Neurogroove muszą spełniać pewne warunki, które redakcja opisuje w zakładce: jak pisać? Tripraport ma łączyć piękno opisu z naturalistycznym, konkretnym, niemal reporterskim przedstawieniem faktów: co było brane, jak było brane, w jakich okolicznościach (tzw. set and settings). Redakcja radzi: „o ile to możliwe, spróbuj określić odstępy czasowe pomiędzy ważniejszymi momentami podróży. Preferowany format to: T+x, gdzie T to czas przyjęcia substancji, a x to upływ czasu”.

Najlepsze teksty na Neurogroove są nagradzane. Niedawno konkurs na raport miesiąca wygrał użytkownik Gluciorro, który w opowiadaniu „Na pełnym pizdingu” opisał wycieczkę do Borów Tucholskich. Razem z przyjaciółmi wyjechali w plener, aby brać twarde narkotyki. Rodzicom powiedzieli, że będą tego dnia pływać łódką i że mają kapoki. To oznaczało mniej więcej tyle, że będą brać MDMA i mają gumy do żucia oraz dużo wody (po zażyciu tego narkotyku występuje szczękościsk i suchoty). Narkotykowa podróż na MDMA trwała dwa dni. Była pełna doznań, wrażeń, impresji i refleksji. Autor postarał się oddać klimat tej wyjątkowej wycieczki w swoim tripraporcie. Forumowicze nagrodzili tekst pozytywnymi komentarzami. Wydawnictwo Okultura przekaza-



zało użytkownikowi Gluciorro 200 złotych w uznaniu za „moc wrażeń i przemyślany trip”.

Neurogroove.info imituje amerykański serwis Erowid.org, który zgromadził już ponad 50 tys. stron amatorskich i naukowych opisów działania najróżniejszych substancji. Jego twórcy od 1995 r. bronią się przed atakami konserwatywnej części amerykańskiego społeczeństwa. Zapewniają, że celem ich działalności nie jest propagowanie narkotyków, a jedynie zyskanie jak najbardziej obiektywnej opinii na ich temat. Portal ma swoje centrum w Kalifornii. W Europie mało jest krajów, które mają tak potężne serwisy jak Erowid. Wyjątkiem jest Polska i Hyperreal.info. Można się zastanawiać, dlaczego akurat w kraju o najbardziej restrykcyjnym prawie narkotykowym w UE najbujniej rozkwita forum o substancjach narkotycznych. Dlaczego nie w krajach bardziej liberalnych pod tym względem niż Polska, takich jak Holandia czy Cze-

chy? Być może działa tutaj urok zakazanego owocu.

Misja publiczna

– W Polsce narkotyki to wciąż dla wielu osób tabu, a często jedynymi dostępnymi informacjami są skostniałe, sformalizowane materiały, najczęściej urzędowe lub medyczne. Publikacje te nie gwarantują użytkownikom pełnej wiedzy – tłumaczą twórcy portalu Hyperreal.info. Ich hasłem jest: site for freedom (strona dla wolności). Właśnie hasła wolności: obyczajowej, prywatnej, słownej, są motorem napędowym portalu. Jego twórcy czują misję: – Uważamy, że wolność słowa w Polsce jest, delikatnie mówiąc, niepełna. Nasz serwis służy wymianie informacji bez jakiegokolwiek cenzury. I apelują do wszystkich polskich amatorów zażywania substancji psychoaktywnych: „Czujesz

Odłot kupiony w aptece? Polacy coraz częściej szukają w rodzimych aptekach leków, które zawierają substancje potencjalnie psychoaktywne.

potrzebę przekazania ludziom swoich tripów? Chcesz podzielić się z innymi swoją wiedzą? Włącz się, dostrój i odpadnij z nami!”

Polski portal Hyperreal.info powstał w 1996 r. Początkowo istniał na zasadzie anonimowej poczty rozsyłanej między zainteresowanymi (remailer). Chodziło o zachowanie stanu konspiracji. Narkotyki w Polsce były wówczas naznaczone bardzo silnym tabu. Obraz narkomana, który przeważał w wyobraźni zbiorowej przez całe lata 90., był mniej więcej taki: wychudzony, nieumyty, mieszkający na dworcu, z popalonymi żyłami, użytkownik brudnej strzykawki, często zarażony wirusem HIV. Większość społeczeństwa nie odróżniała wówczas heroiny od marihuany. Informa-

AFP

cje na temat kokainy czy LSD posiadali tylko nieliczni. Dostęp do narkotyków i jakiegokolwiek wiedzy na ich temat był bardzo utrudniony. W Polsce. Bo na Zachodzie od lat 60. trwała prawdziwa narkotykowa rewolucja.

W momencie gdy nasz kraj otworzył się na Zachód, otworzył się również na tę narkotykową rewoltę. To otwarcie było dwojaki: mentalne, bo młodzi zaczęli oglądać MTV i VIVA, gdzie narkotyki były elementem stylu życia największych gwiazd, oraz geograficzne: przez otwarte granice zaczęły docierać do nas nieznanne dotąd specyfiki.

Użytkownicy forum Hyperreal podkreślają, że ostatnie lata przyniosły olbrzymią zmianę w społecznym postrzeganiu substancji psychoaktywnych. „Teraz jest już inaczej, niż było. W telewizji, na miękkich kanapach, w błysku reflektorów, znani i lubiani przyznają się do eksperymentów z kokainą lub kwasem. Nie wzbudzają już obrzydzenia. Wzbudzają podziw” – pisze Anita. Ta obyczajowa rewolucja liberalizująca podejście do narkotyków trwa w Polsce od kilku lat. Ludzie związani z Hyperreal.info często biorą w niej czynny udział: chodzą na manifestacje, wydają gazety (dwutygodnik „Hej”), kwartalni-

ki („Trans/wizje”), tworzą wydawnictwa (Okultura), zakładają radia internetowe. W planach jest również stworzenie Hyperreal TV, pierwszej polskiej telewizji o substancjach psychoaktywnych. Fanów hyperreal.info z roku na rok jest coraz więcej. „Ludzie. Czy wy wiecie, że to forum jest jedną wielką genialną społecznością?”, pisze uradowany użytkownik Dexter4.

Narkotyki z apteki

Substancje psychoaktywne można kupować od dilerów lub zbierać je samemu na łące, można również hodować lub zamawiać w Internecie (czasem z zagranicy). Ale można również mieć odłot kupiony w aptece. Polacy wynajdują w rodzimych aptekach leki z potencjalnym działaniem psychoaktywnym. Kodeina, efedryna, tramadol, zawarte w lekach na kaszel i płynach do higieny intymnej, dają odłot, który trudno opisać. Półki w aptece wręcz uginają się od substancji, które przy nadużyciu silnie działają na mózg. Rekreacyjne branie leków – ten problem był znany w USA już w latach 70. Młodzi eksperymentujący ze swoją świadomością przekraczali dozwolone dawki wielu leków, aby doznać narkotycz-

nych uniesień. W pewnym momencie rekreacyjne używanie specyfików medycznych stało się to prawdziwą plagą wśród amerykańskiej młodzieży. Wydaje się, że w Polsce przeżywamy tę plagę właśnie teraz.

„Listopadowy depresyjny wieczór. Ojciec wyszedł do pracy, a ja sam w domu po dosyć długim namyśle postanawiam wybrać się do apteki po Acodin, chyba wiadomo w jakim celu. Początkowo miałem w sobie wrzucić 20 tabletek, jednak doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak opróżnię całe opakowanie. I tak zrobiłem”, zaczyna swój tripraport użytkownik 3RS. „Minęło około półtorej godziny. Z głośników sączy się muzyka, bas staje się potężny. Moje mięśnie zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Kontrola nóg wymaga dużego wysiłku, a utrzymanie pozycji pionowej jest już niemalże niemożliwe. Leżę na podłodze, nie mogę ruszyć nawet głową. Świat wiruje. Mam nudności o smaku chipsów. Pokój zaczyna się powiększać i zmniejszać”, opisuje swoją przygodę z lekiem na kaszel dwudziestolatek.

Odłot kupiony w aptecę to zwykle tani odłot. Paczkę leku Acodin (30 tabletek) można mieć za 5 złotych. Wy-

starczy popić wszystkie trzydzieści tabletek sokiem grejpfrutowym (dobrze rozpuszcza) i czekać na niesamowite doznania. Czynna substancja zawarta w leku, dekstrometofan, przy lekkim nadużyciu powoduje uczucie upojenia, pobudzenie połączone z gadatliwością, a przy większych dawkach daje halucynacje, wrażenia całkowitego odebrania od ciała i utraty własnej tożsamości (depersonalizacja). Po taki odłot sięgają dziesiątki tysięcy młodych ludzi: w wielkich miastach, na prowincji i na wsiach. Jest tanio i interesująco. Popularnością cieszą się również wszelkie antydepresanty i leki psychotropowe: xanax, trazadon, paroksetyna, hydroksyzyna czy chlorprotixen.

Na Neurogroove.info opisów celowego przedawkowania leków z apteki jest kilkaset. Po niektórych z nich jest „tak dobrze, że trzeba jęczeć”. Aptekarze już się zorientowali, że mają do czynienia z rekreacyjnym zażywaniem leków. – Ostatnio przyszedł tutaj tegoroczny maturzysta. Cały błąd. Było rano, a on mówi dobry wieczór. Jąka się. W kącikach ust ma pianę. Oczy zamglone. Prosi o tussispect i acodin. Powiedziała mi, że proponuję inne leki na te same schorzenia. Nie był nimi zainteresowany – relacjonuje Agata, pracowniczka apteki na warszawskim Grochowie. Mówi, że „lekomanii” bywają cyniczni. Na ostrzeżenie farmaceuty, aby nie brać leku na noc, bo powoduje bezsenność, odpowiadają: „i o to chodzi!”. Jeśli farmaceuta nie sprzedaje im tego, co chcą, idą do innej apteki. Zawsze udaje im się w końcu gdzieś dostać upragnioną substancję. Przez piętnaście godzin na forach Hyperreal szeroko polecany był imprezowy mix: duże ilości leku na przeziębienie popite red bullem. Efekt psychodeliczny bardzo silny. I o to chodzi!

Sztuczne raje

„Oczywiście nie będę nikomu mówił: nie ćpaj! To zło! Bo wiem, że wszystkie te substancje przynoszą tyle samo korzyści i zysków co strat i porażek. Jeszcze raz podkreślam: to nie jest temat przeciwko narkotynom” – pisze na forum



Młodzi ludzie, którzy eksperymentują z narkotykami, chętnie sięgają dziś po antydepresanty i leki psychotropowe, jak xanax czy hydroksyzyna.

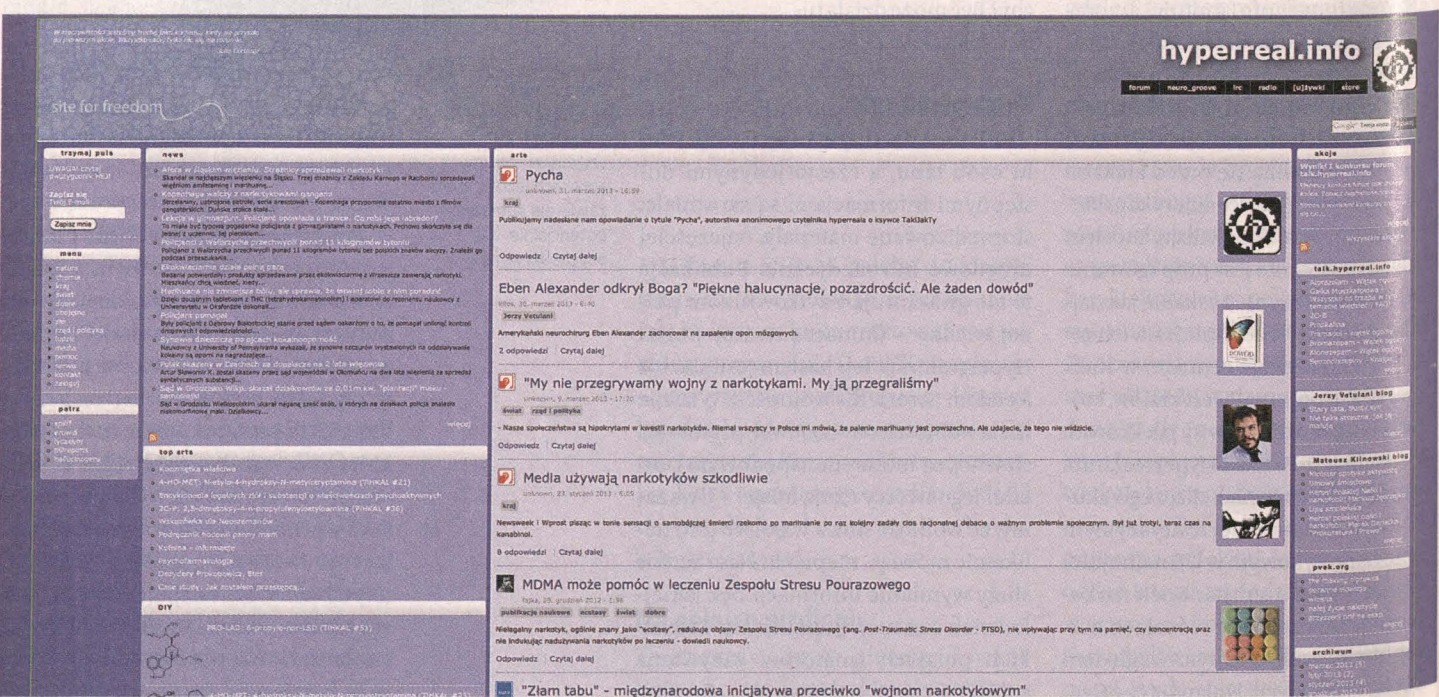
Anonimus autor nowego tematu. Jego temat to: detoks. Anonimus od razu tłumaczy swoją decyzję: „Zakładam ten wątek, bo myślę, że powinienem skończyć z lekomanią. Nie biorę już/dopiero drugi dzień, może to długo, może nie, ale na początek chyba dobry start. Wiem, że znajdują się osoby, które zaczną zaraz po mnie jeździć”. Reakcja forum jest początkowo agresywna. „Co to jest? Jakiś emotemat dla zdesperowanych ćpunów? Będziesz się nam tu żalił, jak jest ci źle, czy cieszył, jak to wspaniale ci się żyje w abstinencji? Mamy ci kibicować czy cię niańczyć?” – pisze pierwszy oburzony. Wielu go popiera.

Jednak są również tacy, którzy chcą poważnie porozmawiać o uzależnieniu. I o odwyku. Lub przynajmniej ograniczeniu. Cieszą się, że temat detoksu został wywołany. Fakt: w samym sercu narkomańskiego półświatka, na forum ludzi, którzy lubią eksperymentować z narkotykami, szukają wciąż nowych podniet, raczej afirmują narkotyki, niż je potępiają. Każdemu jednak czasem zdarza się przesadzać z dawkami lub częstotliwością zażywania „duchowych smakołyków”. Prowadzi to do przykrych konsekwencji. Większość użytkowników Hyperreal zgodziłaby się, że człowiek jest istotą chemiczną. Na portalu trwa nieustanna wymiana informacji o związkach che-

micznych, substancjach czynnych, reakcjach organizmu na łączenie się pierwiastków. Współczesna chemia potrafi zdziałać cuda. Kto odkryje raz rozkosze substancji psychoaktywnej, ten chętnie wraca do sztucznego raju wytworzonego przez chemiczne reakcje zachodzące w mózgu. I tu zaczynają się problemy.

Więcej wymiarów

Gdy substancja przestaje działać, zostaje tęsknota. Chęć powtórki z rozrywki. Czasem pokusa zwiększenia dawki. Bardzo pozytywne doświadczenie z innymi stanami świadomości pozostawia uczucie dotkliwej pustki. „Nie chodzi o to, aby przeżyć bez narkotyku – tylko żeby się bez narkotyku nie nudziło” – pisze na forum Piotr, jeden z tych, którzy próbują odstawić kodeinę. Nuda to fundamentalny problem wielu osób uzależniających się od substancji psychoaktywnej. Bez sztucznej stymulacji świat wydaje im się płaski, bezbarwny, pozbawiony sensu. Jednowymiarowy. „Rzuciłem narkotyki na rok. Ale potem stwierdziłem, że świat jest mało kolorowy, a alkohol mnie ogłupia. Wróciłem. Dobrze jest sobie czasem coś zaaplikować” – pisze szczerze 30-latek z Łodzi. I dodaje: „Pierwsza rada, jeśli chcesz odstawić jakąkolwiek substancję psychoaktywną: nie wchodź na Hyperreal.info”.



ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

Słowacki wieszczem był. I ćpał

O tym, jak psychodeliki działają na wyobraźnię, czy pomagają zobaczyć więcej, czy raczej wzmacniają doświadczenie chaosu życia i co z tego może wynikać dla literatury, opowiada **Kamil Sipowicz**, autor „Encyklopedii polskiej psychodelii”, która właśnie trafia do księgarń.

Brał pan ayahuaskę?

Tak, w Brazylii podczas zbiorowego rytuału kambo. Ceremonię prowadził szaman, który wyjaśniał, na czym polega działanie tej substancji, jakie mogą być reakcje organizmu, że przeżyjemy coś w rodzaj katharsis, które doprowadzi do rozwiązania naszych problemów. Przeżycie jest rzeczywiście bardzo mocne.

Do szamana zamiast do terapeuty?

Psychoanaliza mi nie pomaga, choć próbowałem już kilka razy.

Jeden z bohaterów reportażu Urszuli Jabłońskiej, który publikujemy w tym numerze „Przekroju”, mówi, że on po zażyciu ayahuaski zrozumiał, jak żyć.

To ja mu gratuluje. Mógłbym wypić litr tego napoju, a nie będę wiedział, jak

żyć. Nie należę do takich naiwniactw, żeby mi takie substancje powie działały, jak postępować. Choć mogą pewne rzeczy rozjaśnić. Słyszałem o ludziach, którym ayahuaska pomogła rozwiązać jakieś zadawnione sprawy. Po tym środku doświadcza się bardzo bogatych wizualizacji, mogą dotyczyć jakichś problemów rodzinnych, osobistych. Zobaczenie ich z dystansu czasem pomaga.

To psychodelik, wyciąg z roślin, który zawiera substancję DMT, nazywaną molekułą duszy.

Po co w ogóle brać psychodeliki?

Po nich widzisz więcej, masz wrażenie, że obcuje z czymś nie z tego świata, z Bogiem, diabłem, masz doświadczenia graniczne. Czasami bardzo nieprzyjemne, ale życie ludzkie nie składa się

tylko z przyjemności. To różnica między hedonistyczną, czystą morfiną czy kokainą a substancjami, które nazywane są enteogenami.

Psychodeliki mogą wywołać stany mistyczne. Widać wtedy względność, złudność, ulotność rzeczywistości. I pojawia się poczucie, że za tą rzeczywistością istnieje inna, prawdziwa. Mam wrażenie, że dzisiejsza walka o uznanie marihuany za substancję zakazaną ma swoje drugie dno. Tak jakby rządy broniły obywatelom dostępu do pewnego rodzaju doświadczeń, które mogłoby zaszkodzić w koncepcji życia jako walki o sukces, przekształcanie ludzi w konsumentów roboty.

Walter Benjamin pisał w latach 30., że największym narkotykiem w XX w. będą sklepy. Miał rację. Jak wejdziesz do centrum handlowego, to zauwa-

żysz, że ludzie chodzą jak w halucynogennym śnie, jakby cię nie widzieli. Konsumpcja jest silniejsza niż narkotyki. Państwa wolą generować i kontrolować narkotyki, które są masowe. Ludzie zatracają wtedy różnicę, powstaje masa. Władza zwalcza za to narkotyki psychodeliczne, które są bardzo indywidualistyczne, sprowadzają człowieka do samego siebie.

Brzmi to jak psychodeliczna teoria kapitalizmu.

Poeci romantyczni używali opium czy haszyszu jako lekarstwa, ale też poszukując głębszych doświadczeń. Podczas kontrkultury w latach 60. i 70. sytuacja pociągnięcia na haju oznaczała wejście na wyższy poziom świadomości. Towarzyszyła temu cała oprawa, która pomagała przejrzeć naturę świata. A teraz bierze

się z byle kim, byle gdzie, aby coś się działo. W takich warunkach psychodeliki nie zawsze pomagają zobaczyć więcej, raczej wzmacniają doświadczenie chaosu życia. Uległy filozofii konsumpcji. Traktuje się je jako kolejne substancje do kupowania i brania. Ale są środki, których nie da się sprostytuować, jak LSD, peyotl, meskalina czy szalwia wieszczka. Są tak silne, że nie można ich brać co dzień. Niektórym ludziom wystarczy jedna tabletkę czy grzyba na całe życie.

Napisał pan „Encyklopedię polskiej psychodelii”, żeby wydobyc kulturotwórczą moc tych substancji?

Chciałem pokazać, że tradycja korzystania z substancji psychodelicznych, tzw. enteogenów, wśród naszych artystów jest długa. Że te środki nale-

żą do naszej tradycji, tak jak alkohol. Udowodniłem, że już 1000 lat przed naszą erą na terenach dzisiejszej Polski używano najróżniejszych substancji psychodelicznych: pewnych rodzajów mięty, piołunu, mimozy, tataraku, kory. Chciałem przywrócić świadomości to, co z historii zostało wyparte, wycięte.

Zacznijmy od Adama Mickiewicza.

Był dzieckiem swoich czasów i miejsca, w którym się urodził. Ruscy i litwscy chłopcy odprawiali dziady ku czci przodków i potajemnie wierzyli w stare pogańskie bóstwa. Używali także środków halucynogennych w celach leczniczych i magicznych. Podwileńscy chłopcy pili odwar z jadowitego szaleju. W innych rejonach wachali sproszkowany korzeń ciemierzycy. Inni okadzali się dymem bielunia. Konopie są roślin-

KAMIL SIPOWICZ

rocznik 1953, historyk filozofii, artysta, poeta, debiutował w 1983 r. w podziemnym wydawnictwie Przedświt. Wydał m.in. książki: „Heidegger: degeneracja i nieautentyczność”, „W obronie Kory i wolności. List do premiera”. Chciałby, by jego trylogia („Hipisi w PRL-u”, „Czy marihuana jest z konopi?”, „Encyklopedia polskiej psychodelii. Od Mickiewicza do Mastowskiej, od Witkacego do street artu”) z czasem zastąpiła „Trylogię” Henryka Sienkiewicza.



na Litwie tak oczywistą jak len i inne uprawy. Tak było w całej Europie.

Ale co to ma wspólnego z twórczością?

Makabryczno-komiczne wizje Guślarza z „Dziadów” są typowe dla upojenia roślinnymi substancjami psychodelicznymi. Tymi, które rosły sobie spokojnie w każdym litewskim lesie. A młodzieńcza „Pieśń filaretów”? „Kto metal kwasi, pali/Skwasi metal i czas/My ze złotych metali/Bacha ciągnijmy kwas”. Każdy znawca opiumowych wizji rozpozna w poecie swego towarzysza.

Po okresie litewskim, już w Paryżu, Mickiewicz na pewno spotkał się z rozpowszechnionym w tym mieście wśród bohemy paleniem haszyszu i zażywaniem laudanum. Jego cierpiącą na chorobę psychiczną żonę Celinę leczono haszyszem. Nie wierzę, że nie palił, choć akurat na niego nie mam nic na papierze.

Juliusz Słowacki?

Miał doświadczenia z zakazanymi dżiż używkami – haszyszem i opium. Trudno ustalić, kiedy po raz pierwszy się z nimi zetknął. Uniwersytet Wileński był na początku XIX w. ośrodkiem badań nad opiatami. Z matką poety, Salomeą Bécu, zaprzyjaźniony był doktor, który przy użyciu opium leczył choroby weneryczne. Poeta w 1836 i 1837 r. przebywał w Egipcie i Aleksandrii, prawdopodobnie tam po raz pierwszy spotkał się ze zwyczajem palenia haszyszu w nargili.

Po ojcu odziedziczył skłonność do gruźlicy. Cierpiał na nią jak wielu innych artystów epoki. Na nieustępliwy kaszel i bóle klatki piersiowej używano jednego pewnego środka: opium. Gdy w 1849 r. Cyprian Kamil Norwid odwiedził dwóch umierających na gruźlicę geniuszy: Chopina i właśnie Słowackiego, obaj byli pogrążeni w halucynacjach. Wywołała je może sama choroba, a może opium.

Pod koniec życia, już bardzo chory, pisał swe wizyjne dzieło „Króla-Ducha”. Chce pan powiedzieć, że na haju?

„Król-Duch” to jedno z najbardziej tajemniczych dzieł w poezji polskiej. Nasycone przerażającymi wizjami i halucynacjami. Wyobraźnia poety wzmocniona prątkami gruźlicy oraz opium stworzyła światowe arcydzieło. Trzeci narodowy wieszcz Zygmunt Krasiński był przez pewien czas silnie uzależniony od eteru. Napisał nawet po francusku esej na temat tego środka. Zmagął się również z nałogiem opiumowym.

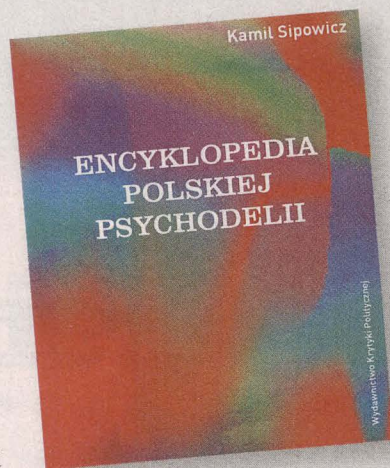
Mało kto podejrzewa naszego noblistę, autora „Chłopów”, o doświadczenia z narkotykami. Władysław Reymont, prawdopodobnie w Londynie, odwiedził jedną z licznych na przełomie XIX i XX w. i modnych wśród dandysów palarni opium. Może nawet pociągał z tej samej fajki co Oscar Wilde? O tym, że świetnie znał temat, świadczy opowiadanie „W palarni opium”.

To, że napisał takie opowiadanie, nie znaczy, że sam palił opium. Ile w pana książce twardej faktów, a ile przypuszczeń?

Na 3/4 przygód narkotycznych mam twarde dowody: listy, wspomnienia, pamiętniki. Reszta to twórcze uzupełnienie.

Używanie psychodelików przez polskich twórców było albo przemilczane, albo marginalizowane, uznane

Adam Mickiewicz, „Pieśń filaretów”: „Kto metal kwasi, pali/Skwasi metal i czas/My ze złotych metali/Bacha ciągnijmy kwas”. Każdy znawca opiumowych wizji rozpozna w poecie swego towarzysza.



Pierwsze tak obszerne opracowanie tematu psychodelików na polskim gruncie. Narkotyczne eksperymenty, również czołowych rodzimych artystów i pisarzy, przedstawione zostały na tle słowiańskiej tradycji. Co polska kultura zawdzięcza substancjom psychodelicznym? – pyta prowokacyjnie Sipowicz. Okazuje się, że wiele.

Krytyka Polityczna, premiera 9 kwietnia

za sporadyczne i nieistotne dla twórczości. Ja napisałem brakujący rozdział polskiej kultury.

Zaraz okaże się, że poznanie działania LSD będzie musiało znaleźć się w programie polonistyki.

Po pierwsze, badacze akademicy często nie wiedzą, jak działają na wyobraźnię psychodeliki i co z tego może wynikać dla literatury.

Na przykład poezja Tadeusza Micińskiego jest dysharmonijna, przeładowana tropami i obrazami na granicy grafomanii i kiczu. Dla bywalca sztucznych rajów taka wieloznaczność i brak zdecydowania się na jeden model życia wewnętrznego jest czymś oczywistym.

Po lekturze pana książki ma się jednak wrażenie, że opium, haszysz czy marihuana nie dają gwarancji, że powstanie dobra literatura. Cytuje pan tak samo wiele grafomanii, jak i rzeczy ciekawych.

Charles Baudelaire mówił: „Jak handlarz krowami będzie palił haszysz, to będzie miał wizję stada krów”. Nie więcej. Ernst Junger w książce „Przybliżenia. Narkotyki a upojenie” twierdzi, że są dwa rodzaje psychodelików. Jedne, na przykład cannabis, wzmacniają obrazy, przeżycia, które i tak są już w tobie. Drugie, które zawierają DMT, mogą pobudzić głębsze pokłady. Penetrujemy po nich światy, rzeczywistości, które do nas, jak on to nazywa, przystępują. I ja się z tym zgadzam.

Sylwia Chutnik
Palę miasto



ALINA GAJDAKOWICZ/AGENCJA GAZETA

Symboliczna funkcja ognia jako oczyszczenia ma swoje wytłumaczenie, ale sytuacja nie jest romantyczna. Miasto straciło m.in. klub, pracownię artystów, kultowego Misia, kilkanaście domów na Pradze i tęczę.

I znowu sen o Warszawie. Przekręcą się na drugi bok, a w głowie roją się ognie piekielne, pożary zjadające kolejne ulice. W senniku wyjaśniają, że to „namiętność, która powoduje cierpienie”. A cóż to za namiętność, która pozbawia ludzi mieszkań, a mieszkańców miasta kolejnych obiektów? Czy znowu chodzi o zamiłowanie do pomnażania majątku, o kolekcjonowanie zer na koncie? Groza, okropny to sen.

To prawdziwy „palący problem”. W Warszawie grasuje szalona dziewczynka z zapalnikami i sieje zniszczenie. W ogniach stają przede wszystkim stare kamienice, ale obrywa się również obiektom artystycznym, a nawet ludziom i zwierzętom. Mówiąc szczerze, figura pożaru jest dość archaiczna. Piekielne ognie trawiły symbolicznie wszystko złe od wieków, ale obecnie największą karą powinno być jakieś ogólne zawieszenie systemu czy mutujący się wirus. Tymczasem miasto nam się pali, czerwone języki zlizują z fasad budynków resztki tynku i zamieniają wszystko w proch.

Stolicę od zawsze trawił ogień. W 1607 r. spłonęła większość domów na obecnej Starówce. Nie była to pierwsza tego typu tragedia, jednak jej rozmiar był niewyobrażalny. Zniszczona została zabudowa rynku oraz większość miasta. Tym samym Warszawa pożegnała się z gotykiem i charakterystycznymi czerwonymi cegłami. Miasto budowane na nowo zmieniało się zgodnie z potrzebami gospodarczymi. Ogień stał się początkiem nowego. Podobnie zdarzyło się po powstaniu warszawskim. Wcześniej przywołana Starówka w wyniku działań militarnych straciła niemal 95 proc. zabudowy. I znowu Feniks z popiołów rozpoczął nowy okres w życiu miasta w postaci nowej topografii i architektury. Symboliczna funkcja ognia jako oczyszczenia znajduje tu swoje wytłumaczenie, ale sytuacja nie jest romantyczna. Obecnie miasto straciło m.in. klub, pracownię artystów i artystek, kultowego Misia, kilka samochodów, kilkanaście domów na Pradze i dwa mieszkania dziennikarzy. No i tęczę. No i jedną Jolę Brzeską. Pytam: jeśli ogień w mitologii

miał oczyszczać ze starego, a zarazem nieść szansę na nowy porządek, to jaki on będzie w moim mieście? Co tu się zmieni i co wyrośnie na miejscu spalonych kamienic? Szkło z metalem za dwadzieścia tysięcy na metrze, jakieś oddziały kredytobnych banków? Przecież nie park, nie plac zabaw dla dzieciaków, bo one się podobno w Polsce nie rodzą.

Według raportu ONZ do 2030 r. ponad 60 proc. ludności będzie zamieszkiwać tereny miejskie. Stąd procesy redefiniowania tkanki metropolii toczą się tak szybko. W Polsce obserwujemy prawdziwą rewolucję w myśleniu o wspólnej przestrzeni. Powstają komisje obywatelskie, które wspólnie z urzędnikami wymyślają udogodnienia w poszczególnych dzielnicach. Ludzie piszą projekty mające na celu te wszystkie redukcje, rewitalizacje i reakcje. A jak już im ręce opadną z bezwolnego załamania, to chociaż zasadzą partyzancki ogród na środku podwórka i cieszyć się będą pięknymi kwiatami.

Coś drgnęło, sytuacja wymyka się spod despotycznej kontroli i władze lokalne zaczynają powoli rozumieć, że nie są królami małego państewka, tylko działają razem z mieszkańcami. I właśnie w tej niekończącej się dyskusji i zmianie dotyczącej przyszłości miast na świecie i ich rozwoju przewija się problem rodem ze średniowiecza. Oto przemycające pod osłoną nocy osoby moczą zwinięte szmaty w benzynie, po czym wrzucają je przez okna pustostanów lub podkładają pod zamknięte drzwi. Wywożą ludzi do lasu i podpalają. Kilkom butelkami rozbitymi o ścianę komunalnego mieszkania zmienia się nie tylko krajobraz, ale i hierarchię na linii inwestor – użytkownik. I zawsze pojawia się umorzenie sprawy, bo nieznani sprawcy rozplynęli się we mgle. Znacie to uczucie, kiedy ktoś kłamie wam prosto w twarz, a wy sami już nie wiecie, co jest prawdą, a co „obowiązująca wersja”. Śnicie sny, w których wszystko znowu trawione jest śmiercionośnym ogniem. Już się robi od tego gorąco, już od tego łzawią oczy. Namiętność piromanów, która powoduje cierpienie, nie ma co.

Autorka jest pisarką, publicystką i działaczką społeczną. Mieszka i pracuje w Warszawie.

MONIKA LIBICKA

Agenci pod damskim butem

Po raz pierwszy w historii USA na czele Secret Service staje kobieta. **Julia Pierson**, awansowana na to stanowisko przez prezydenta Baracka Obamę, ma według opinii waszyngtońskich komentatorów posprzątać po kolegach, którzy w ubiegłym roku dość skutecznie popsuli wizerunek tej znanej instytucji.

Jej współpracownicy mówią, że jest doskonale przygotowana do nowej roli, bo przeszła wszystkie szczeble kariery zawodowej w Secret Service i na każdym etapie doskonale wywiązywała się z powierzonych jej zadań. Zaczynała od pracy w policji w Orlando na Florydzie. Stamtąd w 1983 r. przeszła do Secret Service, który uznała za ciekawą ścieżkę kariery. Nie rozczarowała się: dziś mówi, że praca agenta służb specjalnych, choć wymaga wyrzeczeń związanych z oddaleniem od rodziny, jest jednocześnie fascynującą przygodą. Niewątpliwie w nadchodzących miesiącach Julia nie będzie narzekać na brak wrażeń. Doskonale wie, że choć Secret Service wywiązuje się z najważniejszego zadania (właśnie mija 30. rocznica od ostatniego zamachu na prezydenta USA), to potrzebne są szybkie zmiany w organizacji. Zanim stanie się coś złego.

O atmosferze, jaka panuje wokół tych służb, dobrze świadczą humorystyczne reakcje internautów na informację o awansie Pierson. – To smutny dzień dla wszystkich prostytutek z Kolumbii – napisał jeden z nich na portalu „New York Magazine”, nawiązując do głośnego skandalu z udziałem służb specjalnych, który miał miejsce wiosną 2012 r. Informacje o nim amerykańskie media publikowały przez wiele tygodni, nie zostawiając suchej nitki na ludziach

zajmujących się ochroną pierwszej osoby w państwie.

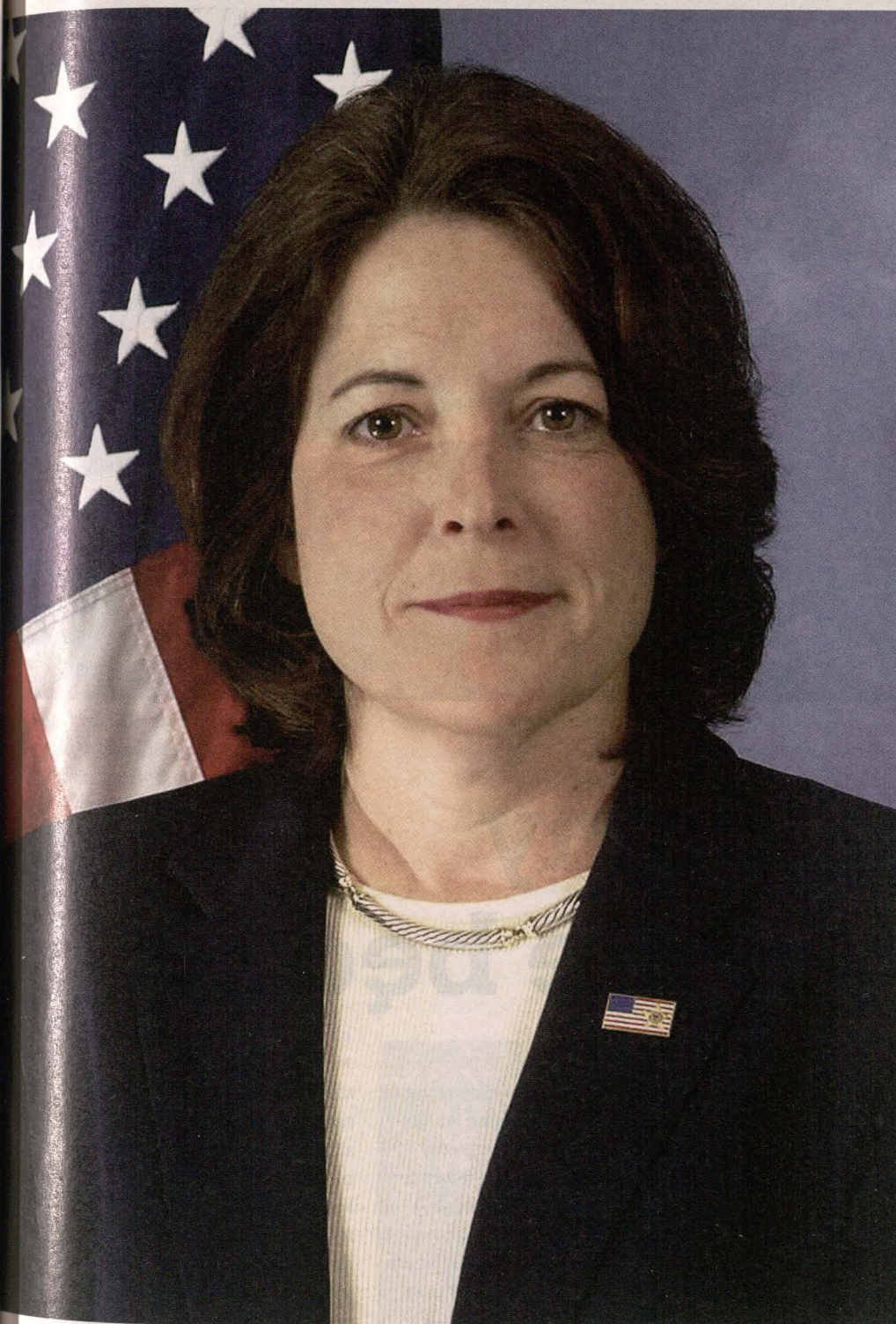
Okazało się bowiem, że agenci Secret Service, którzy dotąd uchodzili za wzór dyskrecji i profesjonalizmu, wykazali się wyjątkowym brakiem wyobraźni. Przed wizytą prezydenta Obamy na szczycie w Ameryce Południowej grupa agentów poleciała na miejsce, by przygotować i zabezpieczyć punkty jego pobytu. Przy okazji zrobili też rekonesans (gruntowny i zakrapiany alkoholem) w kolumbijskim półświatku. Późnym wieczorem zaprosili do hotelu panie z lokalnej agencji towarzyskiej i przetestowali ich zawodowe umiejętności. Pewnie nikt by się o tym nie dowiedział, gdyby jeden z agentów nie wyklócał się na hotelowym korytarzu o wysokość zapłaty. Podobno udało mu się stargować cenę z 800 do 30 dolarów. – Goście powinni negocjować nasz dług publiczny w MFW – to jeden z złejszych dowcipów, którymi chłostano zawodników Secret Service, gdy sprawa wyszła na jaw. Powągi nie dodawał im fakt, że nawet prezydent Obama kilkakrotnie rozśmieszał swoich słuchaczy, dworując sobie ze służby, która ma go chronić.

– Prosimi mnie, bym z nich nie żartował, ale dawali tylko 30 dolców... – mówił podczas uroczystej kolacji wydanej dla korespondentów akredytowanych przy Białym Domu.

Poza tym, że stali się wdzięcznym obiektem żartów w skeczach komediowych we wszystkich stacjach telewizyjnych, panowie ponieśli też surowsze konsekwencje. Ich zachowanie mogło spowodować trudne do przewidzenia skutki, gdyby któraś z kobiet zdecydowała się na szantaż lub była związana z grupami terrorystycznymi. Dziewięciu z nich bardzo szybko straciło pracę, a ich szef Mark Sullivan musiał się szczegółowo tłumaczyć przed komisją kongresową. Przy okazji wyszło na jaw, że wyjazdowe imprezy na służbie zdarzały się już wcześniej, a co gorsza, ich pijanym uczestnikom rozwiązywał się język. W efekcie w agencji wprowadzono szereg zmian i nowy regulamin określający, co wolno agentom. Pojawiły się też głosy, że w Secret Service brakuje kobiet i że to właśnie nadmiar testosteronu w tej organizacji jest przyczyną kolumbijskiej katastrofy.

Julia Pierson ma być zapewne odpowiedzią prezydenta Baracka Obamy na te zarzuty. Czy jej nominacja poprawi notowania Secret Service? Może tak się zdarzyć, jeśli uda jej się doprowadzić do zmiany quasi-bondowskiego stylu machismo, który obowiązywał w tych służbach przez dekady i który w końcu zaprowadził je na manowce.

Jeszcze trudniejszym zadaniem może się okazać zmiana kodu kulturowego tej organizacji. O potrzebie takiej



US SECRET SERVICE/AFP

Agencja chroni nie tylko prezydenta i jego rodzinę, lecz także amerykańską walutę, co wiąże się z jej początkami sięgającymi czasów wojny domowej. Utworzony w 1865 r. Secret Service miał położyć kres pladze fałszerstw pieniędzy. Zadanie ochrony osobistej głowy państwa powierzono agencji dopiero w 1901 r. po zamachu na prezydenta Williama McKinleya. Z czasem opieką objęto też byłych prezydentów, niektórych członków administracji państwowej oraz gości zagranicznych rządu USA.

Clintoną, powszechnie wiadomo, że Obama otrzymał ochronę, jeszcze zanim został kandydatem partii Demokratów. Obawiano się zamachu ze strony rasistowskich fundamentalistów. Dokładna liczba planowanych i udaremnionych ataków na niego jest trudna do oszacowania, bo z wiadomych względów Secret Service nie chce się dzielić swoją wiedzą na ten temat. Szacuje się, że rocznie reagują na blisko 3000 incydentów. Nie trzeba jednak zbyt wielkiej wyobraźni, by wiedzieć, że podróżujący po kraju i świecie prezydent USA jest obiektem zainteresowania nie tylko Al-Kaidy, ale i wielu mniej rozpoznawalnych grup.

W wywiadzie dla „Washington Post” Julia Pierson zdradziła, że w ciągu jednego tylko roku agencja zabezpieczała około 6000 vipowskich podróży, aresztowała 9000 osób za przestępstwa finansowe, a przez jej punkty wykrywaczy metali przewinęło się ponad milion osób. To sporo jak na jedną z mniejszych służb specjalnych USA.

Przed Julią Pierson stoją zatem duże wyzwania. Musi utrzymać dotychczasową skuteczność Secret Service i jednocześnie poradzić sobie z poprawą nadszarpniętego wizerunku. Przejmuje kontrolę nad organizacją zatrudniającą 5000 osób, z których 90 proc. stanowią mężczyźni. Czy uda jej się zmienić ich styl działania? Jej dawny kolega z policji na Florydzie Mike McCoy twierdzi, że Julia „bez użycia siły potrafiła zmusić ludzi, by robili to, co chciała”. Wkrótce okaże się, czy zachowała ten talent.

transformacji pisze Ronald Kessler, autor książki „W tajnych służbach prezydenta”, który uważa, że kolumbijski skandal jest rezultatem głębszych problemów trapiących tę organizację. To z powodu zaniedbań na szczeblu menedżerskim możliwe są rozmaite wpadki, które w końcu mogą doprowadzić do tragedii.

Od ataku na World Trade Center budżet Secret Service został znacznie powiększony, podobnie jak wszystkich innych instytucji związanych z bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych. Choć przedstawiciele agencji twierdzą, że obecny poziom zagrożenia jest porównywalny do tego z czasów George’a W. Busha czy Billa



ROZMAWIA ANNA GWOZDOWSKA

Trzeciej wojny światowej nie będzie

Korea Północna znów zwraca na siebie uwagę świata. Tym razem nie chodzi o modne ubrania żony młodego następcy Kim Dzong Ila. Sprawa wygląda poważnie. Pjongjang głosi, że jest ze swoim południowym sąsiadem w stanie wojny. W rozmowie z „Przekrojem” dr Nicolas Levi uspokaja jednak, że to prężenie muskułów bezsilnego państwa, któremu pozostaje tylko propaganda.

Napięcie na Półwyspie Koreańskim rośnie od kilku miesięcy. Pjongjang grozi już Ameryce atakiem nuklearnym, ale najpierw, 12 grudnia, przeprowadził próbę z rakieta dalekiego zasięgu Unha-3, chwając się, że mogłaby dotrzeć do Alaski. 12 lutego w Korei Północnej miała miejsce kolejna próba atomowa. 22 marca Korea Południowa i USA podpisały układ o wspólnej wojskowej odpowiedzi na ewentualne prowokacje sąsiada. 27 marca Korea Północna odcięła gorącą wojskową linię, która łączyła ją dotąd z Południem, a 30 marca ogłosiła, że weszła z Koreą Południową w stan wojny. Czy na Półwyspie Koreańskim będzie konflikt zbrojny?

Pomimo głośnej oficjalnej retoryki Korei Północnej wojny nie będzie. Wojsko koreańskie nie jest przygotowane

na długotrwały konflikt z południowym sąsiadem, zresztą to właśnie koreańska armia zachowuje się tak, jakby nie się nie miało wydarzyć. Nawet manewry, które odbywały się przy granicy z Chinami, zostały zawieszono. Mamy więc do czynienia z pokazem siły, z czystą propagandą.

Poważne zagrożenie naprawdę nie istnieje? Przecież Amerykanie deklarują gotowość na „każdą ewentualność” i wysyłają w region wschodniej Azji dodatkowe siły.

Jakiś rodzaj prowokacji jest oczywiście możliwy. Zbliżają się przecież urodziny Kim Ir Sena. Właściwie pierwsza prowokacja już miała miejsce. Koreańczycy tymczasowo zablokowali pracowników z Południa wstęp do wspólnej strefy

gospodarczej Kaesong. Pracują tam na co dzień mieszkańcy zarówno Korei Północnej, jak i Południowej. Mieliśmy też wcześniej atak hakerów na południowokoreańskie banki i instytucje finansowe, choć nie ma stuprocentowej pewności, że hakerzy pochodzili z Korei Północnej.

Co Pjongjang może zyskać na tego typu prowokacjach, oczywiście oprócz napędzenia nam wszystkim stracha? Według brytyjskich mediów zablokowany park przemysłowy przynosi Korei Północnej 100 mln dolarów.

Cóż to jest 100 mln dolarów? PKB Korei Północnej wynosi 40 mld! Na istnieniu tej wspólnej strefy gospodarczej zyskują więc przede wszystkim południowokoreańskie firmy. Poza tym Korea Północna coraz bardziej otwiera się na inne projekty inwestycyjne, np. chińskie, i z tych się nie wycofuje. Myślę więc, że zamykając dostęp do Kaesung (choć przecież tam wszystko nadal działa), Korea Północna niewiele ryzykuje. Nie ma więc powodu, żeby panikować. Przecież w historii napiętych stosunków Korei Północnej i Południowej miały już miejsce o wiele gorsze incydenty. W 1983 r. północnokoreańscy szpiegi zamordowali członków południowokoreańskiego rządu. Tymczasem w parku przemysłowym Kaesung zamknięto jak dotąd raptem kilkuset Koreańczyków z Południa.

Jaką rzeczywistą siłą dysponuje Korea Północna?

Duże wrażenie może robić 2-milionowa armia północnokoreańska, która powiększona jeszcze o rezerwistów jest rzeczywiście duża. Ale to kolos na glinianych nogach. Nawet rezerwy żywnościowe wystarczą jej tylko na dziewięć miesięcy. Notabene, większość żołnierzy jest zgrupowanych blisko granicy z Koreą Południową, co daje południowym sąsiadom możliwość ataku przewencyjnego. Poza tym armia koreańska – siły lądowe, marynarka wojenna i siły powietrzne – jest przestarzała. Dysponuje technologią z lat 80. ubiegłego wieku.



NICOLAS LEVI

Redaktor naczelny portalu northkorea.pl, autor książki „Korea Północna: poszukując prawdy” wydanej przez Kwiaty Orientu, współpracuje z Centrum Badań Azji i Pacyfiku Instytutu Studiów Politycznych PAN i z Centrum Studiów Polska – Azja.

Koreańczycy z Północy grożą jednak kontynuacją programu budowy broni nuklearnej. Wznawiają produkcję wzbogaconego uranu i plutonu. To także są tylko przechwałki?

Koreańczycy chcą po prostu przeprowadzić kolejną próbę atomową i dlatego muszą wyprodukować pluton oraz wzbogacony uran w swoim kompleksie Yongbyon. Ten reżim zdaje sobie sprawę, że bez broni atomowej może skończyć jak Irak. Moim zdaniem chodzi jednak o coś jeszcze. Pjongjang sprzedaje technologię atomową np. Iranowi, dlatego kolejna próba atomowa będzie doskonałą reklamą możliwości Korei Północnej. Nie jest nawet wykluczone, że następne próby zostaną przeprowadzone w obecności inżynierów z Iranu.

Jaka jest sytuacja geopolityczna Korei Północnej? Czy jej sąsiadom może jednak zależeć na wojnie?

Najbliżsi sąsiedzi byłiby z pewnością bezpośrednio zagrożeni, gdyby doszło do zbrojnego konfliktu. Broń, którą dysponują Koreańczycy, mogłaby się im wymknąć spod kontroli. Do Chin napłynęłyby też tysiące niechcianych koreańskich uchodźców. Jednocześnie np. Japonia mogłaby na takim konflikcie skorzystać. Korea Południowa, która ucierpiałaby jako pierwsza, przestałaby

być konkurencją gospodarczą dla Kraju Kwitnącej Wiśni.

Z kolei Rosja ma z Koreą Północną trochę interesów ekonomicznych. Dzierżawi m.in. część portów w specjalnej strefie ekonomicznej. Trzeba jednak pamiętać, że tak duże kraje jak Rosja czy Chiny nie potrzebują Korei Północnej, przynajmniej w sensie gospodarczym.

Czy wschodnia Azja może się stać iskrą, jak kiedyś Półwysep Bałkański, przez którą wybuchnie konflikt o globalnym zasięgu?

Takim punktem zapalnym raczej nie będzie. Choć oczywiście kraje Azji Wschodniej pozostają w ciągłych konfliktach granicznych. Spór toczy się na przykład między Japonią i Koreą Południową o tzw. Wyspy Bambusowe. W tym regionie sytuacja była napięta od zawsze. Ale do konfliktu zbrojnego jest daleko. Oczywiście funkcjonujemy dziś w globalnym świecie, dlatego trudno wykluczyć sytuację, że wojska z krajów europejskich w którymś momencie znajdą się także w Azji Wschodniej. Sądzę jednak, że nawet jeśli dojdzie do zbrojnego konfliktu z Koreą Północną, to po jego zakończeniu ten kraj nie zniknie z mapy świata. Stanie się państwem tymczasowo zarządzanym przez ONZ. A najbardziej skorzystają na tym Chiny i Korea Południowa.



Kim Dzong Un dobrze wie, że aby jego reżim przetrwał, musi mieć zewnętrznego wroga i straszyć Zachód bronią atomową.

KULTURA

Muzeum Żydów Mazowieckich już otwarte



W Płocku dzięki pieniądzom z regionalnego programu operacyjnego Mazowsza powstało pierwsze w województwie muzeum mazowieckich Żydów. Przed drugą wojną światową żyło ich na Mazowszu około 600 tys. (w Płocku stanowili blisko jedną trzecią mieszkańców). Jedną z nielicznych zachowanych do dziś bożnic i jedyną na terenie subregionu płockiego była Płocka Mała Synagoga. Kosztem 9 mln zł (w tym 7,7 mln zł to dotacja UE) odrestaurowano ją i w zmodernizowanym budynku utworzono Muzeum Żydów Mazowieckich. Otwarty w marcu br. obiekt oferuje zwiedzającym widowisko filmowo-dźwiękowe (za pomocą technik multimedialnych przedstawiane są kultura, obyczaje i obrzędy religijne Żydów), uzupełnione klasycznymi formami ekspozycji. Do dyspozycji zwiedzających oddano dwa kioski interaktywne z tekstami, zdjęciami i mapami. Odwiedzając muzeum, można zapoznać się z historią osadnictwa Żydów w Polsce, ich kulturą, obyczajami czy kuchnią. Zwiedzający znajdują też informacje na temat nazizmu, II wojny światowej i zagłady Żydów. W planach muzeum są warsztaty, wykłady i koncerty, m.in.: cykl wykładów o historii, obyczajach i stosunkach polsko-żydowskich (we współpracy z IPN), warsztaty edukacyjne na temat Holocaustu czy wystawa grafik „Żyd niemalowany”. Placówka zostanie też wpisana na Szlak Chasydzki.

Więcej informacji na stronie: www.synagogaplocka.pl. → Artur Osiecki

SZKOLNICTWO

Nauka języków z ogrodem nad głową

Studenci i pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego pracują już i studiują w nowoczesnym budynku Wydziałów Neofilologii i Lingwistyki Stosowanej. Inwestycja, która kosztowała 66,2 mln zł, otrzymała 37 mln zł unijnego dofinansowania z regionalnego programu operacyjnego Mazowsza. W nowym gmachu może pracować i studiować około 12 tys. studentów i pracowników uczelni. Budynek usytuowany jest na warszawskim Powiślu, w obrębie historycznego kampusu uniwersyteckiego, w kwadracie ulic: Dobra, Lipowa, Browarna i Wiślana. Nowoczesny gmach ożywił Powiśle. W budynku są cztery kondygnacje naziemne i dwie podziemne, na których zlokalizowano ponad 60 sal wykładowych i nowoczesnych laboratoriów. Są też biblioteki oraz pracownie informatyczne, sale konferencyjne i pracownie językowe. Na dachu usytuowano ogród. Budynek w całości przystosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych. → ośa

ZDROWIE

Wykryć raka bez uszczerbku na zdrowiu

Tester Braster to niewielkie urządzenie przypominające lupę z ekranem zamiast szkła. Pozwala na wykrycie ogniska nowotworu, zanim rozwinie się guz. Może być wykorzystywany do bardzo wczesnej diagnostyki raka piersi. Jednym z jego największych atutów jest pełne bezpieczeństwo. Badanie można powtarzać dowolną liczbę razy bez uszczerbku dla zdrowia, trwa 15–20 sekund. Braster jest więc idealnym uzupełnieniem innych technik diagnostycznych, takich jak mammografia czy USG. Tester, który stworzyła firma Braster z Ożarowa Mazowieckiego dzięki dotacji z programu operacyjnego „Innowacyjna gospodarka”, jest już zarejestrowany w Polsce instrumentem medycznym pierwszej klasy. Skuteczność urządzenia potwierdził zespół badaczy z Wojskowego Instytutu Medycznego. Jak informuje sama spółka, jest to pierwszy na świecie tester do wykrywania markerów raka piersi przeznaczony do samodzielnego użycia przez kobiety. → ośa

Więcej o funduszach UE na Mazowszu: www.mapadotacji.gov.pl; www.mazowia.eu; www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty
22 kwietnia czytaj o euroinwestycjach w kolejnym regionie.

Mariusz Ziomecki

Tłuste koty i minister

Nasz minister finansów przegina – w sposób alarmujący. Jacek Rostowski znów podszedł do problemów w systemie emerytalnym nie jak poważny szef finansów europejskiego kraju, ale jak cwaniak i manipulator.

Nawiązuję oczywiście do burzy wokół prywatnych firm zarządzających otwartymi funduszami emerytalnymi (OFE). Szefowie tych firm ogłosili, że woleliby wypłacać Polakom należną z funduszy, niezusowską część emerytur tylko przez kilka lat, zamiast dożywotnio. Minister Rostowski skwapliwie skorzystał z okazji podsuniętej przez pomroczość branży do pchnięcia naprzód własnej agendy. Określił pomysły zarządców OFE jako „głęboko szokujące” i wskazał, że jako „porażony” przyszły emeryt utracił zaufanie do tych instytucji.

To wygląda na propagandową uwerturę do ostatecznej likwidacji tego, co zostało z publicznego systemu ubezpieczeń kapitałowych po poprzedniej akcji ministra (wiosną 2011 r. z inicjatywy Rostowskiego drastycznie zredukowano składki przekazywane do OFE). A odpowiedzialnymi za niepowodzenie „wielkiej” reformy emerytalnej, z takimi fanfarami odpalonej 14 lat temu i wdrażanej z gigantycznym kosztem dla publiki, najwyraźniej ma zostać kilka pozbawionych wyobraźni tłustych kotów, menedżerów powszechnych towarzystw emerytalnych.

Hm... A mnie się wydawało, że ta potężna, ponuro rokująca dla przyszłych pokoleń kłeska ma wielu ojców – większość z nich w środowiskach, z których wywodzi się i obecnie prosperuje nasz minister. Największa część winy spada na polityków. To oni długo blokowali „wielką prywatyzację” i nie zlikwidowali rażących przywilejów emerytalnych. A miliardy z tych działań, według obliczeń z 1999 r., miały zbilansować finansowo reformę.

To dlatego Polski dziś „nie stać” na OFE – nasi politycy najpierw reformę przegłosowali, potem pochowali głowy w piasek. Fakt, prywatyzacja i odbieranie przywilejów nie są popularne. Jednak w innych krajach przeprowadza się trudne zmiany – bo ktoś wykazuje się przywództwem, nie ogranicza ambicji rządu do zapewniania ciepłej wody w kranach.

Również to politycy (dokładnie: Buzek, Krzaklewski i inni z AWS) dali się ogrzać – przyjmijmy najłagodniejsze dla nich wyjaśnienie – cwaniakom z zachodnich korporacji finanso-



W innych krajach przeprowadza się trudne zmiany – bo ktoś wykazuje się przywództwem, nie ogranicza ambicji rządu do zapewniania ciepłej wody w kranach.

wych, którzy w zamian za przywilej zbudowania w Polsce systemu OFE z gwarantowanymi wpłatami od kilkunastu milionów ludzi... obarczyli go horrendalnymi kosztami. Bo, twierdzili, muszą sobie zwrócić koszt zbudowania lukratywnego biznesu. Geniusze z rządu Buzka i z Wiejskiej łyknęli to, my z mediów zresztą też.

W rezultacie opłaty „dystrybucyjne” (haracz pobierany od każdej składki), opłaty za (w większości mierne) zarządzanie i premie za rzekomo dobre wyniki inwestycyjne – przez wiele lat darły z przyszłych emerytów około 9 proc. wartości naliczanych od wpłat i zysków! W latach 2004 i 2010, po dzikich awanturach, haracze te obniżano, ale polski system emerytur kapitałowych jest wciąż żenująco kosztowny. W krajach, gdzie regulatorzy rynku stoją rezolutnie po stronie obywateli, koszty zarządzania podobnymi systemami oscylują wokół 1–2 proc., a najlepsze kosztują ok. 0,5 proc!

Warto też pamiętać, jak żenująco w kwestii OFE zawiódła profesura, nasze tęgie głowy od demografii i finansów. Nie tylko żyrowały wątpliwy projekt swoimi nazwiskami i dorobkiem. Gdy wreszcie opinia zaczęła dostrzegać problemy, uczeni w piśmie zajadle bronili interesów właścicieli OFE, a nie emerytów nieszczęsnych! W trakcie pierwszej burzy wokół systemu „Przegląd” ujawnił przypadki konfliktu interesów, pokazując, jak przygnębiająco wielu z obrońców OFE bierze granty, honoraria i wynagrodzenia od korporacji matek tych przedsiębiorstw. Według redakcji żadna z wymienionych w artykule sław nie żądała sprostowania.

Ambitna reforma przerosła polską politykę i polską naukę. Przerosła też media i opinię publiczną. Wracamy z emeryturami do punktu wyjścia, tylko publika jest jakieś 15 mld zł w plecy w kosztach opłat i prowizji. Jednocześnie państwo się zapożycza, żeby zatykać dziurę w ZUS. I co?

I nic. My nie rozliczamy polityków. Nasza polska cywilizacja miłosierna, leniwa i zapominalska jest. Jeśli jednak nie zaczniemy przywoływać elit z ministrem Rostowskim do porządku, czarno przed nami widzę. Załatwi nas nieubłagana demografia. Za 30 lat na jednego emeryta będzie przypadło tylko dwóch pracujących zamiast dzisiejszych czterech. Repartycyjny system zusowski się załamie. Młodzi po prostu wymigrują, a Polska stanie się smutnym krajem starców zajęтым ogłupiałym dzieleniem nędzy na coraz mniejsze części. ☹

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



MINISTERSTWO
ROZWOJU
REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

EDYTA SZEWRNIAK-MILEWSKA

„Nie” dla reklam

O tym, dlaczego apteki powinny właściwie zniechęcać dziś pacjentów do siebie, aby działać zgodnie z prawem, i komu przeszkadzają programy lojalnościowe, mówi „Przekroju” mecenas **Paulina Kieszowska-Knapik**.



Dlaczego polscy pacjenci tak lubią programy lojalnościowe?

Przyzwyczailiśmy się już, że jako klienci różnych sieci handlowych dostajemy karty umożliwiające nam tańsze zakupy lub dające prawo do innych usług. Dlaczego takie karty nie miałyby obejmować zakupów w aptece: leków nier refundowanych, leków bez recepty, dermokosmetyków i środków higienicznych? Poza tym dzięki prowadzonej w ramach aptecznego programu opiece farmaceutycznej pacjenci chorujący przewlekłe nie są anonimowi, mogą liczyć na porady farmaceuty czy dobór leków wspomagających terapię.

Coś musi jednak w tych programach działać źle, skoro prawo ich zakazuje.

Nie ma w nich nic złego. Programy lojalnościowe zostały zakazane od po-

czątku 2012 r., ale tylko wobec leków refundowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia. To, że zaczęto rozszerzać ten zakaz na inne programy apteczne, uznając je za reklamę aptek, to efekt nadinterpretacji przepisu.

Skąd się zatem wziął w prawie zakaz reklamy aptek?

To efekt dążeń samorządu aptekarskiego. Jego przedstawiciele doprowadzili do wpisania całkowitego zakazu reklamy aptek na etapie prac sejmowych nad projektem ustawy refundacyjnej – to nie jest pomysł rządu. Zakaz reklamy aptek oraz ich działalności nie służy ani ochronie finansów publicznych, ani ochronie zdrowia, lecz ma zmierzać do oczekiwanego przez samorząd aptekarski zaniku konkurencji między aptekami. A konkurencja jest dla pa-

centów korzystna, tak samo jak pełna informacja o ofercie handlowej, którą zgodnie z przepisami konsumenckimi trzeba pacjentom, jako klientom apteki, przekazywać.

Dlaczego właśnie teraz jedna z sieci aptek – Dbam o Zdrowie (ok. 1400 placówek w całej Polsce) – zawieszła programy lojalnościowe? Inne sieci poddały się wcześniej.

Trudno im się dziwić, skoro kara 50 tys. zł nakładana jest nie wiadomo za co i gdy niemal każde działanie propagacyjne może zostać uznane za reklamę apteki. Jeżeli pójdziemy śladem interpretacji urzędników wojewódzkich inspektorów farmaceutycznych, praktycznie niemożliwe jest obecnie przekazywanie pacjentom informacji o ofercie apteki czy świadczenie opieki farmaceutycznej. Wszystko, co dobre dla pacjenta, może okazać się „reklamą”. Właściwie apteka powinna dziś pacjenta do siebie zniechęcać, aby działać zgodnie z prawem.

Pierwsze wyroki, jakie zapadły w WSA w sprawie programów lojalnościowych, są nieprzychylnie. Na ogłoszeniu jednego z nich byłam. W ustnym uzasadnieniu wyroku sędzia powiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien kwestionować prawa apteki do oferowania klientowi lepszych warunków, bo stanowi to dla niego wartość. Jednocześnie sąd stwierdził, że nie wie, jak tego dokonać, nie naruszając zakazu reklamy aptek. To stąd pewnie decyzja DOZ, by zachećkać na wyrok NSA, który zdecyduje, jakie działania aptek są dozwolone.

Jaki wyrok może zapaść i kiedy?

Najwcześniej za kilka miesięcy. Moim zdaniem, jeśli dopuszczalna jest reklama leków OTC i kosmetyków, a zakazana jest reklama miejsc, w których się je kupuje, to jest to naruszenie zasady, że jeśli wolno więcej, to wolno mniej. Zakaz jest także nieproporcjonalny, bo nie tylko nie służy pacjentom, lecz także ogranicza ich prawa konsumenckie. Mam nadzieję, że wyrok NSA albo Trybunału Konstytucyjnego to wyjaśni.



PAULINA KIESZOWSKA-KNAPIK

partner kancelarii Baker & McKenzie, współzałożycielka fundacji Lege Pharmaciae, specjalistka w obszarze prawa farmaceutycznego oraz regulacji prawnych w ochronie zdrowia.



STUDIO RYGALIK/VERNEST WINCZYK

DESIGN

Polskie wzory w Mediolanie

Największe na naszym kontynencie i najbardziej prestiżowe targi wzornictwa przemysłowego Salone Internazionale del Mobile po raz kolejny zaprosiły do udziału Polaków. Ich projekty zobaczą setki tysięcy zwiedzających z całego świata. Zieta Prozedesign pokaże meble wykonane z blach połączonych w technologii 3+; ten praktyczny i atrakcyjny wizualnie zestaw można postawić w mieszkaniu i w biurze. Wielofunkcyjność jest również cechą projektów pracowni prowadzonej przez Annę i Marka Lorensów. Designerzy idą z duchem czasu – przygotowali na przykład meble ułatwiające pracę w miejscu zamieszkania. Swoje projekty pokażą w Museo Nazionale della Scienza e della Tecnologia (MOST). Trzecim uczestnikiem wystawy „Polska innowacja w Mediolanie” będzie ciesząca się prawie 200-letnią tradycją śląska fabryka porcelany Kristoff, która ostatnio do współpracy zaprasza artystów i ilustratorów młodego pokolenia. Z kolei w centrum sztuki współczesnej Frigeriferi Milanesi znane Studio Rygalić pokaże m.in. swoją kolorową, modułową „kuchnię z wyobraźnią” (na zdjęciu). O tym, co kiedyś tworzyliśmy, przypomni natomiast przeniesiona z Rzymu wystawa „Polski fotodesign lat 50. i 60”. Towarzyszący salonowi Milan Design Week to feeria wystaw i akcji artystycznych, które opanowują całe miasto. Warto tam być! → Edyta Borkowska

„Mediolan: wnętrza jutra” to hasło 52. edycji, która potrwa od 9 do 14 kwietnia.



TECHNOLOGIA

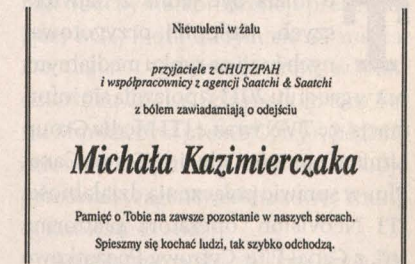
Wielka gra małej konsoli

Konsola Ouya, która trafiła już w ręce użytkowników, może zmienić rynek domowej rozrywki. Pracujące pod kontrolą systemu Android urządzenie zachwieje rynkiem zdominowanym przez potentatów – uważają specjaliści. Ma kosztować 99 dolarów, czyli co najmniej trzy razy mniej niż konkurenci ze znaczkami Sony i Microsoft. Obie firmy chcą wprowadzić w tym roku konsole nowej generacji PlayStation 4 i Xbox 720. Czy Ouya da im radę? Ma spore szanse. Nie chodzi o cenę gadżetu, ale gier, które będą kosztowały ułamek tego, co dziś płacą konsolowcy. Wiele programów na konsolę ma być bezpłatnych – tak jak część aplikacji w sklepie Google Play. Pierwszym sukcesem, jaki osiągnęła Ouya, była zbiórka pieniędzy na wykonanie projektu konsoli w serwisie Kickstarter. Jej twórcy zebrali 8,5 mln dolarów – dziesięć razy tyle, ile zakładali. → Krzysztof Urbański

OBYCZAJE

„Pogłoska o mojej śmierci była przesadzona”

Dyrektor zarządzający polskiego oddziału agencji reklamowej Saatchi & Saatchi Michał Kazimierzczak, niczym Mark Twain, miał okazję zobaczyć za życia swój nekrolog. Z końcem kwietnia odchodzi do Young & Rubicam Brands i jego współpracownicy z Chutzpah – nieformalnej grupy kreatywnej działającej w Saatchi & Saatchi – postanowili w ten funeralny sposób pożegnać go na łamach „Gazety Wyborczej”. „Nieutuleni w żalu” koledzy uważają ten pomysł za dobry, mniej skory do uciechy jest Michał Kazimierzczak. Jak napisał Press.pl, „żart uważa za niesmaczny, ale im wybacz”. Podobnie wybryk Chutzpah ocenia prof. Wiesław Godzic, medioznawca: – Rzecz wydarzyła się w grupie pracowników kreatywnych,



tam nosi znamiona zabawy, ale to słaba zabawa, na poziomie gimnazjalisty. Dla wielu Polaków byłoby to przekroczenie granic. Mamy silnie zakorzeniony kulturowy szacunek do śmierci. Moim zdaniem złamali tabu: zdarza się, ale w tym przypadku zrobili tak dla sztubackiej zabawy, a to trudno wybaczyć. → eb

JANINA BLIKOWSKA

Cyfrowa lawina

Student z Poznania stworzył stronę internetową, która **zachwiała potężną korporacją** i przyczyniła się do odejścia kilku menedżerów. Siła e-społeczności będzie rosta – uważają specjaliści.

To miała być jedna z największych, najlepiej przygotowanych fuzji na rynku medialnym. Już w grudniu 2011 r. pojawiła się informacja, że TVN wraz z ITI Media Group Limited porozumiały się z Grupą Canal Plus w sprawie połączenia działalności ITI Neovision, operatora platformy „n”, z Canal Plus Cyfrowy. Początkowo do połączenia miało dojść pod koniec ub. roku. Ostatecznie nastąpiło to w 18. rocznicę rozpoczęcia transmisji Canal+ w Polsce, 21 marca. Mimo że nC+ oferuje nowoczesne technologie, największą liczbę 50 kanałów HD oraz najbogatszą ofertę premium, jej poczynania uruchomiły lawinę niezadowolonych wśród odbiorców. Oferta jest droższa niż u konkurencji, a firma odpowiednio szybko nie reagowała na skargi klientów. Ich nieprzychylnie uwagi zaczęły być kasowane na oficjalnym fanpage'u nC+. To rozsierdziło niezadowolonych. Jeden z nich, 22-letni Dawid Zieliński z Poznania, założył nową stronę na Facebooku.

– Nie mogłem otrzymać odpowiedzi na moje pytania od nC+ na ich oficjalnym profilu, zatem założyłem własny, gdzie pisali ludzie, którym już udało się czegoś dowiedzieć – tłumaczy nam Dawid. Na co dzień studiuje w Wyższej

Szkole Umiejętności Społecznych w Poznaniu, a w wolnym czasie zajmuje się prowadzeniem portalu o grach www.nienagrani.pl. Dodaje, że sam od miesiąca jest klientem telewizji na kartę, a jego rodzice od dziewięciu lat posiadają Cyfrę+. – W domu to ja zajmuję się sprawami związanymi ze sprzętem, dlatego też bardzo interesowała mnie nowa oferta nC+. Nie podjęliśmy jeszcze decyzji odnośnie tego, czy pozostaniemy klientami połączonych firm – mówi Dawid.

Zainteresowanie Anty nC+ przerosło samego twórcę. Z dnia na dzień popularność strony rosła – już po tygodniu liczba fanów sięgnęła 18 tys., a po niespełna dwóch tygodniach przekroczyła 60 tys. osób. – Sądzę, że tak duża dynamika rozwoju Anty nC+ spowodowana była problemem w komunikacji pomiędzy klientem a nC+ – uważa Zieliński.

Praca dla krytyka

Siłę jego strony dostrzegła także nowa platforma. Najpierw do mediów przedostała się wiadomość, że z nC+ odchodzi Marek Staniszewski, dyrektor wykonawczy marketingu w Cyfrze+. Nie brał on co prawda udziału w pracach nad ofertą, gdyż od początku tego roku przebywał na zwolnieniu, ale był jed-

Beata Mońka rozstała się z firmą nC+ „w trybie natychmiastowym”. Działalność Anty nC+ z pewnością jej zaszkodziła.



nak obecny na konferencji prezentującej nC+, która odbyła się 21 marca. Do Canal+ Cyfrowego trafił w październiku 2011 r. Ściągnęła go tam Beata Mońka, była prezes Cyfry+, później członek zarządu nC+. Wcześniej oboje pracowali w agencji reklamowej Young & Rubicam Brands.

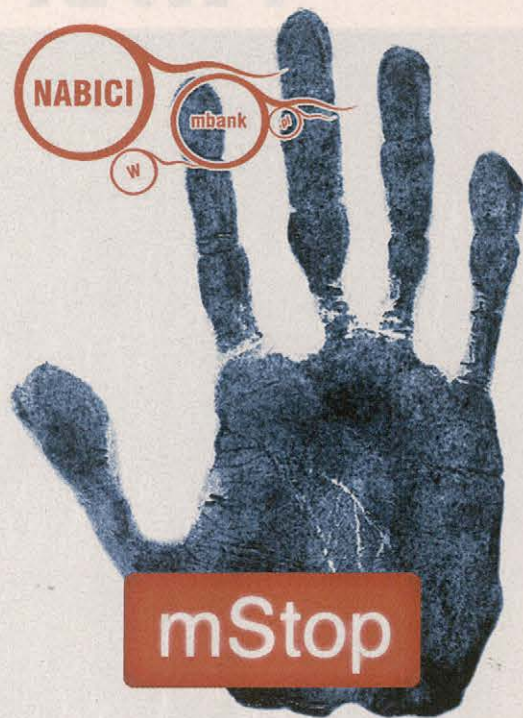
Ani Staniszewski, ani jego firma nie skomentowali powodów jego odejścia. Prawdziwa bomba wybuchła kilka godzin później, gdy zarząd platformy poinformował o odejściu z firmy Beaty Mońki. – Wspólnie się zgodziliśmy, że Beata Mońka rozstanie się z firmą nC+ w trybie natychmiastowym. Decyzja ta jest efektem różnicy zdań na temat przyjętej strategii firmy oraz jej komunikacji – podało biuro prasowe nC+ w imieniu zarządu firmy. Z nieoficjalnych informacji, do których dotarł branżowy portal press.pl, wynika, że Mońka musiała opuścić nC+ z powodu konfliktu z francuskimi członkami zarządu. Mońka chciała ich odwieść od agresywnej strategii komunikacji nowej oferty. Ale przeciwko jej opinii ostro zaprotestowali ponoć prezes Julien Verley i wiceprezes ds. programowych Christian Anting. Beata Mońka nie chciała z nimi rozmawiać na temat jej odejścia z nC+. – Nie będę tego ko-

mentować – stwierdziła jedynie. W ślad za nią z firmy odeszła Kamila Barabas, szef HR i administracji.

Najwyraźniej firma dostrzegła wreszcie i doceniła znaczenie strony Anty nC+. Prezes Julien Verley postanowił zaprosić na rozmowę twórcę strony na Facebooku krytykującej nC+. „Jestem pod dużym wrażeniem działań pana i społeczności Anty nC+. Głos Anty nC+ jest dla mnie niezwykle ważny. Chciałbym się spotkać i podczas konstruktywnej rozmowy omówić wszelkie obserwacje i pytania, które od 21 marca pojawiły się na fanpage i na stronie Anty nC+” – napisał prezes Verley. Zaprosił twórcę strony na spotkanie w siedzibie firmy. Zapropował mu także... pracę. Dawid Zieliński nie skorzystał jednak z tej propozycji. Nie spotkał się też z prezesem. – W pierwszym momencie myślałem, że to jakiś żart. Później emocje jednak opadły i ostatecznie postanowiłem wysłać do pana prezesa odpowiedź w formie listu otwartego. Najpierw został wysłany na pocztę, a później opublikowany na profilu Anty nC+ – opowiada Dawid. Dodaje, że odmówił spotkania, bo stwierdził, że nie jest w stanie reprezentować wszystkich abonentów Cyfry+ oraz telewizji „n”. – Wyszukałem najczęściej pojawiające się w komentarzach postulaty i przedstawiłem je w liście – opowiada. Dodaje, że nie był też zainteresowany pracą w platformie cyfrowej.

Niema telewizja

Jak mówi twórca Anty nC+, platforma poległa, bo nawaliła komunikacja firmy z klientami. – To chyba był największy problem. Zresztą to nie tylko moje zdanie – mówi Dawid Zieliński. Na to samo zwracają uwagę specjaliści. – Nieinformowanie klientów o zmianach, z dnia na dzień ramówka przewrócona do góry nogami. Kanały płatne, tj. HBO, umiejscowione na dalekich archipelagach pilota (160 kanał), a numer jeden to TVN. Z punktu widzenia normalnego widza i człowieka, który nie lubi zmian,



to horror – zauważa prof. Grzegorz Mazurek z Akademii Leona Koźmińskiego. Dodaje, że pozostawiony na landing page'u kontakt pozostaje bez odpowiedzi. – Szum, który powstał w związku z nC+, nie miałby takiej siły rażenia, gdyby nie zaangażowanie mass mediów. W szczególności widać wyraźnie aktywność

portali, z których temat praktycznie nie schodzi – zauważa specjalista. Jego zdaniem wciąż dużą rolę w kreowaniu siły rażenia społeczności internetowych odgrywają mass media, czy to elektroniczne, czy tradycyjne.

– To wskazówka dla strategów e-społeczności. Mass media długo jeszcze będą miały się dobrze i jeśli społeczność chce działać skutecznie, powinna zmyślnie współpracować z mediami, które ma ambicje kiedyś zastąpić – uważa prof. Mazurek.

Siła fanpage'u Anty nC+ była nie na rękę nie tylko nowej platformie cyfrowej, ale też chyba samemu Facebookowi. W ostatni czwartek i piątek przestała ona być widoczna w wyszukiwarce portalu społecznościowego. Zamiast niej ukazywały się strony społeczności liczących po 200 lajków. – Jest wiele podróbek na Facebooku – zauważa Dawid Zieliński.

Mimo wysłanych przez nas pytań nikt z nC+ nie przekazał oficjalnego stanowiska w sprawie konfliktu z klientami. Rzecznik firmy Michał Stryjecki nie odpowiedział na nie. Nie odbierał też telefonu.

Jak mówi twórca Anty nC+, platforma poległa, bo nawaliła komunikacja firmy z klientami.

My, nabici

Nie tylko połączone platformy cyfrowe odczuły boleśnie, co może oznaczać siła oburzonych klientów. Ponad dwa lata temu głośno było o proteście klientów mBanku i MultiBanku wchodzących w skład grupy BRE Banku. Czuli się oni oszukani, gdyż umowy hipoteczne we frankach szwajcarskich przewidywały możliwość zmiany wysokości oprocentowania (to tak zwane umowy starego portfela), które bank podwyższał, ale niechętnie je obniżał lub nie robił tego wcale. Klienci uznali, że bank naruszył umowę i ponosi odpowiedzialność odszkodowawczą wobec każdego klienta. Tysiące „nabitych”, nazywanych też „franciszkanami” (od warty, w której zaciągnęli kredyt), zorganizowały na początku września 2010 r. w ramach akcji „Grupa na Bank” szereg spotkań. W ich trakcie zdecydowali się wystąpić z pozwem zbiorowym przeciwko bankowi. Zarzucili mu nieuczciwe ustalanie wysokości oprocentowania kredytu hipotecznego. – Wielokrotnie rozmawialiśmy z reprezentacją klientów, dlatego w okresie 2008–2009 r. udało nam się wspólnie wypracować nową ofertę dla osób spłacających kredyty z tzw. starego portfela. Była to pierwsza w Polsce propozycja stworzona od podstaw przez bank przy aktywnej współpracy z klientami. Żadna inna instytucja finansowa nie zdobyła się do tej pory na takie działanie – wspomina Krzysztof Olszewski, rzecznik prasowy Grupy BRE Bank. Ostatecznie, jak podaje Olszewski, 1,2 tys. osób z ponad 20-tygodniowej grupy klientów, mimo wypracowanego porozumienia, zakwestionowało w sądzie podpisane kilka lat temu umowy o kredyt hipoteczny. Proces jest w toku.

Na zdjęciu u góry: Niezadowoleni klienci mBanku w 2010 roku zorganizowali akcję protestacyjną „Grupa na Bank”. Poniżej: fanpage zrzeszający krytyków nC+ rośnie błyskawicznie.

– Siła wirtualnych antyspołeczności konsumenckich jest już faktem i na podstawie tej historii, ale też wcześniejszych (m.in. nabiciwmbank, antynikonowcy) naprawdę nikomu nie radzę, aby traktował swoich klientów w tak arogancki sposób jak „oskarżeni” – mówi prof. Mazurek.

Zauważa też, że organy państwowe, jak choćby Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, nie działają tak, jakby oczekiwali tego klienci. – Dopiero po zaistnieniu e-społecznościowego protestu UOKiK zaczął dokładnie badać sprawę, klienci znów byli zdani na siebie – podkreśla prorektor Akademii im Leona Koźmińskiego.

Zwraca też uwagę, że kluczem do sukcesu e-społeczności i osiągnięcia przez nią celu jest umiejętne promowanie swoich działań również w mediach masowych, które mogą – poprzez popularyzację sprawy – wspomóc społeczność w jej działaniach i postulatach. – Należy również pamiętać, że o skuteczności działań e-społeczności zadecyduje finał, a on dopiero przed nami. Obawiam się, że w kontekście pozycji, jaką na rynku zajmuje nC+, istotne ustępstwa będą niespodzianką. Cóż, ktoś pozwolił, by tak potężny byt powstał, a to dzisiaj odbija się klientom poważną czkawką – dodaje prof. Mazurek.

REKLAMA



Wspierając Związek Ochotniczych Straży Pożarnych, ratujesz życie i mienie swoje oraz swoich najbliższych.

1% podatku - to pomoc, która NIC nie kosztuje darczyńcę.

KRS 0000 116 212

Związek Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej

www.1procentosp.pl

ANTY NC+

Anty NC+ jest już na Facebooku.

Aby połączyć się z użytkownikiem Anty NC+, zarejestruj się na Facebooku jeszcze dziś.

Rejestracja Zaloguj się

Beata Mońka (wiceprezes nC+) była

www.antyncplus.pl
facebook.com/antyncplus

JESTEM NA NIE !!!

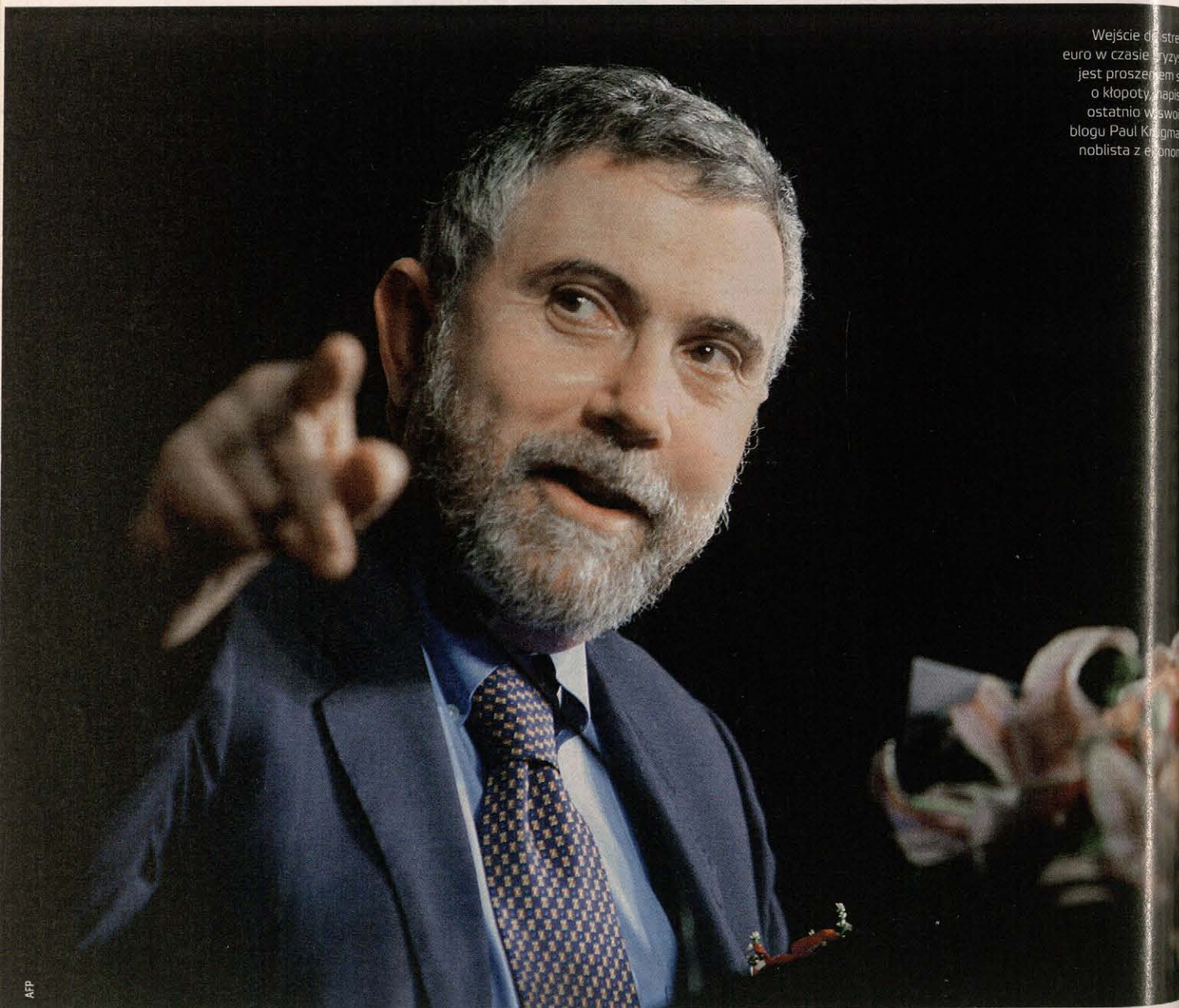
Anty NC+
67.773 osoby lubią to · 46.904 osoby o tym mówią

Lubię to!

Społeczność
Jesteśmy grupą dotychczasowych klientów platform satelitarnych „n” i „c+” zmuszonych do migracji do telewizji nC+. Jeżeli Tobie też nie podoba się sposób, w jaki traktowani są klienci, dołącz do nas.

Informacje Zdjęcia Osoby, które to lu... Wydarzenia

67.773



Wejście do strefy euro w czasie kryzysu jest proszeniem się o kłopoty, napisał ostatnio w swoim blogu Paul Krugman, noblista z ekonomii

Krugman, laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii i publicysta dziennika „New York Times” wywołał w Polsce spore zamieszanie, bo napisał niedawno w blogu, że powinniśmy się trzymać z dala od pułapki, jaką jest strefa euro...

Krugman nie tylko odradza Polsce wejście do strefy euro, ale też wielu innym krajom, które już w niej są, zaleca szybką ewakuację. Ostatnio stwierdził, że strefę euro powinien opuścić Cypr, wcześniej to samo rekomendował Grecji. Nawet Włochom według niego byłoby lepiej, gdyby wróciły do swojej waluty.

A Polsce jest rzeczywiście lepiej na zewnątrz?

Polska, tak jak inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej, wraz z akcesją do UE zobowiązała się wejść do strefy euro. Formalnie więc to pytanie jest bezprzedmiotowe.

Zawsze istnieje możliwość wypisania się z UE.

To prawda. Pytanie tylko, czy w przypadku Polski cena wyjścia z UE nie przewyższyłaby kosztów związanych z obowiązkiem przyjęcia euro w jakiejś nieokreślonej przyszłości. Polska to wprawdzie dość duży kraj, dla którego ważnym motorem rozwoju jest popyt wewnętrzny. Dodatkowo jej położenie stwarza duże możliwości handlu ze Wschodem. W tym sensie Polska

ma większe pole manewru i większą niezależność niż np. Czechy. Ale mimo to polska gospodarka jest silnie zintegrowana z zachodnią Europą, tam trafia większość polskiego eksportu. Przynależność do UE daje więc wymierne korzyści handlowe. Ale to nie oznacza, że należy integrację zacieśniać i spieszyć się z przyjęciem euro. Tym bardziej, że obecnie samej strefie euro nie za bardzo zależy na przyjmowaniu nowych członków, więc Polska na pewno nie jest pod presją.

Polski rząd argumentuje, że przynależność do strefy euro pozwoliłaby nam współdecydować o zmianach, jakie zachodzą w strefie euro.

Ten argument do mnie trafia. Podobnego zresztą używał rząd Łotwy, która zamierza wejść do strefy euro z początkiem przyszłego roku.

A Polska to większy kraj, więc miałaby jakąś siłę przebicia. Ale w tym momencie przynależność do unii walutowej wiązałaby się z wysokimi kosztami. Polska musiałaby dokładać się do funduszy pomocowych dla zadłużonych krajów i instytucji finansowych. Utraciłaby też swobodę kształtowania polityki pieniężnej, co w okresie spowolnienia gospodarczego byłoby uciążliwe. No i musiałaby poddać się zaostrzonym niedawno rygorom fiskalnym.

Łotwy, a wcześniej Estonii i Słowacji, te koszty nie odstraszyły.

Mało tego, Łotwa i Estonia zapłaciły ogromną cenę za to, żeby do strefy euro wejść. W trakcie kryzysu sprzed kilku lat musiały utrzymywać sztywny kurs swoich walut wobec euro, które było wówczas dość mocne. Przez to nie mogły złagodzić recesji na drodze dewaluacji własnych walut. Gospodarka Łotwy skurczyła się w efekcie o jedną czwartą. Do dziś stopa bezrobocia jest tam wysoka, a pewnie byłaby jeszcze większa, gdyby nie to, że tysiące Łotyszki emigrowały na Zachód.

Wielu ekonomistów wskazuje, że konieczność podporządkowania się reżimowi fiskalnemu to największy plus przynależności do strefy euro. A rezygnacja z własnej polityki pieniężnej oznaczałaby dziś, że stopy procentowe zamiast 3,25 proc. wynosiłyby 0,75 proc. To nie jest korzyść?

No cóż... bańki na rynkach nieruchomości Hiszpanii czy Irlandii, które kilka lat temu z hukiem pękły, pokazują, że tani kredyt nie zawsze jest błogosławieństwem. Gdybym był polskim premierem, zacząłbym szykować kraj do akcesji do strefy euro dopiero wtedy, gdy będzie jasne, że kryzys zostanie zażegnany, a Europa Zachodnia znów zacznie się rozwijać. Do tego czasu nie warto pętać się ograniczeniami, które obecność w eurolandzie narzuca.



BOB MCKEE/INDEPENDENT STRATEGY

BOB MCKEE

ekonomista, współpracuje z londyńską firmą konsultingowo-badawczą Independent Strategy, jest współautorem kilku książek, w tym „Democrisis”. Twierdzi, że źródłem obecnego kryzysu finansowego jest kryzys demokracji.

ROZMAWIA GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Euro może poczekać

Gdybym był polskim premierem, zacząłbym szykować kraj do akcesji do strefy euro dopiero wtedy, gdy będzie jasne, że kryzys zostanie zażegnany – przekonuje w rozmowie z „Przekrojem” ekonomista Bob McKee.

KRS: 0000097123



... bo jutro



Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



mnie nie będzie



Małe europejskie kraje chcą wejść do strefy euro bez względu na koszty. Najpierw Estonia i Słowacja, a teraz Łotwa.

JACQUES COLLET/AP

O ilu mniej więcej latach mowa?

Szansę na to, że strefa euro przetrwa, oceniam wysoko, na około 85 proc. Moje obawy budzi niepewna sytuacja we Włoszech, które po niekonkluzywnych wyborach parlamentarnych są kompletnie niesterowne, oraz problemy hiszpańskiego sektora bankowego. Sądzę, że gaszenie kryzysu zajmie jeszcze rok, może dwa lata. To nie znaczy, że Grecja, Irlandia, Cypr i inne ogarnięte kryzysem kraje będą wtedy kwitły. Nadal pozostaną na uciążliwej kuracji odłużeniowej. Ale przynajmniej będzie wiadomo, czy przynosi ona efekty.

Może Krugman ma rację, że kraje z południa strefy euro szybciej wylizałyby się ze swoich problemów, gdyby wróciły do własnych walut?

Te kraje popadły w tarapaty, bo utraciły konkurencyjność międzynarodową. Zbyt szybko rosły tam koszty produkcji. W ramach strefy euro istnieje jedno remedium na tę bolączkę: cięcie płac, świadczeń społecznych i wszystkiego, co podwyższa koszty produkcji. To oznacza ogromne obniżenie standardu życia. Krugman sądzi, że Grecja, Hiszpania itd. mogłyby ulżyć swoim cierpieniom, gdyby wyszły ze strefy euro. Ich nowe waluty mocno by się osłabiły, co przywróciłoby im szybko

konkurencyjność. Tyle że miałyby to też liczne negatywne konsekwencje, które Krugman bagatelizuje.

Jakie?

Wszystkie długi rządów i społeczeństw krajów z południa strefy euro są w tej właśnie walucie. Po powrocie do własnych walut, które osłabiłyby się wobec euro, ciężar tych długów dramatycznie by wzrósł. Oczywiście, można ich po prostu nie spłacać, ale to poskutkowało by falą bankructw w sektorze bankowym. Dewaluacja nowej waluty oznaczałaby też skok inflacji, bo podrożałyby wszystkie produkty z importu. Nie wiem, czy spadek standardu życia, który by się z tym wiązał, nie byłby większy niż ten spowodowany oszczędnościami.

Doświadczenia Islandii sugerują, że dewaluacja waluty może być dobrym pomysłem.

To ulubiony przykład Krugmana. Według niego Islandia powinna być wzorem dla wszystkich krajów, które zmagają się z kryzysem. Kilka lat temu zdevaluowała walutę, a problem zadłużenia rozwiązała, ogłaszając częściową niewypłacalność. Ale mam wątpliwości, czy Islandia jest dziś w lepszej sytuacji niż Grecja. Standard życia na tej wyspie, właśnie w związku z wysoką infla-

cją, jest dziś o około 40 proc. niższy niż przed kryzysem. Podobnie jak w Grecji.

Mnie w argumentacji Krugmana najbardziej dziwi to, że rekomenduje on Polsce, aby pozostała przy własnej walucie, bo to ułatwia walkę z kryzysem spowodowanym utratą konkurencyjności. Ale przecież obecnie taki kryzys nam nie grozi.

Krugman najwyraźniej zakłada, że członkostwo w strefie euro zwiększa ryzyko wystąpienia w kraju takiego kryzysu. Ale z tym można polemizować. Zresztą, można się spierać także o to, czy rzeczywiście posiadanie własnej waluty ułatwia walkę z kryzysem. Przeczą temu doświadczenia Wielkiej Brytanii. W ostatnich latach funt stracił jedną trzecią wartości wobec innych ważnych walut, a mimo to brytyjska gospodarka wcale nie radzi sobie lepiej niż gospodarka eurolandu. To pokazuje, że dewaluacja waluty nie zawsze przynosi ogromne korzyści.

Jak to wytłumaczyć?

Zwolennicy teorii Keynesa, w tym Krugman, powiedzieliby, że problemem Wielkiej Brytanii są niedostateczne wydatki publiczne. Według nich brytyjski rząd – podobnie zresztą jak amerykański – powinien zwiększyć wydatki, aby rozruszać gospodarkę. Dzięki temu, że gospodarka by się rozwijała, malałby stosunek zadłużenia kraju do PKB. Ale historia nie potwierdza tej teorii. Stosując keynesowskie recepty, Japonia dorobiła się długu na poziomie ponad 200 proc. PKB, a jej gospodarka od dwóch dekad tkwi w stagnacji.

Powiedział pan, że w ramach strefy euro jedyną drogą do odzyskania konkurencyjności są cięcia kosztów produkcji, czyli tzw. wewnętrzna dewaluacja. Pojawiają się jednak inne pomysły. Na przykład Allan Meltzer uważa, że strefa euro powinna chwilowo podzielić się na dwa obozy. W jednym byłyby wszystkie kraje z problemami. Ich euro osłabiłoby się wobec euro klubu silnych

państw. Dzięki temu odzyskałyby konkurencyjność, a potem dołączyły do klubu silnego euro.

To zachwycająca akademicka teoria, która pięknie prezentuje się na papierze. Ale gdy tylko zaczniemy się zastanawiać, jak taki podział strefy euro przeprowadzić w praktyce, teoria traci blask. Wyobrażam sobie, jak kraje z południa strefy euro wspólnie do czegoś dążą pod świątym przewodnictwem Silvia Berlusconi (śmiech).

A poważnie mówiąc, to nigdy nie zgodzą się na to Niemcy, którym silne euro mogłoby zaszkodzić. Tymczasem jeśli w ogóle jest w stanie spowodować rozpad eurolandu, to właśnie wycofanie poparcia dla tego projektu przez Niemców, a nie kryzys na Cyprze czy

w Grecji. A na razie większość niemieckich polityków utrzymuje, że strefa euro to udany projekt.

A jak jest faktycznie?

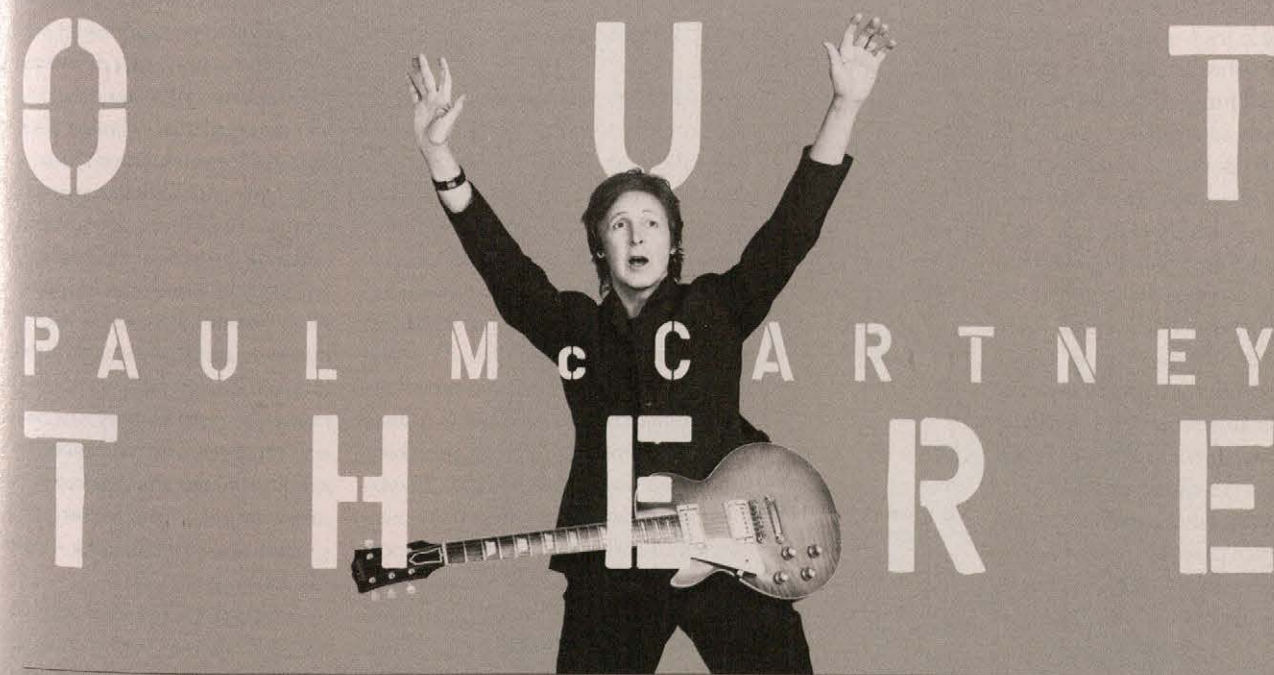
Unia walutowa powstała jako kolejny krok na drodze do integracji Europy. Jedna waluta i jeden bank centralny dla wszystkich państw miały zapewnić większą stabilność gospodarczą, zmniejszyć koszty transakcyjne, ułatwić handel. Te korzyści nadal istnieją. Kryzys po prostu uwidocznił pewne mankamenty tego projektu, których, niestety, nie da się łatwo usunąć. Stabilność strefy euro zwiększyłyby automatyczne transfery fiskalne od bogatych do biednych, takie jak w ramach jednego państwa, gdy zamożne regio-

ny wspierają te ubogie. To zdecydowanie zmniejsza ryzyko, że któryś region będzie miał kłopoty fiskalne. Po drugie, aby unia walutowa funkcjonowała dobrze, musi istnieć swobodny prze-

Do czasu kiedy w eurolandzie rządzi recesja, nie warto pętać się ograniczeniami, które narzuca obecność w unii walutowej.

plyw ludzi i kapitału między regionami biednymi i bogatymi. A wobec barier językowych bezrobotnemu Hiszpanowi nie jest łatwo wyjechać do Niemiec. Te problemy twórcy eurolandu zignorowali.

REKLAMA



22 CZERWCA 2013, STADION NARODOWY, WARSZAWA

BILETY: EVENTIM.PL LIVENATION.PL

PAULMcCARTNEY.COM

#OUTTHERE



Współorganizator

LIVE NATION



onet.

STYL

SHOW

PANI

STRÓB



OLGA ŚWIĘCICKA

Życie w odcinkach

Żyją od odcinka do odcinka. Potrafią na nie czekać miesiącami, a potem pochłaniać je całymi nocami. Przyjaźnią się z dziewczynami z „Girls”, leczą się u „Chirurgów” i przechadzają po Nowym Jorku z bohaterami „Plotkary”. Życie przepływa im między epizodami. **Serialowcy – ludzie, którzy nigdy nie śpią.**

Zeby przestać oglądać, zaczęłam zostawiać laptopa w pracy. W komórce mam dostęp do Internetu, więc mogłam sprawdzić pocztę, rzucić okiem na Facebooka czy zobaczyć rozkład autobusów, ale serialu już się na niej nie dało oglądać. Pierwsze tygodnie były ciężkie. Powoli jednak udało mi się zwalczyć mój nałóg. Kiedyś musiałam zawsze coś obejrzeć do kolacji czy na dobranoc. Teraz sięgam po książkę. Nadal jednak boję się kusić los i trochę z przyzwyczajenia, a trochę dla zasady zostawiam komputer w biurze – opowiada Julka. Zanim jednak udało jej się w pełni wyzwolić z uzależnienia, podejmowała kilka prób. Obiecywała sobie, że będzie oglądała tylko odcinek dziennie, odłączyła Internet, prosiła bliskich o zmianę hasła w komputerze. Nic to jednak nie dawało. Chęć poznania dalszych losów chirurgów z Seattle czy rozpustnika z LA była silniejsza od niej. – Potrafiłam wpaść w kilkuodcinkowy ciąg. Z każdym kolejnym obiecywałam sobie, że to już ostatni, a potem jakoś tak samo się działo, że był następny i następny. Czułam się winna, ale nie mogłam przestać – opowiada.

Julka jest jedną z wielu. Wystarczy zobaczyć, co dzieje się w mediach społecznościowych w dniu wejścia kolejnej serii popularnego serialu „Gra o tron”, żeby zrozumieć, że wkręconych są miliony. Początki uzależnienia są niewinne i zwykle zaczynają się od słowa „nuda”. Kasia pierwszy serial dostała od taty. – Byłam w klasie maturalnej, kiedy kupił mi „Friendsów” na DVD. Zamknęłam się w pokoju i naraz obejrzałam cały sezon.

Krystian Bogucki ogląda obecnie trzynaście seriali naraz. Kluczowy jest dla niego pilot i pierwszy odcinek. Jeśli mu się spodoba, nie jest w stanie oderwać się od historii.

Poprosiłam o kolejny. Co tydzień dostawałam nową płytę i ztracałam się w świecie nowojorskich przyjaciół. Kiedy skończyła się seria, zaczynałam od początku. Udawałam, że się uczę, ale w rzeczywistości cały czas myślałam o moich serialowych przyjaciółach. Kiedy poznałam mojego obecnego męża, najpierw puściłam mu mój serial. Śmiałyśmy się oboje. Boję się myśleć, co by było, gdyby mu się nie spodobało. Może to brzmi głupio, ale to był dla mnie ważny test – opowiada Kasia.

Większość namiętnych oglądaczy ma problem z wymienieniem wszystkich zaliczonych seriali, wszyscy jednak doskonale pamiętają ten pierwszy. Marta Ankersztejn we wczesnym dzieciństwie, zamiast chodzić do przedszkola, z przyzwaną babcią oglądała „Dynastię” i „Modę na sukces”. Anka przypadkowo natrafiła w telewizji na „Lostów” i została z nimi na kilka kolejnych sezonów. Zuzia Cichowska przypomina sobie „Ostry dyżur”, na który spieszyla się po szkole, a Krystian Bogucki wspomina „Przyjaciół”, którzy w jego studenckim mieszkaniu w Krakowie lecieli na okrągło. Dopóki jednak seriale były puszczone w telewizji, można było nad tym jakoś zapanować. Wszystko się zmieniło, kiedy masowo zaczęto je udostępniać w Internecie. Z dnia na dzień stały się powszechne. Dostępne w każdym miejscu i o każdej porze dnia i nocy.

Od zmierzchu do świtu

Noc to szczególnie ważna pora dla serialowców. Nowe odcinki w Stanach mają

zwykle premierę po południu, co oznacza, że w Polsce pojawiają się nad ranem. Marta przyznaje, że zdarzało jej się specjalnie budzić na kolejną porcję historii. Podobnie Kasia, która kiedyś zajmowała się robieniem napisów do popularnego serialu. – Odcinek pojawiał się nad ranem. Razem z grupą fanów ściągałiśmy go i dzieliliśmy na 10-minutowe części. Każdy pracował nad jedną. Zdarzało się więc, że tłumaczyłam samą końcówkę, żeby dopiero po skończonej pracy obejrzeć całość – przyznaje dziewczyna. Noc to jednak nie tylko czas oczekiwania, ale też czas oglądania. W końcu dla większości zagonionych młodych ludzi moment położenia się do łóżka jest pierwszą wolną chwilą w ciągu dnia. – Zaczynałam od odcinka na dobranoc. Ale zdarzało się, że wyłączałam komputer dopiero wtedy, kiedy orientowałam się, że już świta. Kiedy jestem wkręcony w jakiś serial, potrafię spać dwie godziny na dobę. W pracy mówię, że mam kłopoty z bezsennością, a w rzeczywistości całe noce spędzam z moimi bohaterami. Nawet jeśli przysnę, przewijam stracone minuty. Nigdy nie przerywam w pół odcinka – zwierza się Maciek Węgier.

Krystian, kiedy zaczął oglądać „Sześć stóp pod ziemią”, też nie mógł przestać. – Przez trzy dni nie robiłem nic innego. Nie miałem wtedy pracy ani żadnych obowiązków, więc mogłem sobie na to pozwolić. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy zobaczyłem ostatni odcinek. Byłem jak w transie – opowiada. Podobną sytuację przeżyła Marta, która namiętnie zaczęła oglądać seriale w trakcie pisania pracy ma-



gisterskiej. – Czułam, że nie jestem w stanie nic zrobić, dopóki trwa serial. Moja głowa była absolutnie zajęta przez jego bohaterów. Oglądałam od rana do nocy. Kiedy mój chłopak wracał z pracy, kombinowałam, co mu opowiedzieć, żeby nie wyszło na jaw, że cały dzień zmarnowałam na oglądaniu. Chwalałam mu się więc, że powiesiłam pranie czy wysłałam e-maila. W rzeczywistości zajmowałam się tymi czynnościami tylko dlatego, że czekałam, aż ściągnie mi się kolejny odcinek – mówi.

Serialowi nałogowcy przyznają się, że najczęściej popadali w filmowy ciąg w sytuacjach, kiedy na ich głowie było najwięcej obowiązków. – Serial był dla mnie ucieczką – zwierza się Zuza. – Zamiast pracować nad pracą magisterską, po prostu oglądałam kolejny odcinek i wyłączałam myślenie. Czułam się z tym beznadziejnie, więc żeby zabić to uczucie, odpałam kolejny. Zdarzało się tak, że cały tydzień mijał mi na oglądaniu i uciekaniu przed odpowiedzialnością – wspomina.

Czasem dla serialu rezygnuje się z pracy, ale częściej cierpi na tym życie towarzyskie. Krystian wielokrotnie rezygnował z wyjścia z przyjaciółmi na imprezę, bo wolał „posiedzieć” sobie ze znajomymi z serialu. Podobnie Anka, której zdarzało się w ostatniej chwili zrezygnować z planów na rzecz kanapy i komputera. – Czułam, że aktorzy z serialu są mi poniekąd bliżsi od obcych ludzi w klubie czy na imprezie. W końcu spędzałam z nimi mnóstwo czasu i znałam jak przyjaciół.

Życie towarzyskie w odcinkach

Kasia była na tyle zżyta z szóstką przyjaciół z Nowego Jorku, że za każdym razem, gdy kończyła ostatnią serię, robiło jej się przykro i zaczynała od nowa. – Nie potrafiłam ich zostawić. Przez kilka tygodni żyłam ich życiem i czułam się jak jedna z nich.

Krystian nałogowo ogląda „Seks w wielkim mieście”. Odcinek „Kotwice w górę”, który kończy monolog Carrie: „Doszłam do wniosku, że mężczyźni nie są mi niezbędni do życia, bo tak naprawdę co wieczór umawiam się ze swoim miastem”, ogląda za każdym razem, kiedy jest mu smutno. – Znam ten serial na wy-



JERZY DUDEK

Marta Ankiersztejn lubi seriale medyczne, na których można sobie popłakać. Jej mąż, Maciek Węgier, woli bardziej męskie historie. I dlatego czasami oglądają osobno.

rywki, ale i tak przynajmniej raz w roku oglądałam go od początku do końca. Daje mi niesamowitą siłę – zwierza się.

Anka w trakcie oglądania nowego odcinka „Chirurgów” potrafi kilka razy zadzwonić do najlepszej przyjaciółki. – O bohaterach z serialu rozmawiamy jak o naszych znajomych. Cieszymy się ich sukcesami, martwimy się, jak sobie nie radzą, kibicujemy ich miłościom. Zdarza nam się płynnie przejść od plotkowania na temat realnych znajomych do opowieści o tych serialowych – mówi.

Serial to dobry katalizator emocji. Marta przyznaje, że szczególnie lubi te „medyczne”, bo na nich można sobie dobrze popłakać. – W „Chirurgach” prawie w każdym odcinku ktoś ginie. Fabuła jest tak poprowadzona, żeby wzruszać. Maćka strasznie denerwuje ten serial, więc muszę oglądać go w słuchawkach. Zdarza się, że leżymy w łóżku obok siebie i każde z nas jest zatopione w swoim świecie. Ja wycieram łzy, śledząc losy lekarzy, a Maciek ma rumieńce od oglądania brawurowych przygód gangu motocyklowego – śmieje się Marta. Gorzej, kiedy emocje się skończą. Krystian, który obecnie ogląda 13 seriali naraz, przyznaje, że większość z nich w ogóle już go nie

interesuje. – Scenarzyści robią wszystko, żeby przeciągnąć historię w nieskończoność. Kiedy zaczynałam oglądać komediową produkcję „Jak poznałam waszą matkę”, byłam zachwycona. Teraz oglądam dziewiąty sezon i tylko czekam, aż ten serial się skończy. Mam zasadę, że nigdy nie przewijam, ale zdarza mi się podczas 20-minutowego odcinka rozmawiać przez telefon czy wysłać e-maila. Oglądam to tylko dlatego, żeby w końcu poznać tytułową matkę – żali się.

Zuza takie seriale określa słowem „zapasowe”. – Na liście oglądanych mam kilka tytułów, po które sięgam w ostateczności. Zwykle to serial, który średnio mi się podoba, ale jest na tyle wciągający, że pozwala choć na chwilę wyłączyć myślenie – opowiada.

Pokora to kolejna cecha serialowców. Kasia przyznaje, że potrafiła przemęczyć kilka pierwszych odcinków, żeby móc bez wyrzutów zrezygnować z dalszego oglądania. Dla Krystiana kluczowy jest pilot i pierwszy odcinek, a Maciek poszukuje nowych tytułów na forach internetowych. Zwykle zanim trafią na coś, co zaszkodzi, podejmują kilka prób. O nowych tytułach dowiadują się od przyjaciół albo z Facebooka. Nawet jeśli długo nie mogą



KRYSZTOF SKODOWSKI

trafić na coś interesującego, rzadko pojawia się myśl, żeby po prostu przestać.

Serialogodziny

– Kiedy popsuł się w moim mieszkaniu Internet, potrafiłam obejrzeć odcinek na telefonie. Nic nie widziałam, ale nie mogłam oprzeć się pokusie – opowiada Zuza. Anka oglądała seriale w Bibliotece Uniwersyteckiej, kryjąc się między półkami, a Marcie zdarzało się puścić odcinek, siedząc w kawiarni. Każde warunki są dobre do pochłonięcia kolejnej porcji historii. Krystian zwykle ogląda podczas posiłku. Na jednym odcinku nigdy jednak się nie kończy. – Po obiedzie jest czas sjesy. Oczywiście z serialem. Potem jakoś tak wychodzi, że popołudnie przechodzi w wieczór i nagle orientuję się, że sześć odcinków za mną – przyznaje chłopak. Anka dopiero gdy urodziła dziecko, zrozumiała, ile czasu marnuje na oglądanie. – Obiecałam sobie, że skończę to, co właśnie oglądam, i nie zaczęłam żadnego nowego serialu. Po pierwsze, naprawdę już nie mam kiedy oglądać, a poza tym wstydę się, że jak moja córka podrośnie, to przyłapie mnie na oglądaniu tych głupot – deklaruje.

Wstyd to uczucie, które często towarzyszy nałogowcom. Maciek, zanim sam

Dla Zuzy serial jest ucieczką przed obowiązkami. W największy ciąg wpadła, gdy musiała skończyć pracę magisterską.

zaczął zarywać noce dla gangu motocyklowego, wyśmiewał się z serialowych słabości swojej dziewczyny. – Długo uważałem, że serial to potworna strata czasu. Wolałem obejrzeć film albo poczytać książkę. Teraz jednak tak jak Marta siedzę nocami przed komputerem i pochłaniam kolejne odcinki. Nadal uważam, że to głupota, ale nie mogę przestać – mówi.

Czas to najważniejszy przeciwnik uzależnionych. Gdyby nie on, pewnie większość z nich nie miałaby nic przeciwko swojej serialowej słabości. W końcu przy pełnej gamie niedogodności związanych z uzależnieniem w całej sytuacji można znaleźć sporo plusów. – Mój angielski nigdy w życiu nie był tak dobry – opowiada Kasia. – Dzięki serialom poznałam mnóstwo słów i nabrałam swobody w mówieniu w tym języku – deklaruje. Krystian na serialach uczy się budowania relacji z innymi ludźmi, a Anka analizuje swoje małżeństwo. – Jedną z bohatererek „Gotowych na wszystko” jest bardzo do mnie podobna. Silna, zaborcza i często mocno ograniczająca swojego męża. Zawsze kiedy oglądałam ten serial, myślałam o naszym związku i błędach, które w nim popełniam – mówi. Korzyści mogą też być bardziej wymierne. Zuza dzięki

„Teorii wielkiego podrywu” dowiedziała się sporo o fizyce, a Marta, śledząc „Ostry dyżur” czy „Chirurgów”, pogłębiła swoją wiedzę medyczną.

Oczywiście nie ma co się oszukiwać. Serial to przede wszystkim czysta rozrywka. Nałogowcy deklarują, że nie tak ich nie potrafi zrelaksować jak odcinek przed snem. – Jeden epizod trwa od 20 do 40 minut. Akurat tyle, żeby się odprężyć. Kiedy mam do wyboru dwugodzinny film albo kilkudziesięciominutowy serial, zawsze wybiorę ten drugi – mówi Krystian. Przewaga serialu nad filmem jest oczywista. – Serial, który zwykle trwa kilka sezonów, stwarza aktorom możliwość pogłębionej kreacji postaci. Zwykle kręci się go kilka lat, więc w kolejnych odcinkach możemy obserwować nie tylko dojrzewanie aktorów, ale też zmiany w dzisiejszym świecie – opowiada.

Dzisiejsze seriale rzeczywiście potrafią być prawdziwym majstersztykiem i mają niewiele wspólnego z mydlanymi telewizyjnymi produkcjami. Często są kręcone przez znanych reżyserów i grają w nich pierwszoligowi aktorzy. Od filmu różnią się więc tylko tym, że potrafią trwać w nieskończoność.

Zimą tego roku na pewien czas zamknięto portal, którego większość Polaków używała do nielegalnego oglądania seriali. – Dobrze pamiętam ten dzień – zwierza się Krystian. – Byłem załamany. Miałem na nim wszystko. Konto premium, zakładki z ulubionymi serialami, zaznaczone najlepsze epizody. Z dnia na dzień pozbawiono mnie kawałka życia – opowiada. Kasia podobnie przeżyła strajk amerykańskich scenarzystów, kiedy to przez kilka tygodni nie produkowano nowych odcinków. – Ratowałam się czytaniem o serialach w Internecie, ale byłam zła, że tyle każą mi czekać na kolejne historie – zwierza się. Marta i Maciek nie pamiętają dnia, w którym nie obejrzeliby chociaż odcinka. Podobnie Zuza, która wyrabia normę pięciu dziennie, i Anka, która w kalendarzu ma zaznaczone dni, w których pojawiają się nowe epizody. Wszyscy deklarują, że oczywiście z dnia na dzień mogliby przestać oglądać. Tylko właściwie po co.



ANNA SAŃCZUK, ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA GAZETA

Smog wawelski

Pisząc „Krakowski spleen”, Kora nie przeczuwała, że słowa o czekaniu na wiatr, „co rozgoni ciemne, skłębione zastony”, zabrzmiały jak krzyk rozpaczycy w mieście, w którym normy zanieczyszczenia powietrza przekraczane są przez 200 dni w roku, i to nawet dziesięciokrotnie. By przełamać powszechną bezsilność, grupka mieszkańców założyła **Krakowski Alarm Smogowy**. Kolejne inicjatywy kielkują też w innych miastach południowej Polski.

Pasma brudnej mgły kłębią się między blokami osiedla, z rzadka przebija się przez nie widok zimowego nieba. Dziewczyna przemyka opustoszałymi ulicami, zatykając usta szalikiem. Matka próbuje ulżyć dziecku, które zanoszą się duszącym kaszlem, nieliczni przechodnie chowają się po bramach. To nie sceny z filmu katastroficznego o zdegradowanej ekologicznie cywilizacji dożywającej swoich dni w toksycznych oparach smogu. To 26 grudnia 2012 r. w Rybniku. Bijący rekordy popularności internetowy filmik wrzucił do sieci zdesperowany mieszkaniec miasta. Z badań ekspertów WHO (Światowa Organizacja Zdrowia), którzy przebadali 65 miast w Polsce pod kątem smogu, wynika, że tylko sześć z nich spełnia europejskie normy. Według nich najbardziej zanieczyszczone powietrze jest w Krakowie, Rybniku, Katowicach, Zabrze i Nowym Sączu. Choć problem dotyczy w dużej części industrialnego Śląska, to paradoksalnie tym, co najbardziej „karmi” zabójczy smog, nie jest wielki przemysł, ale... przydomowe piece grzewcze. Właściciele palą w nich nie tylko węglem, ale szczególnie groźnym mułem węglowym i śmiećmi (choć to zabronione) – oponami, plastikiem, lakierowanym drewnem. Najgorzej jest w Krakowie. – Sytuacja jest dramatyczna – potwierdza Michał Olszewski, krakowski pisarz i dziennikarz oraz rzecznik ekologicznej organizacji Client Earth. – Przeciwno dobremu powietrzu zmówiły się tutaj niekorzystne warunki geograficzne, czyli położenie w kotlinie, duża liczba dni bezwietrznych i zaszczości historyczno-polityczne: układ wiatrów jest równoleżnikowy, a po zachodniej stronie mamy Śląsk, po wschodniej zaś kombinat nowohucki. Do tego dokłada się fatalny dla wietrzzenia gwiazdzisty układ miasta – wszystkie te wąskie, kręte uliczki, także zła polityka przestrzenna i zabudowywanie terenów zielonych, potężna liczba samochodów, bieda oraz oszczędność – pali się wszystkim, co w rękę wpadnie.

Smog atakuje

„Przed chwilą wróciłem z biegania. Mogę powiedzieć, że czyszcząc oskrze-

ła, w domu wypluwałem węgiel!.. „Czuje się, jakby ktoś jakiś megapiec odpalił w Bronowicach. Po przejściu z przystanku do mieszkania cuchnie mi kurtka!.. „Otworzyłem na chwilę okno i teraz syn pyta: czy będziemy spać na śmierdząco?”. Internetowe wpisy przytacza Andrzej Guła, ekonomista, ojciec dwóch córek i współzałożyciel Krakowskiego Alarmu Smogowego, który dzień zaczyna nie od kawy, ale od sprawdzenia w Internecie stężenia pyłów w powietrzu. Kiedy rozmawiamy o sytuacji w Krakowie, nieustannie padają słowa „tragedia”, „dramat”. I nie bez przyczyny: – Mam tu ok. 200 dni z przekroczeniami dopuszczalnych stężeń pyłu zawieszonego [PM10], niejednokrotnie przekroczenia sięgają kilkuset procent – mówi Guła. I dodaje: – Jeśli chodzi o zanieczyszczenie rakotwórczym benzo(a)pirenem, to poziomy są 100 razy wyższe niż np. w Londynie, a kilkunastokrotnie wyższe niż w innych miastach Europy. Jeśli porównać to do palenia papierosów – mieszkaniec Krakowa, oddychając tujszym powietrzem, przyjmuje rocznie ilość benzo(a)pirenu odpowiadającą wypaleniu 2,5 tys. papierosów, w tym samym czasie mieszkaniec Londynu „wypala” 25 papierosów, a mieszkaniec Wiednia ok. 160. Niektórzy na Facebooku żartują, że krakowskie powietrze jest wyjątkowe, bo można je zobaczyć, a nawet ugryźć. A podczas dni z wyso-

Krakowski Alarm Smogowy tworzą ludzie, którzy mają dość opieszałości władz. Walczą z zanieczyszczeniem powietrza, bo w stolicy Małopolski normy są przekraczane nawet kilkusetkrotnie.

kimi stężeniami po prostu śmierdzi. Ludzie, którzy uprawiają jogging, mówią, że znacznie ciężiej się wtedy biega. W podobnym tonie wypowiadają się astmatycy i osoby cierpiące na inne schorzenia układu oddechowego. To nie przypadek, że w Krakowie dzieci rodzą się z mniejszą wagą urodzeniową, wzrostem i obwodem głowy, są bardziej podatne na choroby. Pokazują to wyniki badań z ostatniej dekady, prowadzonych przez krakowskich lekarzy.

Jak takie warunki wpływają na codzienne życie rodziny, opisuje Michał Olszewski, ojciec trójki małych dzieci: „Istnieje taki syndrom, który lekarze nazywają krakowskim nosem – wypisz wymaluj nasze dzieci go mają. Wracamy z wakacji, wrzesień i październik mijają zazwyczaj spokojnie. Potem przychodzi taki dzień, że całe przedszkole zaczyna pokasływać. Stoisz w szatni o ósmej rano i słyszysz, że to nie tylko twój dzieciak, ale również masa innych. Im dalej w zimę, tym gorzej. To jest stan półchoroby, nie wiadomo, co z nim zrobić – dziecko nie ma podwyższonej temperatury, nie ma klasycznych objawów przeziębienia, ale charcha, z przeproszeniem, jakby paliło od lat. I jego koleżanki i koledzy też. Nie wiadomo, czy zostawić w domu, czy puścić do przedszkola. W przedszkolu dzieci nie wychodzą na podwórko, bo jest smog. Czasem nie wieje całymi dnia-



mi, i wtedy jest najgorzej, w powietrzu wisi biała mgiełka. Nocami nie śpisz, bo najmłodsze dostaje ni z tego, ni z owego ataków kaszlu, mimo że nie jest astmatykiem ani alergikiem. Karmisz miodem, syropem z cebuli, syropem z mniszka – pomaga objawowo, na kilka dni. I tak się to ciągnie do kwietnia. A potem już spokój. Do końca października mniej więcej”.

Alarm dla miasta Krakowa

Z tego poczucia bezsilności wzięła się nieformalna inicjatywa kilku rodzin,

nie mogą dłużej czekać. Od rozpoczęcia działalności w grudniu 2012 r. idą jak burza, zorganizowali marsz anty-smogowy i – dzięki nieodpłatnemu wsparciu agencji reklamowej – kampanię społeczną „Kraków chce oddychać”, z 90 billboardami i spotami radiowymi. Hasła typu: „Krakowskie dzieci są wyjątkowe. Chorują trzy razy częściej na astmę oskrzelową niż inne dzieci”, zrobiły wrażenie także na prezydencie miasta. Teraz KAS zbiera podpisy pod petycją do władz samorządowych (mają ich już prawie 14 tys.).

stepnych danych epidemiologicznych, zanieczyszczenie powietrza jest odpowiedzialne za ponad 400 zgonów rocznie. Tego nie można lekceważyć!

Działacze KAS mówią, że przez wiele lat urzędnicy zamykali ten problem pod dywan, coś jednak drgnęło i obecnie w Krakowie trwają prace przy ustawie o zakazie palenia paliwami stałymi, w których uczestniczą też organizacje społeczne oraz ekologiczne. – Wydaje się, że udało nam się zmobilizować lokalnych polityków do dyskusji na temat jakości powietrza w Krakowie – mówi

wych w walce z zanieczyszczeniem powietrza. To pierwsza tego typu sprawa w Polsce. – Zareagowałem tak, bo straciłem już cierpliwość – żyma się pan Zdzisław i opowiada: – Norma dzienna stężenia pyłów zawieszonych na metr sześcienny powietrza według WHO wynosi 50 mikrogramów, a tymczasem normalne jest u nas przekroczenie jej do 600, 800 mikrogramów. Powietrze jest aż gęste. Nie ma mowy o spacerze, rowerze, nartach. Od razu łapie człowieka kaszel, łzawią oczy. Kładziesz się spać, a w tym czasie jesteś zatruty, smog cię powoli zabija.

Zirytowało go to, że w odpowiedzi Ministerstwa Środowiska na rybnicką petycję znalazły się, jak mówi, jedynie ogólne – jakie programy są prowadzone, ile wydano na cele ekologiczne, wymianę pieców itd. – Tymczasem my oceniamy działania po efektach, a fakty są takie, że wyniki pomiarów stężeń są coraz gorsze. Zapewnienia urzędników są więc wysoce nieprzekonywujące.

Nie ma pretensji do lokalnych władz, bo te robią, co mogą, w ramach obowiązującego prawa. W lutym zwołały kongres, na który zaprosiły specjalistów, by szukać rozwiązania dramatycznej sytuacji. W Rybniku, podobnie jak w wielu innych miastach Śląska, np. w Katowicach, przy wymianie pieców i przejściu na bardziej ekologiczne ogrzewanie oferowane są dopłaty ze środków unijnych. Jednak taka wymiana jest dobrowolna, a więc nieskuteczna: – Uważamy, że potrzebne są rozwiązania systemowe na poziomie całego kraju. Normy i nakazy dotyczące pieców leżą w gestii Ministerstwa Środowiska, nie miasta. Państwo żąda od miasta czystego powietrza, ale nie daje instrumentów prawnych do realizacji – uważa Kuczma, który liczy, że jego pozew wywoła poważną dyskusję o smogu w Polsce.

Wystosowanie podobnego pozwu rozważa też Szymon Kułakowski z Bielska-Białej, który od lat prowadzi działalność edukacyjną, dotyczącą m.in. palenia śmieciami w piecach, w ramach fundacji ekologicznej Arka. – Działamy na terenie całego kraju, w miastach wojewódzkich i małych ośrodkach, więc

mam całościowy ogląd sytuacji – mówi. – Pracujemy ze szkołami, samorządami, robimy happeningi i demonstracje.

Według niego problemem jest mentalność i przyzwolenie na palenie śmieciami: – Tutaj latem śmieci trafiają do rzeki Białki, a zimą lądują w piecach – opowiada o rodzinnych stronach. – Rozmawiam z wójtem małej miejscowości niedaleko Bielska-Białej i słyszę, że on nie będzie za to karał ludzi, bo go drugi raz nie wybiorą. Ręce opadają! – denerwuje się Szymon.

Także Andrzej Guła uważa, że wielkim problemem jest bardzo niska świadomość społeczna: – Ludzie nie zdają sobie sprawy, że paląc śmieci, emitują do powietrza silnie rakotwórcze związki – zabijają nie tylko siebie, ale i sąsiadów. Wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne bardzo negatywnie oddziałują na rozwój płodu. Pobłażliwość dla tych, którzy palą śmieci, jest niestety powszechna.

Widać jednak stopniowe zmiany. Kułakowski przytacza np. przypadek podwarszawskich Ząbek. To pierwsza gmina, która wprowadziła uprawnienia straży miejskiej do kontrolowania tego, co ludzie palą w piecach. Podobne rozwiązania zastosowano w Krakowie, jednak skuteczność tych działań jest bardzo niska. – Od lat strzępię sobie język w tej sprawie – mówi Szymon. – Jestem ojcem trójki dzieci i dużo rozmawiam z nimi o potrzebie tej zmiany, a zmiany nie widać. Wkurza mnie to. Takimi środkami jak edukacja zajmijmy nam to ze 20 lat, a działacze trzeba już dziś, muszą być zmiany w prawie. Urzędnicy wydają się przytłoczeni tym problemem, więc może rzeczywiście trzeba ich zmusić pozwem do działania. Na Zachodzie były takie przypadki i to zadziało.

Co dalej?

Kraków, inaczej niż działacze w Rybniku, wybiera na razie model mozolnych zmian na poziomie lokalnym, bez czekania na reakcję aparatu państwowego. Mieszkańców wspiera krakowianka



Pod Wawelem mówi się o syndromie krakowskiego nosa. Składają się nań katar, kaszel i osłabiona odporność. Syndrom dotyka głównie najmłodszych.

Małgorzata Smolak, prawniczka międzynarodowej fundacji ekologicznej non profit Client Earth: – Współpracuję z magistratem i Urzędem Marszałkowskim przy ustawie o zakazie palenia paliwami stałymi – mówi. – To pionierska praca, w Polsce jeszcze nikt tego nie zrobił. Opracowujemy właśnie treść uchwały i jest duża szansa, że mogłaby być

przyjęta razem z programem ochrony powietrza województwa małopolskiego, który zgodnie z prawem ochrony środowiska musi być zatwierdzony najpóźniej w listopadzie tego roku. Smolak podkreśla, że prawo do czystego powietrza wynika z Europejskiej konwencji praw człowieka. Orzecznictwo wywodzi je bezpośrednio z prawa do życia oraz prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego, a obowiązki władz publicznych do ochrony powietrza wynikają bezpośrednio z konstytucji, która stanowi, że każdy ma prawo do ochrony zdrowia, a władze publiczne są obowiązane do zapobiegania negatywnym dla zdrowia skutkom degradacji środowiska. – W prace nad uchwałą zaangażowane są obydwie urzędy i organizacje społeczne, co daje nadzieję na przyjęcie uchwały na jesieni tego roku. Sam zakaz obowiązywałby przy uwzględnieniu kilkuletniego okresu przejściowego na dostosowanie systemów grzewczych do nowych regulacji – wyjaśnia Smolak.

Andrzej Guła zaczyna wierzyć, że tym razem nastąpią realne zmiany. Upewnia go w tym zaangażowanie samych mieszkańców. – Otrzymujemy wsparcie od wielu ludzi i środowisk – ostatnio młodzi informatycy przygotowali darmową aplikację SMOK SMOG, za pomocą której można sprawdzić bieżącą jakość powietrza na iPhone. Krakowianie są coraz bardziej świadomi tego, co stanowi realny problem. Czas na polityków sejmiku wojewódzkiego i prezydenta miasta – to od nich zależy, jakim powietrzem będziemy oddychać za kilka lat.

<http://www.gios.gov.pl/artykuly/116/Jakosc-powietrza-on-line-tu-sprawdzisz-poziom-zanieczyszczenia-powietrza-w-twoim-regionie>



Andrzej Guła i Ewa Lutomska współtworzą ruch Krakowski Alarm Smogowy. Przekonują, że należy ustawowo zakazać używania pieców węglowych.

Smog w Krakowie to głównie pyły zawieszone i rakotwórczy benzo(a) piren, które pochodzą z palenia węglem oraz innymi paliwami stałymi w piecach. Kraków jest także jednym z trzech miast w Polsce, w których zanieczyszczenie powietrza dwutlenkiem azotu pochodzącym głównie ze spalin samochodowych znacznie przekracza dopuszczalne wartości. – W piecach pali zaledwie 7 proc. mieszkańców – mówi Andrzej Guła. – Ale te 7 proc. to ok. 30 tys. palenisk. Z tego powodu istnieje absolutna konieczność całkowitego wyeliminowania pieców węglowych i trzeba to zrobić ustawowo. W Londynie zrobiono to już w 1956 r., w Dublinie podobną akcję przeprowadzono w latach 90. i wówczas śmiertelność spadła o 350 osób rocznie. Dziś w Krakowie, według do-

Guła. – Zobaczymy, czy za deklaracjami pójdą konkretne czyny.

Na południu bez zmian

Drugim w kolejności polskim miastem, które się dusi, jest Rybnik. Także tutaj grupa zdesperowanych mieszkańców postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i wysłała skargę do Komisji Europejskiej. Chodzi między innymi o wdrożenie unijnych dyrektyw dotyczących jakości powietrza – miały one obowiązywać w Polsce od połowy 2010 r. Na razie, zgodnie z informacjami Ministerstwa Środowiska, są w fazie dostosowania do polskich norm prawnych. Lider rybnickiej grupy Zdzisław Kuczma pozwał również Skarb Państwa za naruszenie dóbr osobistych, żądając odszkodowania za opieszałość instytucji państwo-

JOANNA Cwiek, JANINA BLIKOWSKA

Jednoprocentowe dary serca

Odpisy podatkowe na rzecz organizacji pożytku publicznego to dla wielu potrzebujących jedyna szansa na leczenie i rehabilitację, bo państwo o nich nie pamięta. Warto więc być hojnym, mimo że wśród instytucji charytatywnych zdarzają się czarne owce.

Polska Fundacja Pomocy dzieciom „Maciuś” zajmująca się dożywianiem najmłodszych, w 2011 r. wydała prawie 3,3 mln zł na obsługę administracyjną. Tę zawrotną kwotę zainkasowała szwajcarska spółka SAZ, a w zamian udostępniła „Maciusiowi” bazę danych potencjalnych darczyńców i wysyłała do nich listy z prośbą o datki. Koszty, które ponosiła z tego powodu fundacja, są o tyle zdumiewające, że w tym samym roku zdobyła na swoją działalność tylko 4,5 mln zł, w tym z jednoprocentowych odpisów 270658 zł. A to oznacza, że niewiele z tego, co „Maciusiowi” przekazali podatnicy, trafiło ostatecznie do niedożywionych dzieci (według badań tej fundacji jest ich w Polsce aż 800 tys.). Sprawą zajęła się prokuratura.

Doniesienia o niejasnych finansach „Maciusia” zbiegły się w czasie z informacją o tym, że Jakub Śpiewak, założyciel i szef fundacji Kidprotect.pl zajmującej się problemem bezpieczeństwa dzieci w Internecie, doprowadził ją do katastrofy finansowej. Okazało się, że Śpiewak wydawał pieniądze fundacji na ubrania, kosmetyki i modne okulary.

Nic dziwnego, że rozliczający się właśnie z fiskusem Polacy stali się nieufni, a organizacje pożytku publicznego zaczęły się obawiać o tegoroczne wpływy z odpisów podatkowych. – Ludzie postrzegają nas jak jakieś szemrane instytucje – niepokoił się w rozmowie z „Prze-

krojem” dyrektor Jerzy Kuś z Dolnośląskiej Fundacji Rozwoju Ochrony Zdrowia. Systemu jednoprocentowych odpisów bronią też założyciele najbardziej znanych organizacji charytatywnych – Janina Ochojska czy Jerzy Owsiak, którzy tłumaczą, że większość darowanych przez podatników pieniędzy jest dobrze wydawana, nawet jeśli zdarzają się organizacje, które oszukują. Czy Polacy dadzą się przekonać? Według Re-

Polacy polubili jednoprocentowe odpisy, bo nie wierzą, że państwo dobrze spożytkuje ich pieniądze i wolą przekazać je tym, którzy robią coś dla innych.

naty Ropskiej, specjalistki ds. reklamy z SWPS, ukaranie wszystkich organizacji byłoby niesprawiedliwe i krzywdzące dla instytucji, które za uzyskane z odpisów pieniądze robią wiele dobrego. – Złodzieje są wszędzie, a zdecydowana większość organizacji nie myśli o zarobkach, tylko o pomocy innym – mówi Ropska. – Niestety, nasze państwo nie zabezpiecza w dostatecznym stopniu osób w potrzebie, dlatego tak ważne jest tego rodzaju wsparcie. Podobnego zdania jest Grzegorz Makowski, ekspert Fundacji Batorego.

– Nie ma co dramatyzować. W przypadku organizacji pożytku publiczne-

go skala patologii nie jest większa niż w innych miejscach. Moim zdaniem te publikacje nie będą miały szczególnego wpływu na liczbę odpisów. Być może kilka osób zrezygnuje, ale nie należy się spodziewać tąpnięcia – uważa Makowski. A wątpię w skuteczność jednoprocentowego systemu doradza wybór małych lokalnych organizacji, które według niego najlepiej radzą sobie w działalności charytatywnej i nie wyrzucają niepotrzebnie pieniędzy na marketing.

Komu pomagać

Niestety, Polacy niezbyt chętnie korzystali dotąd z odpisów podatkowych. Choć już od wielu lat możemy odliczać 1 proc. podatku na jakiś szczytny cel, w ubiegłym roku z tej możliwości skorzystało zaledwie 44 proc. z 25 mln podatników. Jak wynika z danych resortu finansów, w 2012 r. przeciętny podatnik rozliczający się za pomocą PIT-37 przekazał na ten cel zaledwie 41 zł. Dla większości jest to jedyna forma dobroczynności w ciągu roku. Swoją bierność tłumaczymy zazwyczaj obawą przed oszustami i trudnością z wyborem odpowiedniej organizacji.

Tymczasem jest z czego wybierać. Lista organizacji ze statusem OPP jest w Polsce wyjątkowo długa. Znajduje się na niej prawie 7 tys. podmiotów: fundacje, kluby, a nawet szkoły. Ten rodzaj wspierania OPP to zresztą nie tylko polska specyfika. Podobne mechanizmy

działają m.in. na Węgrzech, Słowacji, Litwie, w Brazylii i Japonii.

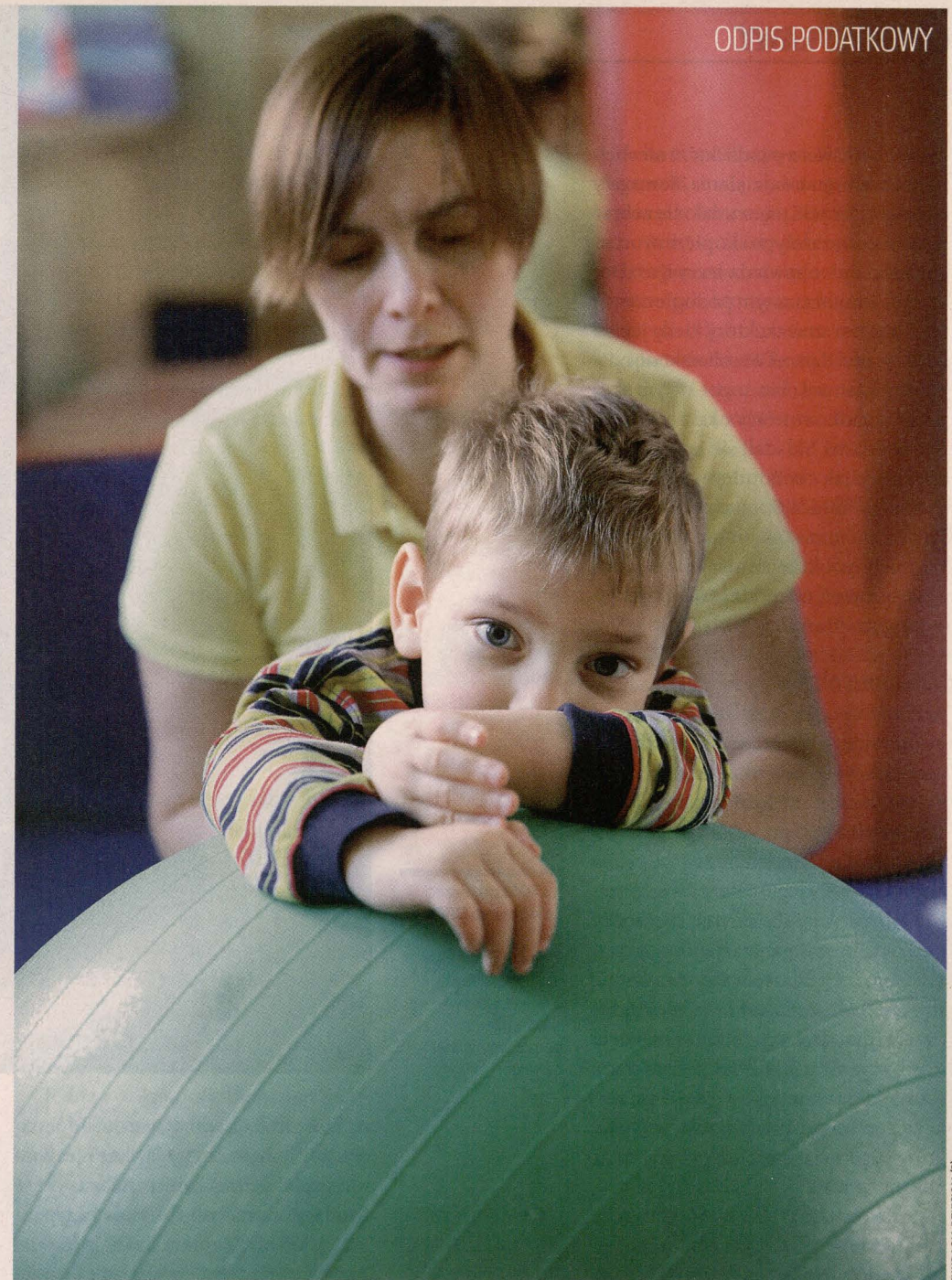
Dla wielu potrzebujących odpisy podatkowe to jedyna szansa na sfinansowanie rehabilitacji dziecka, kosztownych leków czy urzędzenia umożliwiającego poruszanie się.

– Nie chcę myśleć, w jakim stanie byłby dzisiaj mój syn, gdybym nie dostała wsparcia od ludzi na jego rehabilitację. Nasze państwo kompletnie nie dba o osoby niepełnosprawne – mówi Edyta Papajewska, matka Sebastiana, u którego zdiagnozowano autyzm. Dodaje, że rodzice mogą liczyć zaledwie na 159 zł zasiłku miesięcznie. – To w dużym mieście, np. Warszawie, wystarczy na jedną godzinę zajęć językowych. A on musi chodzić na nie co najmniej raz w tygodniu – opowiada Papajewska. Zbiera pieniądze na swoje dziecko w ramach jednoprocentowych odpisów już od dekady.

Podobnie myśli Monika Broniszewska, matka sześciolatka Tomka z zespołem Aspergera. – Pieniądze, które dostaliśmy w ubiegłym roku z odpisu podatkowego, pozwoliły nam na opłacenie rocznego treningu integracji sensorycznej – opowiada i dodaje, że w ten sposób udało się im zebrać około 9 tys. zł. To dla nich spora ulga, bo aby chore dziecko lepiej się rozwijało, musi przejść wiele żmudnych i kosztownych ćwiczeń.

Dar dla dziecka, a nie fundacji

Tęgi typ zbiórki przeprowadzane wśród znajomych i rodziny są jak dotąd najbardziej skuteczne. Prywatne osoby, takie jak Papajewska i Broniszewska, które zbierają na rehabilitację własnych dzieci, korzystają z utworzonych w ramach fundacji subkont. Dzięki temu darczyńcy mogą robić odpisy z poczuciem, że pomagają konkretnej osobie, a ich pieniądze nie trafią do jakiejś czarnej dziury wielkiej organizacji. Pewnie dlatego w ubiegłym roku Fundacja Dzieciom „Zdążyć z pomocą” otrzymała największą część naszych jednoprocentowych odpisów. Na jej konto wpłynęło 108 mln zł, o 20 mln więcej niż rok wcześniej. Jak to możliwe? – Zbieramy na konkretne dzieci i ludzie chętnie



na taki cel wpłacają. Poza tym rodziny i bliscy naszych podopiecznych wiedzą, że nie zatrzymujemy z tych pieniędzy dla siebie ani złotówki – tłumaczy Monika Sadowa, rzecznik Fundacji Dzieciom „Zdążyć z pomocą”.

Na podobnej zasadzie już od 2004 r. działa Dolnośląska Fundacja Rozwoju Ochrony Zdrowia. – W pierwszym roku otrzymaliśmy przekazy od ponad 8 tys. podatników. Uzyskaliśmy wtedy od nich 146 tys. 123 zł i 65 groszy – opowiada Jerzy Kuś, dyrektor fundacji. Pierwsze wpłaty były przeznaczone na pomoc dla

Coraz popularniejsze są wpłaty na utworzone w ramach większych organizacji subkonta. Dzięki nim można pomóc konkretnej osobie, np. dzieciom z fundacji „Zdążyć z pomocą”.

85 ówczesnych podopiecznych fundacji. – Mieli u nas subkonta – dodaje Kuś. W ub. roku fundację wsparło już 109 tys. osób, dzięki którym skarbówka przelała na jej konto ponad 6 mln zł. Zebrane pieniądze są przeznaczone na wsparcie 1,2 tys. podopiecznych fundacji z całego kraju. Cierpią oni na schorzenia, których leczenie nie jest w pełni refundowane, albo takie, które wymagają stałej rehabilitacji. Fundacja opiekuje się np. licealistką z Bierutowa, która wpadła pod pociąg i straciła obie nogi. – Wsparło ją wiele osób z całej Polski. Dostawiliśmy

pieniądze nawet z parafii, które niechętnie wspierają takie działania. Pomagały też szkoły. Dzięki temu udało się zebrać ponad milion złotych i kupić nowoczesne protezy – opowiada Jerzy Kuś. Dodaje, że innym znanym podopiecznym fundacji jest strażak, który kiedy jechał na akcję pod Kątami Wrocławskimi, miał wypadek i stracił obie nogi. – W tym akurat przypadku strażacy okazali się bardzo solidarni. Składali się zarówno zawodowcy, jak i ochotnicy – wspomina dyrektor. Fundacja pomaga też oddziałom i klinikom szpitalnym. – Tym najbardziej, których nikt inny nie chce sponsorować, np. oddziałom psychiatrycznym – tłumaczy Jerzy Kuś.

Subkonta niezgody

Jednak to, co tak podoba się rodzicom potrzebujących dzieci, przeszkadza organizacjom pożytku publicznego, które tłumaczą, że subkonta są zaprzeczeniem idei 1 proc. Kiedy bowiem wprowadzono mechanizm odpisów podatkowych, jego celem było przekazanie części publicznych pieniędzy na działalność organizacji pożytku publicznego. Tymczasem wprowadzenie subkont spowodowało, że pieniądze trafiają przede wszystkim do największych organizacji. Kilka dni temu przeciwno subkontom opowiedział się także wiceminister pracy Jarosław Duda, który sugerował nawet, że mogą zostać zlikwidowane.

Subkonta krytykuje też Grzegorz Makowski. – W ten sposób ludzie nauczyli się, że płacą na człowieka, a nie na cel. Taki rodzaj myślenia zwalnia z uważnego przyglądania się organizacjom, które wspierają. A te mogą wydawać pieniądze tak, jak chcą – tłumaczy „Przekroju” ekspert.

Rodzice chorych dzieci, które korzystają z subkont, zareagowali bardzo zdecydowanie. Wystosowali do resortu pracy dramatyczny apel. „Czy chce pan, by niektóre dzieci przestały się rozwijać, inne cierpiały fizycznie, a część po prostu... umarła?” – napisali.

Wielu rodziców borykających się z chorobą dzieci nie rozumie jednak, że jedno konto jakiejś większej organizacji,

Na liście organizacji ze statusem OPP jest w Polsce prawie 7 tys. podmiotów: fundacje, kluby, a nawet szkoły. Najchętniej pomagamy jednak dzieciom.



na które trafiają wpłaty, wcale nie oznacza, że pieniądze są wydawane niezgodnie z celem. Przeciwnie, znaczna część fundacji, inaczej niż to było w przypadku „Maciusia”, opiera działalność nie na gigantycznych zleceniach dla firm zewnętrznych, ale na pracy wolontariuszy.

Co się dzieje z pieniędzmi

Wystarczy spojrzeć w coroczne sprawozdania finansowe, które dla organizacji korzystających z jednoprocentowych odpisów są obowiązkowe. Na przykład fundacja „Dzieci niczyje” w 2011 r. otrzymała ponad 11 mln zł, a jej koszty administracyjne to milion złotych. – Kładziemy nacisk na bezkosztowe działania internetowe. Pracujemy nad umieszczaniem materiałów promocyjnych w mediach, które skłonne są nam pomóc pro publico bono – tłumaczy Ur-

szula Makowska, koordynatorka działu PR Fundacji „Dzieci niczyje”. Dodaje, że pracownicy i wolontariusze osobiście angażują się w kampanię 1 proc. Roznoszą ulotki i plakaty, nawiązują kontakty z lokalnymi klubami, sklepami i kawiarniami. – W czasach kryzysu networking jest najlepszą metodą działania – podkreśla Makowska. – Zasadą fundacji jest bezwzględne ograniczanie kosztów ponoszonych na cele inne niż statutowe. Kampanie outdoor, kupowanie czasu antenowego czy inne formy reklamy pochłaniają znaczne środki finansowe, stąd nasza decyzja o nieinwestowaniu w takie działania. Nasi darczyńcy oczekują od nas efektywnego wykorzystania powierzonych nam środków i nie chcemy zawieść ich zaufania.

Darczyńcy oczekują także przejrzystości w wydatkowaniu przekazywanych

fundacjom środków, dlatego też cenią te, które pokazują, na co przeznaczają wpływające pieniądze. – Sprawozdania składamy w terminie, a dodatkowo do wszystkich osób, które z 1 procenta przekazują nam co najmniej 200 zł, wysyłamy informacje, na co poszły te pieniądze. Najczęściej były to wskazania na konkretnego podopiecznego. A jak on wyda te środki, to już jego sprawa – tłumaczy dyrektor Kuś z Dolnośląskiej Fundacji Rozwoju Ochrony Zdrowia.

Brak kontroli

Chociaż organizacje pożytku publicznego chwalą się transparentnością, zdaniem ekspertów z przejrzystością wydatków z odpisów nie jest w Polsce najlepiej. – Składane do tej pory sprawozdania były dość mgliste. Dopiero od tego roku jest dostępny nowy formularz, który zmusza fundacje do sporządzania szczegółowych danych – tłumaczy Makowski z Fundacji Batorego.

Problem jednak w tym, że nikomu za bardzo nie zależy na tym, by szczegółowo kontrolować przekazywane z 1 proc. pieniądze. – Chociaż mówi się o tym od lat, do tej pory nie wypracowano żadnych mechanizmów kontroli. Winę za to po części ponosi rząd, a po części same organizacje, które też niespecjalnie starają się wy tłumaczyć z wydawanych pieniędzy – wyjaśnia Grzegorz Makowski i przypomina, że w 2010 r. wszedł w życie przepis, który miał uniemożliwić otrzymanie odpisów tym, którzy nie złożyli w terminie sprawozdania. – Duża część organizacji nie zdążyła. Gdyby utraciła na rok prawo do 1 proc., być może miałyby to efekt edukacyjny. Ale ówczesna minister pracy Jolanta Fedak zdecydowała o przesunięciu terminu składania sprawozdań. W ten sposób organizacje dostały sygnał, że w przyszłości także nie ma co się spieszyć ze sprawozdaniami, bo i sposób się znajdzie – tłumaczy Makowski.

Nieufność Polaków wobec OPP jest więc po części uzasadniona. Może dlatego z pieniędzmi i dotacjami na ich działalność jest coraz trudniej. Maja Jaworska już 10. rok działa w fundacji „Mimo wszystko” Anny Dymnej. – W Polsce jest

wiele osób, które mają otwarte serce i są wrażliwe na niemoc innych. Ale coraz trudniej pozyskać pomoc od firm. Być może ma to związek z kryzysem? – zastanawia się Jaworska. Jej zdaniem, jeśli zaledwie 44 proc. z nas przekazuje 1 proc. z podatków na ważne cele, potrzebna jest edukacja. I podaje przykład: – Na spotkaniach w szkole młodzi ludzie nie wiedzą, co to jest pomoc charytatywna. Słyszymy często, że jeśli ktoś raz pomógł, to już jest wolontariuszem, a przecież by zostać jednym z nich, potrzebne są stała praca i dużo czasu. Ławiej jest wesprzeć jedną akcję i jednocześnie zmotywować ludzi do działania, ale dobrze by było, żeby Polacy nauczyli się wspierać innych przez cały rok, nawet małymi kwotami – tłumaczy Maja Jaworska.

Zwróć uwagę

Najtrudniej dotrzeć do potencjalnych darczyńców, nawet tych jednorazowych. Na początku roku, kiedy Polacy zaczynają wypełniać zeznania podatkowe, na ulicach pojawiają się billboardy namawiające do dokonania odpisu na daną organizację. – Te kampanie mają pokazać ogrom biedy i nieszczęścia, wzruszyć i wzmóc chęć niesienia pomocy – mówi Renata Ropska z SWPS.

Jedną z najpopularniejszych kampanii była ubiegłoroczna akcja Fundacji Rak'n'Roll, w której wystąpiły dwie młode kobiety w wełnianych czapkach, trzymające karton z napisem: „Zbieramy na cycki, nowe fryzury i dragi”. Jak tłumaczyła wówczas nieżyjąca już prezeska fundacji Magda Prokopowicz, w zalewie przeróżnych kampanii namawiających do odpisu trzeba było znaleźć jakiś pomysł, który by chwycił. – Ta kampania wzbudziła ogromne kontrowersje, ale niewątpliwie została zauważona – mówi Ropska i dodaje, że trzeba jednak bardzo uważać. – Zbyt drastyczny przekaz powoduje, że ludzie odwracają wzrok – podsumowuje ekspertka.

Innego rodzaju zabiegów marketingowych wymagają instytucje, które zbierają na oddzielne subkonta. Tu liczą się nie tyle billboardy, ile aktywność ich rodziców w pozyskiwaniu darczyńców.

Sebastian Papajewski i Tomek Broniszewski mają założone subkonta w ramach Fundacji „Zdążyć z pomocą”. – Sami szukamy darczyńców. Mam już zorganizowaną sieć wśród rodziny i znajomych, którzy zadeklarowali chęć zrobienia odpisu na rzecz mojego syna – opowiada Edyta Papajewska. – Właśnie dzięki temu stać nas na dobrych, prywatnych terapeutów oraz turnusy rehabilitacyjne.

O sieci pomocy opowiada także Monika Broniszewska: – Wśród rodziców, którzy spotykają się w fundacji, krążą opowieści o tym, jak rodzice pozyskują darczyńców. Najlepiej znaleźć przychylną, bogatą kancelarię adwokacką, bo taki odpis będzie znacznie wyższy niż w przypadku 1 proc. zwykłego pracownika.

Zdaniem psychologa społecznego prof. Janusza Czapińskiego Polacy polubili jednoprocentowe odpisy, bo nie wierzą, że państwo może dobrze spożytkować pieniądze podatników, i wolą przekazać je tym, którzy starają się zrobić coś dla innych. – Dlatego też – mówi prof. Czapiński – od pewnego czasu podatnicy rozsądniej wybierają organizacje, które chcą wesprzeć. Nie korzystają na przykład z tych darmowych programów do rozliczania PIT, w których można 1 proc. przekazać tylko jednej, konkretnej organizacji. ☞

Nasze typy:

- **SOS Wioski dziecięce** organizacja tworzy rodziny dla potrzebujących dzieci
- **Fundacja Viva! Akcja dla Zwierząt** zachęca do adopcji zwierząt ze schronisk
- **1% dla Kosmitka JO** rodzice walczą o wykorzystanie potencjału ich dziecka z zespołem Downa
- **Fundacja Rak'n'Roll Wygraj Życie** przełamuje schematy myślenia o chorobach nowotworowych
- **Towarzystwo Inicjatyw Twórczych ę**

- produkuje projekty artystyczne i społeczne, szkoli, przyznaje dotacje, wydaje książki, promuje nowe modele działania w sferze kultury
- **Okularnicy. Fundacja im. Agnieszki Osieckiej** opiekuje się spuścizną poetki
- **Fundacja Avalon z dopiskiem Pelka** zbiera pieniądze na protezę dla komentatora sportowego Przemka Pelki, któremu w grudniu amputowano nogę
- **Fundacja im. Brata Alberta „Być dobrym jak chleb”** pomaga bezdomnym

ROBERT HORBACZEWSKI, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Zapomnijcie o anonimowości

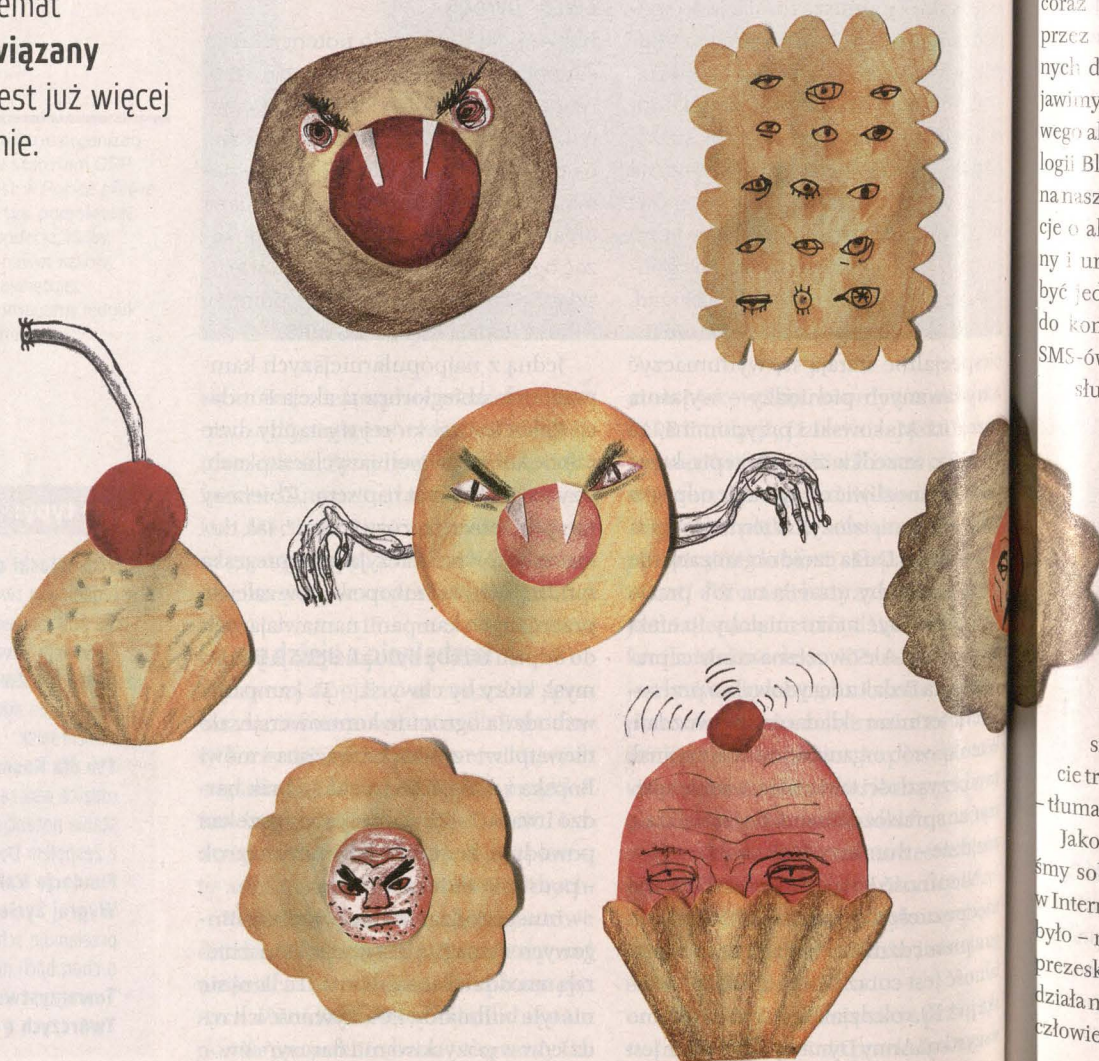
W sieci możemy znaleźć na swój temat coraz więcej informacji. **Biznes związany z handlem danymi osobowymi** jest już więcej warty niż narkobiznes. I ciągle rośnie.

Jan Kaproń ze Starej Wsi w gminie Mirce na Zamojszczyźnie przez blisko pół wieku wiódł spokojne życie jako pracownik najemny. Pomażał w polu, rąbał drwa, w murarce był niezły. Nie chorował. Żaden urząd go nie niepokoił.

Aż nagle oskarżono go o kradzież sań. Policjanci przyjechali Jana Kapronia wylegitymować. Okazało się, że taki człowiek oficjalnie nie istnieje. Nie figurował w bazie PESEL, jego danych nie posiadał ZUS, KRUS ani Urząd Skarbowy. Był rok 2007.

Dziś o taką anonimowość o wiele trudniej. Codzienne życie coraz bardziej naszpikowane jest elektroniką, więc informatyczna pajęczyna oplata nas coraz ciaśniej.

– Liczba informacji zbierana przez poszczególne urządzenia jest ogromna – mówi Zbigniew Engiel z firmy Mediarecovery zajmującej się informatyką śledczą.



Weźmy bankomat. Maszyna zbiera już nie tylko informacje, o której godzinie wypłacaliśmy pieniądze i w jakiej kwocie, ale także nagrywa nasz wizerunek. Telefon komórkowy, który mamy przy sobie, pozwala ustalić, jaką drogę przebyliśmy do bankomatu, na podstawie logowań do stacji BTS – urządzeń, które śledzą telefony komórkowe, aby umożliwić im zasięg usług telekomunikacyjnych. Geolokalizacja, która była do tej pory domeną służb specjalnych, coraz częściej wykorzystywana jest przez operatorów telekomunikacyjnych do celów handlowych. Gdy pojawimy się w pobliżu sklepu odzieżowego albo centrum spa, dzięki technologii Bluetooth operatorzy przekazują na nasze urządzenia mobilne informacje o aktualnych promocjach. Telefony i urządzenia przenośne przestały być jedynie urządzeniami służącymi do komunikacji głosowej, wysyłania SMS-ów lub MMS-ów. Smartfony i tablety służą dziś do kupowania, płacenia, rozrywki, a serwer, z którym się łączy, gromadzi i analizuje wszystkie dane.

– Dziś ponad 90 proc. informacji przyjmuje postać elektroniczną i można przyjąć za pewnik, że zawsze ślad czyjejś działalności będzie miał postać elektroniczną. We współczesnym z informatyzowanym świecie trudno pozostawać anonimowym – tłumaczy Zbigniew Engiel.

Jako niewolnicy technologii jesteśmy sobie sami winni. – Prywatności w Internecie jest tyle, ile chcemy, aby jej było – mówi Katarzyna Szymielewicz, prezeska Fundacji Panoptykon, która działa na rzecz ochrony wolności i praw człowieka.

Bankomat zbiera już nie tylko informacje, o której godzinie wypłacaliśmy pieniądze, ale także nagrywa nasz wizerunek. A telefon komórkowy pozwala ustalić, jaką drogę przebyliśmy do bankomatu.

Profil handlowy

– Facebook to najbardziej szczegółowa baza danych o ludziach, ich kontaktach towarzyskich, rodzinnych, nazwiskach, adresach, miejscach pobytu i sposobie komunikowania się. To najbardziej przerażająca machina do szpiegowania, jaką kiedykolwiek wynaleziono – uważa Julian Assange, założyciel portalu demaskatorskiego WikiLeaks. W dodatku darmowa.

Facebook w Polsce ma około 9,5 mln zarejestrowanych użytkowników. Korzysta z niego blisko 26 proc. mieszkańców i ponad 41 proc. internautów. Prawie trzy czwarte kont jest w pełni otwartych. Oznacza to, że każdy może wejść na profil użytkownika i zapoznać się ze wszystkimi opublikowanymi danymi.

Sami przedstawiciele portalu nie kryją, że śledzą strony odwiedzane przez internautów. Również tych, którzy nie mają konta w tym serwisie społecznościowym. Jak to możliwe? Wystarczy, że odwiedzają stronę internetową, na której znajduje się przycisk „like” albo dowolny mechanizm Facebooka. System automatycznie zassa informacje o wersji przeglądarki internetowej, adresie IP, rozdzielczości ekranu, systemie operacyjnym. Od tego momentu do Facebooka przekazywane będą również informacje o wszystkich stronach, które odwiedziliśmy, oraz dokładny czas na-

szych odwiedzin. Badacze z Cambridge udowodnili również, że na podstawie lajków z Facebooka można stwierdzić, jaki kolor skóry i poglądy ma użytkownik. Ale bez jego zgody te informacje nie zostaną wykorzystane – tak przynajmniej twierdzą oficjalnie przedstawiciele Facebooka. Zdaniem internautów takie zapewnienia należy traktować z przymrużeniem oka.

Jednak nie tylko Facebook jest tym złym.

– Większość serwisów jest domyślnie tak ustawiona, aby wydobywać jak najwięcej prywatnych informacji i swobodnie je wykorzystywać. Dopuszczają profilowanie użytkownika, śledzą go bez jego wiedzy i zgody, w celach marketingowych udostępniają te dane innym współpracującym podmiotom. Prywatność wystawiona jest na sprzedaż – ostrzega Katarzyna Szymielewicz, która uważa, że państwo odpuściło sobie ochronę prywatności i regulację usług internetowych świadczonych przez firmy komercyjne. – Polska ma dość dobrą ustawę o ochronie danych osobowych, ale przepisy te nijak mają się do tego, co napotykamy w sieci usług oferowanych przez firmy zagraniczne, głównie amerykańskie. Polskie prawo kończy się na granicy Polski, a Internet nie zna granic. Jak dodaje Wojciech Wiewiórkowski, główny inspektor danych osobowych: – Niestety, takie firmy działają według zasady, że kiedy coś nie jest zabronione, to jest dozwolone. Jeżeli więc nie ma np. zakazu profilowania użytkownika, jest to legalne.

Ciężkostrawne ciasteczka

Do szpiegowania i profilowania marketingowcy wykorzystują choćby pliki

typu cookie, tzw. ciasteczka. To niewielkie pliki tekstowe instalowane przez serwisy internetowe na urządzeniach, z których łączymy się z Internetem.

Większość ułatwia korzystanie ze stron internetowych i treści multimedialnych, logowanie do serwisów, szybsze odnajdywanie pożądaných treści czy integrację m.in. z serwisami społecznościowymi. Są jednak i takie ciasteczka, które śledzą poczynania użytkownika w sieci i zbierają tak szczegółowe informacje, że można na ich podstawie odczytywać

jego oczekiwania dotyczące spotkań, spędzania wolnego czasu.

To zbieranie informacji nazywa się profilowaniem. – Jego istotą jest dzielenie ludzi na kategorie. W efekcie pojawia się poważne ryzyko wykluczenia lub dyskryminacji, np. odmowy udzielania kredytu ze względu na rzekomą rozrzutność przy zakupach, podwyższonej składki ubezpieczeniowej ze względu na ryzykowny tryb życia, podwyższonej ceny usługi lub towaru ze względu na lepszy kraj pochodzenia lub korzystanie z droższego sprzętu komputerowego – mówi Katarzyna Szymielewicz.

W jaki sposób można wykorzystać dane z serwisów społecznościowych, pokazała spółka Da Grasso

Są jednak i takie ciasteczka, które śledzą poczynania użytkownika w sieci i zbierają tak szczegółowe informacje, że można na ich podstawie odczytywać jego oczekiwania dotyczące np. zakupów.

Group, zarządzająca siecią franczyzową pizzerii Da Grasso w Polsce. Posługując się narzędziami do analizy serwisów społecznościowych, firma monitorowała Facebook i szukała osób, które pisały, że są głodne, lub wspominały o pizzy. Następnie, analizując ich rozmowy ze znajomymi na swoich portalach, lokalizowała miejsce zamieszkania i dostarczała pizzę.

Od 23 marca obowiązują nowe przepisy prawa telekomunikacyjnego odnoszące się do plików cookie. Dotychczasową możliwość wyrażania sprzeciwu wobec stosowania cookies zastąpiono koniecznością uzyskania świadomej zgody użytkownika witryny internetowej na ich wykorzystanie. A że każdorazowe uzyskanie zgody na ciasteczko mogłoby być uciążliwe, ustawodawca postanowił, że internauta może je wyrazić za pomocą zmiany ustawień przeglądarki internetowej. W każdym razie internauta o działalności plików cookie musi poinformować np. przez specjalny baner umieszczony na stronie.

Gorące bazy danych

Im bardziej popularna strona internetowa, tym większa liczba firm wymienia między sobą dane marketingowe. Bazy danych

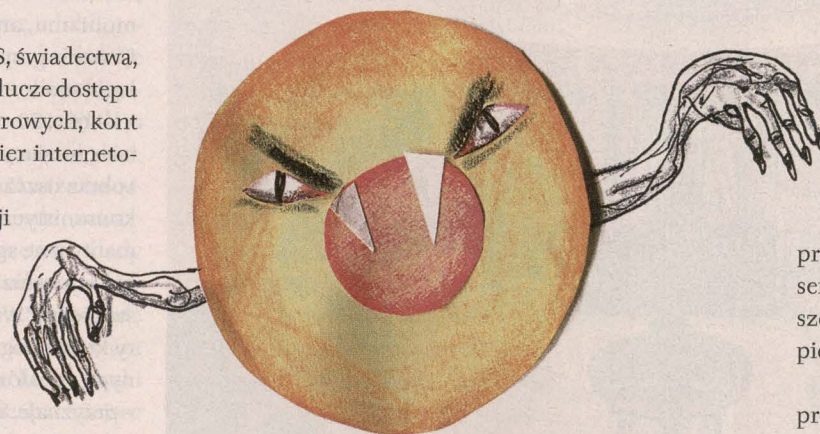
to obecnie najbardziej chodliwy towar na świecie. – Biznes związany z handlem informacjami jest już większy niż narkobiznes. Informacje sprzedaje się za grube pieniądze. Przygotowywane są specjalne ataki, aby takie bazy danych pozyskać. Ceny rynkowe danych osobowych używanych do celów marketingowych w legalnym obrocie wahają się od 1 zł do 5 zł za rekord w zależności od tego, co się w nim znajduje – mówi Przemysław Krejza, prezes Stowarzyszenia Instytut Informatyki Śledczej.

Rynek ten od kilku lat systematycznie rośnie, bo łatwiej bazę danych kupić, niż stworzyć samemu. Choćby dlatego, że osoba znajdująca się w takiej bazie musi wyrazić zgodę na przetwarzanie własnych danych osobowych do celów handlowych lub informacyjnych. W lutym tego roku serwis Twitter poinformował, że skradziono dane 250 tys. użytkowników, w których były m.in. adresy e-mail. W marcu portal Zaufana Trzecia Strona podał, że na jednym z portali zajmujących się marketingiem pojawiała się oferta sprzedaży bazy zawierającej 1,3 mln kont nastolatek z hasłami skradzionymi z serwisu Glitery, który umożliwia użytkownikom przerobienie własnych obrazków i wyświetlanie ich potem w galerii. Wśród tych danych znajdowały się także hasła dostępu do skrzynek pocztowych. Jakie mogą być konsekwencje takiego włamania, opisuje jeden z bohaterów: „Doszukałem się skanów róż-

nych dokumentów – ZUS, świadectwa, legitymacje studenckie, klucze dostępu do programów komputerowych, kont hazardowych, Allegro, gier internetowych, etc.”.

Coraz więcej informacji o obywatelach w Internecie zamieszczają także organy państwowe. Od kilku lat działa elektroniczny System Informacji Oświatowej (SIO), który gromadzi wiadomości o uczniach, nauczycielach, majątku szkoły i jej wydatkach. Od ubiegłego roku, nie wychodząc z domu, można przejrzeć księgę wieczystą za pośrednictwem portalu ekw.gov.pl przygotowanego przez ministerstwo sprawiedliwości. W tym roku wystartował system Elektronicznej Weryfikacji

Uprawnień Świadczeniobiorców (eWUŚ), gdzie po podaniu numeru PESEL lekarz może sprawdzić ważność ubezpieczenia. Narodowy Fundusz Zdrowia zapowiada, że jeszcze w tym roku wystartuje odmiana tego systemu skierowana do pacjentów – Zintegrowany Informator Pacjenta (ZIP), dzięki któremu każdy pacjent będzie miał dostęp do listy swoich wizyt lekarskich, hospitalizacji, badań oraz ich kosztów świadczonych przez publiczne placówki. Taka baza danych na temat pacjentów to łakomy kąsek dla firm medycznych, ubezpieczeniowych lub banków.



– Dostęp do systemu ZIP pacjent będzie mógł uzyskać poprzez login i hasło, które otrzyma bezpośrednio w oddziale wojewódzkim NFZ. Połączenie i transmisja danych pomiędzy użytkownikiem a aplikacją ZIP jest szyfrowana, dzięki czemu dane osobowe pacjenta są chronione zgodnie z wymogami przepisów o ochronie danych osobowych – zastrzega Magdalena Szefernaker z biura prasowego NFZ.

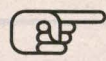
Eksperci tego zabezpieczenia nie są aż tak pewni. – Dane można wykraść i ze świetnie zabezpieczonych serwi-

Ceny rynkowe danych osobowych używanych do celów marketingowych w legalnym obrocie wahają się od 1 zł do 5 zł za rekord.

sów Google'a, co miało już miejsce w przeszłości. Zresztą w serwisie informacyjnym eWUŚ, niepowiązanym na szczęście z bazą eWUŚ, też znajdował się poważny błąd, przez który można było przejąć uprawnienia administratora serwisu – zauważa Piotr Konieczny, szef zespołu bezpieczeństwa Niebezpiecznik.pl.

Mamy też do czynienia z innym problemem. To, co ujawnia państwo, coraz częściej wykorzystują prywatne firmy, zarabiając krocie na indeksowaniu i przetwarzaniu tych danych. Robią to poza wszelką kontrolą i bronią się, że dane, z których korzystają, są przecież jawne. Kilka tygodni temu wyszukiwarkę powiązaną z elektronicznym rejestrem ksiąg wieczystych uruchomiła firma z Seszeli. O ile ministerialny serwis pozwala przeglądać księgę jedynie po numerze księgi wieczystej, to prywatny płatny portal stwarza taką możliwość także po adresie (numerze ulicy, domu, lokalu) nieruchomości. Chwali się, że ma zaindeksowanych ponad 16,3 mln ksiąg wieczystych, 26 mln działek, 1,4 mln budynków i blisko 6,3 mln lokali w Polsce. A w księgach wieczystych oprócz informacji o stanie prawnym nieruchomości znajdują się też dane wrażliwe, np. nazwisko i imię właściciela, jego adres, PESEL.

Ministerstwo Sprawiedliwości przyznaje, że zdarzały się już sytuacje nieuprawnionego kopiowania baz danych z elektronicznych rejestrów publicznych. Przemysław Krejza ze Stowarzyszenia Instytut Informatyki Śledczej zupełnie się temu nie dziwi. – Wciąż są administratorzy, którzy potrafią logować się do ogromnych baz danych za pomocą hasła „admin1”, „admin2” – zauważa.



- Ludzi są straszni i dobrzy zarazem. To się miesza. Gdybym uważał, że świat jest potworny, raczej nie chciałbym robić filmów, w których nie ma minimalnego choćby pozytywnego przesłania
- opowiada Andrzej Jakimowski w rozmowie z Moniką Brzywczy. → 56



JACEK TOMCZUK

Studium kopii i symbolika władzy

Mikołaj GrosPierre opowiada o podróży po Ameryce tropem kolejnych Gabinetów Owalnych, śladach Marka Rothko na Łotwie, 215 spalonych pracach i garniturze Le Corbusiera.

Jego specjalnością są ruiny. Naturalnym terenem łowieckim fotograficznym wschodnia Europa. Polem zainteresowania to, co pozostało po architekturze modernistycznej, utopii komunizmu, ambicjach nowoczesności. Uznanie przyniosła mu kapitalna typologia modernistycznych przystanków z lat 60. i 70. o geometrycznych kształtach, rozsianych wzdłuż litewskich dróg i obraz oszczędnego designu ambasad komunistycznych krajów. – Mam romantyczne spojrzenie na piekło, jakim był komunizm. Wiem, że bywam nostalgiczny. Wiele obiektów architektury, którą fotografuję, powstało ze szczytnych ideałów, wołę o nich pamiętać – przyznaje. W serii „Kolorobloki” udokumentował starzejący się modernizm – warszawskie bloki pokryte płytą typu Lipsk, syntetycznym, matowym szkłem, używanym w architekturze w formie modułów od lat 50. XX w. Z Olgą Mokrzycką sfotografował obóz dla radzieckich pionierów Artek na Krymie. Z kolei cykl „Hydroklinika” dokumentuje szpital uzdrowiskowy w Druskiennikach na Litwie, zamknięty pod koniec lat 90. Artysta utrwalił dziwną, pełną skomplikowanych, niemal rokokowych dekoracji architekturę na krótko przed zburzeniem sanatorium. – Modernizm kojarzy się głównie z zachodnią Europą, a podróżując po Rosji czy Litwie obserwuję, jak ciekawe rzeczy powstawały na Wschodzie. Poza tym odczuwam naturalną nostalgię do budynków, które są mniej więcej moimi równolatkami. To chyba naturalne?

GrosPierre urodził się w 1975 r. w Genewie, mieszkał w Paryżu, studiował w Londynie, ponad 10 lat temu przeprowadził się do Warszawy. Do pracy ściągnął go tutaj Canal+. GrosPierre jako 25-latek został sekretarzem Rady Nadzorczej, ale Polskę znał już dobrze. – Moja mama urodziła się tutaj, skończyła medycynę i reżyserię w łódzkiej Filmówce. Do Francji wyjechała na początku lat 60., ale co roku bywaliśmy na wakacjach – mówi. – Myślowo jestem

typowym Francuzem. Jak jest teza, antyteza, to musi być synteza – śmieje się.

Jednak GrosPierre to nie tylko retroarchiwista, ale też artysta podejmujący dialog ze współczesnością. – Parę lat temu zrobiłem wystawę o bibliotece jako miejscu, w którym produkuje się wiedzę, z natury coś nieuchwytnego. Po zakończeniu zastanawiałem się, co jest kwintesencją materialności, pomyślałem o bankach. Zawsze fascynowały mnie skarbcze, skrytki, zawarta w nich obietnica bogactwa. Kiedy w 2008 r. dostałem stypendium w Nowym Jorku, pomyślałem: „Super, jadę do stolicy światowego kapitalizmu, tam jest mnóstwo pieniędzy, które banki muszą gdzieś trzymać. Idealne miejsce na ten projekt” – wspomina fotograf.

Stolica kapitalizmu nie chciała jednak do swych skarbców dopuścić artysty, który przez trzy miesiące odbijał się od kolejnych drzwi, urzędników i agentów ochrony. Pomógł mu światowy kryzys. Po upadku Lehman Brothers sytuacja diametralnie się zmieniła: – Na początku chciałem pokazać moc banków, ich niewzruszoność, ponadczasowość w zmieniającym się świecie. Na moich oczach monumentalne instytucje finansowe, ostoje kapitalizmu, runęły niczym domki z kart – mówi.

Skarbcze największych finansowych instytucji okazały się równie puste jak te na zdjęciach GrosPierre'a, zresztą absolutem jednej z najbardziej prestiżowych szkół świata, London School of Economics, kuźni kapitalistycznych kadr. Patrząc na zdjęcia, można było zastanawiać się, czym jest bogactwo. Wartościowymi papierami utrzymanymi w banku? Twardym kruszcem? A może wystarczy opowieść o nich, zręczne kłamstwo? Przecież Bernard Madoff bardziej tworzył przed inwestorami odpowiednie wrażenie, niż naprawdę zarabiał. Teraz GrosPierre wrócił do Ameryki, by sfotografować kopie słynnego Gabinetu Owalego, a cały projekt będzie pokazywany w czerwcu w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.

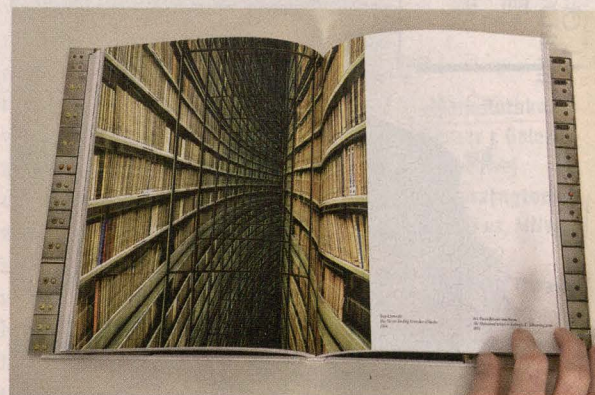
Ile widziałeś gabinetów owalnych, oficjalnych miejsc pracy prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Osiemnaście. Boston, Texas, Missour, Arkansas, Alabama, Georgia, stany środkowe... Parę lat temu przeczytałem esej Umberto Eco z 1975 r. o kopii Gabinetu Owalego i już na własną rękę odkryłem, że jest ich znacznie więcej. Postanowiłem je sfotografować.

Są naprawdę podobne?

Czasem, ale też różnice między poszczególnymi kopiami są kolosalne. Część budowana jest w Bibliotekach Prezydenckich, wznoszonych po zakończeniu kadencji kolejnych prezydentów. Takie miejsce gromadzi zwią-

Na stronie obok: jedna z kopii Gabinetu Owalego. Poniżej: album „Open-Ended” i jego autor we własnej pracowni.



BARTOSZ BOBKOWSKI/AGENCJA GAZETA

zane z nimi dokumenty, przedmioty, prezenty, jakie dostawali. Wtedy kopia gabinetu powstaje według precyzyjnej dokumentacji dostarczanej z Białego Domu. Ale dotarłem też do osób prywatnych, które mają jakąś obsesję władzy, chcą mieć jej symbol na wyciągnięcie ręki. To samoróbki, wolne interpretacje. Czasami pomieszczenie nawet nie jest owalne, ma inną wysokość, proporcje, meble... Podobne jest tylko biurko, parę flag, czerwony telefon i półokrągłe okna.

Ktoś je zwiedza?

Jak najbardziej. Pracuję nad dokładną statystyką, ale z tego, co mam, wynika, że o gabinety owalne ocierają się rocznie miliony osób.

Ale po co to fotografować? Przecież wiadomo, że Amerykanie lubią kopie.

Tyle że zwykle odtwarzają całe budynki, bryły, a nie wnętrza. Mają parę replik paryskiej wieży Eiffla czy placu San Marco w Wenecji. Ale 18 kopii jakiegoś pomieszczenia, na dodatek kojarzonego z polityką? Przecież nie wiemy, jak wygląda gabinet premiera Anglii, znamy jedynie drzwi, które prowadzą na Downing Street 10.

Nie mamy pojęcia, w jakich warunkach panuje prezydent Rosji, choć wszyscy kojarzymy mury Kremla.

Dlaczego najslynniejszym pokojem stał się ten z zachodniego skrzydła Białego Domu?

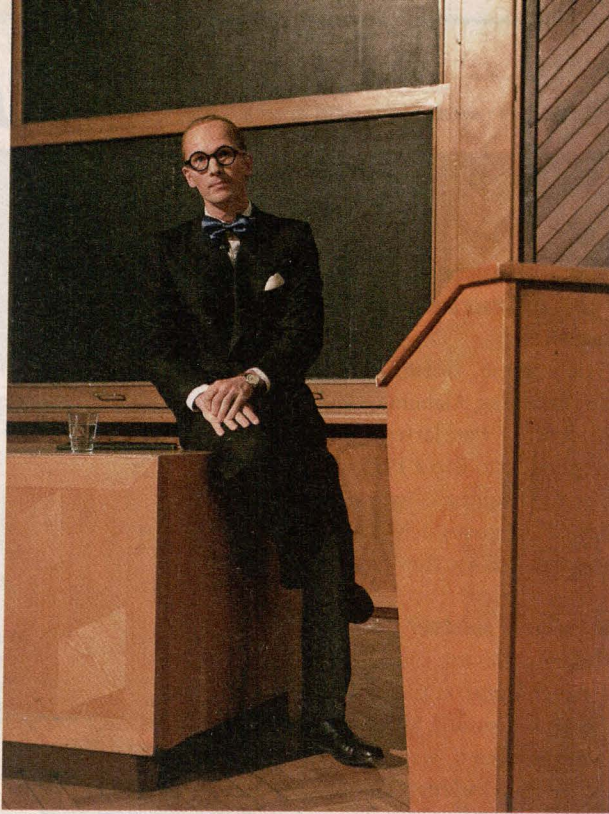
Wydaje się, że to bardzo świadomy wybór. Mówi: „Jako światowe mocarstwo nie mamy nic do ukrycia, nasza władza jest blisko obywateli, w takich warunkach podejmowane są najważniejsze decyzje”. Zresztą coś w tym jest, Biały Dom w Waszyngtonie można zwiedzać. Miałem zamiar nawet to zrobić i sfotografować prawdziwy Gabinet Ovalny. Niestety, z powodów oszczędności administracja odwołała wszystkie wizyty. Dla mnie to ironiczne zakończenie podróży po Ameryce, rodzaj testu, co naprawdę znaczy to mówienie o transparentności władzy.

Co cię interesuje w tym projekcie?

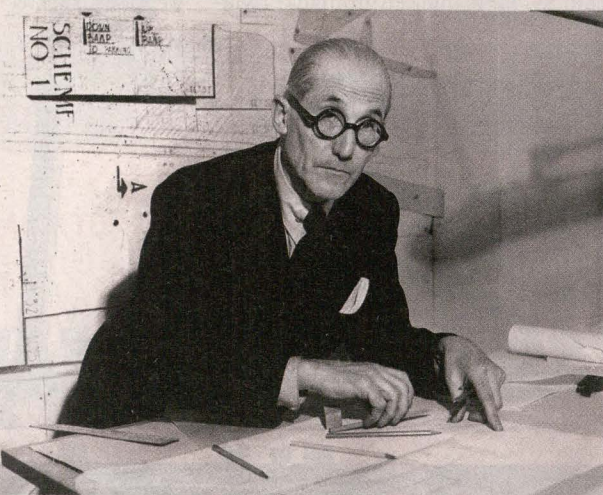
Gabinet Ovalny nie ma nic wspólnego z realną władzą, to teatr. Zaczniemy od kształtu. Dlaczego nie okrągły czy prostokątny? Oval ma w sobie miękkość, przytulność, przyjazność. Czy w takich warunkach podejmowane są strategiczne decyzje? Nie sądzę. Stąd moja interpretacja Gabinetu Ovalnego jako lustra władzy, pokazywanego publiczności. Dlatego te kopie są tak fascynujące: skoro oryginał można czytać jako teatr, to kopia jest repliką repliki. Ale na fotografiach tego nie widać. Czasem ma się wrażenie, że patrzy się na autentyczną przestrzeń Białego Domu.

Gabinet Ovalny jest tylko ucieleśnieniem pewnej idei – władzy prezydenta. A ja, fotografując kopię, podnoszę to wszystko do potęgi. Fotografia w tym kontekście to magiczne narzędzie, tak doskonale rozmywające barierę między reprezentacją rzeczywistości a iluzją.

Amerykański socjolog Richard Sennett postawił diagnozę, że współczesne państwa, tak jak i wielkie korporacje, całkowicie rozmywają kwestię odpowiedzialności za kluczowe decyzje. Rozumiem, że Gabinet



MICHAŁ DĄBROWSKI



DZIĘKI FUNDACJI LE CORBUSIER

Mikołaj Groszperle wcielił się w postać Le Corbusiera podczas inscenizacji wykładów we Wrocławiu i Warszawie. Teksty odczytów zostały przygotowane na podstawie zapisków, wywiadów i korespondencji wielkiego architekta.

Owalny służy ci do opowiedzenia o naszym świecie...

Tak, choć bardziej interesuje mnie inna ciekawa relacja dzisiejszej rzeczywistości: związek między oryginałem a repliką. Czy kopia wzmacnia oryginał czy osłabia? Co to znaczy kopia?

Gdy kupujesz torbę Vuittona za 50 zł, to znaczy, że płacisz za kopię.

Ale jak jest na tyle doskonała, że nie można odróżnić jej od oryginału? Czy kopie toreb Louisa Vuittona osłabiają tę ekskluzywną markę, czy paradoksalnie podkreślają wartość oryginału? Co to w ogóle znaczy oryginalna torba LV?

Byłeś specjalistą od modernizmu, a rozmawiamy o torebkach. Jeździłeś na Ukrainę, Litwę, do Rosji, Gruzji, a przeczuciłeś się na Amerykę. Fotografowałeś ruiny nowoczesności, a wziąłeś się za reprezentacyjny symbol wciąż aktualnej władzy. Coś się stało?

Nigdy nie planowałem, że będę kronikarzem socmodernizmu, ani nie ślubiłem, że zostanę wierny tej tematyce. Kiedyś przypadkiem trafiłem na Litwę, zobaczyłem modernistyczne kolorowe przystanki autobusowe i zacząłem je fotografować. Tak zaczęła się przygoda z architekturą Bloku Wschodniego. Teraz przypadek rzucił mnie do Stanów Zjednoczonych.

Zrealizowałeś tu już projekt „Bank” i „The Oval Offices”. Będą następne?

Marzyłem, żeby zrobić dokumentację amerykańskich budynków z lat 50., 60., 70. Począwszy od powojennego modernizmu w stylu Ludwig Mies van der Rohe, po brutalistyczne realizacje z połowy lat 70. Mocarne, całe z betonu. Mam dużą kolekcję magazynów architektonicznych z tamtych czasów. Przeglądanie ich zawsze sprawiało mi przyjemność. Ale podróżując, zdałem sobie sprawę, że nie ma czego dokumentować. Wszystko zostało albo zburzone, albo zmienione. Trafiłem do paru obiektów i to, co mnie interesowało, zostało już zamazane.

Tam też?

Jaskrawy przykład to Manufacturers Hanover Trust na Piątej Alei w Nowym Jorku, zaprojektowany przez Gordon Bunshafta z agencji Skidmore, Owings and Merrill. Kultowy budynek z lat 50., jeden z pierwszych zupełnie przezroczystych, co jak na bank było niezwykle nowoczesne. Nawet sejf umieszczony był na widoku, na parterze za przeszkloną szybą, a nie w piwnicach. Na pierwszym piętrze artysta Harry Bertoia zaprojektował olbrzymi open space ze wspaniałą kurtyną przestrzenną, rodzajem rzeźby. Bryła ocalała, ale wystrój zużył się i poszedł do kosza. Jak to w Ameryce. Zaskoczyła mnie powtarzalność amerykańskich planów urbanistycznych. Wjeżdżając do mia-

sta, mijają się przedmieścia, centra handlowe i nagle, nie wiadomo jak i skąd, jest się w centrum. A każde centrum jest identyczne i zawsze puste. Dla Europejczyka to dość zaskakujące.

Odwiedziłeś miejsca związane z Markiem Rothką?

Nie miałem czasu. Chyba najbliższym byłam Houston, gdzie kolekcjonerka sztuki Dominique de Menil zamówiła u Rothki wystrój ekumenicznej kaplicy. Malarz stworzył ostatni cykl obrazów przed samobójczą śmiercią w 1971 r. Podobno chwila medytacji w tej ośmio-kątnej kaplicy to mocne doświadczenie, no ale zabrakło mi kilkuset kilometrów.

W czerwcu w Muzeum Narodowym w Warszawie zostanie otwarta pierwsza w Europie Wschodniej wystawa Marka Rothko.

Zostałeś poproszony o stworzenie prac, które będą pokazywane razem z gigantem XX-wiecznego malarstwa. Masz tremę?

Agnieszka Morawińska, dyrektorka Muzeum, wspólnie z Markiem Bartelikiem, kuratorem wystawy, wpadli na pomysł, że skoro Rothko, symbol amerykańskiej abstrakcji, pochodzi z Łotwy, miasteczka tuż za polską granicą, to poprosi mnie, bym tam pojechał i poszukał jego śladów. Fotografuję architekturę i pejzaż, znam tamte rejony, byłem już w Daugavpils wcześniej. Teoretycznie to był dobry wybór.

Teoretycznie? Nic nie znalazłeś?

Owszem, miasto przyznaje się do malarza – jest centrum informacyjne, w lokalnym muzeum poświęcona mu sala, zresztą tylko z kopiami. Kurator zapewnił mnie, że idealne, bo robione pod kontrolą syna. Tyle że podróżując po Daugavpils i patrząc na dzieło Rothki, zdałem sobie sprawę, że nie ma mostu między tym miastem a Rothką i jego twórczością. Wyjechał stamtąd w 1913 r. jako 10-letni chłopiec i nigdy nie wrócił.

A niby jak? Podróż z Nowego Jorku w latach 40. czy 50. do ZSRR nie była łatwa.

Może masz rację. Ja poczułem, że odciął się od tamtego miejsca, nie wspominał go, zmienił nazwisko, przecież on był

Nigdy nie planowałem, że będę kronikarzem socmodernizmu, ani nie ślubiłem, że zostanę wierny tej tematyce.

Marcus Rothkowitz. Moja praca więc będzie o braku śladów i niemożności powrotu.

Wróciłeś za to niedawno do swojego idola Le Corbusiera, i to całkiem przypadkowo.

Zadzwoił do mnie Grzegorz Piątek (krytyk architektury i kurator) i uprzedził: „Mam dla ciebie propozycję, ale jest bardzo dziwna. Czy chcesz stać się Le Corbusierem?”. Francuski architekt dwukrotnie miał okazję dać wykład dla polskiej publiczności, w 1933 r. planował zatrzymać się w Warszawie w drodze do Moskwy. Drugą okazję miał w 1948 r., gdy dał się wciągnąć do polsko-francuskiego komitetu organizacyjnego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju. W obu przypadkach zrezygnował. Ale co powiedziałyby wtedy polskiej publiczności? Na podstawie zapisków Le Corbusiera z roku 1933 i 1948 – artykułów, korespondencji, wywiadów, zapisów wykładów powstały hipotetyczne teksty polskich prelekcji Le Corbusiera. Piątek postanowił je zainscenizować.

Jak trafił do ciebie?

Najpierw proponował zawodowym aktorom, ale tekst okazał się dla nich za trudny, by mówili po francusku. Ja zgodziłem się od razu. Czytałem parę jego książek, cenię jego twórczość architektoniczną, ale i niepodejrzewaną u niego wrażliwość na naturę, przyrodę. Ostatnie lata życia przeżył w małym domku na brzegu Morza Śródziemnego, w którym zresztą się utopił. Impонуje mi jego absolutny brak wątpliwości w swoje pomysły i idee.

Jak się przygotowywałeś?

Razem z żoną Olgą Mokrzycką odtworzyliśmy, jak ubrały się Le Corbusier w Warszawie w 1933 r. Dwurzędowy garnitur, okrągłe okulary. Wzięliśmy

kilka zdjęć Le Corbusiera z tamtych lat, Olga poświęciła materiał przywieziony przez jej dziadka z Anglii w latach 60. i poszliśmy do krawca.

Miałeś tremę przed występem?

Tak. Chodziło mi po głowie: „W co ja się wpakowałem?”. W Warszawie odbywało się to w szacownej auli Szkoły Głównej Handlowej dla kilkusetosobowej widowni. We Wrocławiu dla kilkudziesięciu osób w willi Dzieduszyckich. Zwykle po wykładach jest czas na zadawanie pytań, ale u nas pojawił się problem – kto ma na nie odpowiadać?

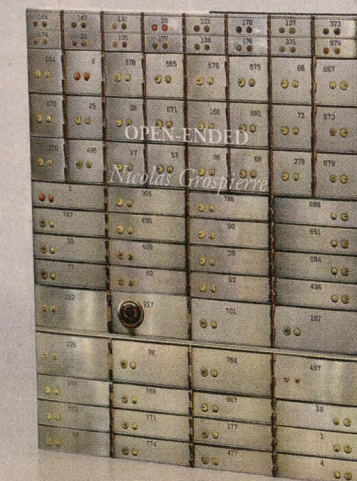
Ty?

Ale ja byłem tylko aktorem. A co powiedziałby Le Corbusier? Dlatego w Warszawie po wykładzie szybko wyszedłem, a we Wrocławiu uprzedziliśmy, że nie będzie pytań.

Dwa miesiące temu spłonęła twoja pracownia na warszawskiej Pradze. Co straciłeś?

Ponad 215 oprawionych zdjęć, gotowych do pokazywania – od 50 na 50 centymetrów do 2 metrów na metr. Duża strata materialna, ale do odrobienia. Na szczęście żadnych negatywów, bo te są w domu. Do tego mam kopie na trzech twardych dyskach i płytach CD. Ale współczuję malarzom, którzy stracili dorobek niemal całego życia. Ivo Nikić przygotowywał od trzech lat wystawę, został mu jeden obraz, który przypadkiem wyniósł do domu!

„Mark Rothko. Obrazy z Galerii Narodowej w Waszyngtonie”. Warszawa, MNW, 6.06–1.09
„Gabinety Ovalne” Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie 13.06–14.07
„Open-Ended. Works 2004–2012” Nicolas Groszperle Jovi, 2013



MONIKA BRZYWCZY

Kiedy niewidomi widzą więcej

Andrzej Jakimowski to fenomen polskiego kina. Od debiutu sam produkuje swoje filmy, by zachować niezależność. Jego „Imagine” – wzruszająca historia niewidomego lana – właśnie wchodzi na ekrany kin.



RAFAŁ GUZ

Filmy robi niezbyt często, co pięć–sześć lat. Tylko wtedy, gdy – jak mówi „Przekrojowi” – rzeczywiście ma coś do powiedzenia. Kiedy ich nie kręci – pisze scenariusze, zbiera pieniądze na produkcję, odwiedza festiwale, zajmuje się promocją. Wie, czego chce, co lubi i na czym mu zależy. Tę pewność i spokój widać zarówno w jego filmach, jak i podczas rozmowy. Opanowany, uprzejmy, konkretny. Słucha z zainteresowaniem, odpowiada bez zadęcia i wzburzenia. Nawet na niewygodne pytania, jak to, czy jego filmy są podobne do prozy Coelho. Widzowie uwielbiają jego filmy, czego dowodem jest m.in. nagroda publiczności na Warszawskim Festiwalu Filmowym, którą „Imagine” zgarła jeszcze przed premierą.

Ja to jest być niewidomym?

Nie mam pojęcia! Ja widzę, mogę to sobie tylko wyobrazić...

Musiał pan to sobie wyobrazić, żeby napisać scenariusz „Imagine”. Zaslaniał pan oczy?

Tak, oczywiście, próbowałem. To wyzwanie. Podczas pisania scenariusza poznałem wielu niewidomych i okazało się, że oni radzą sobie niewiarygodnie dobrze, często nie gorzej niż osoby widzące. Wielu z nich prowadzi bardzo aktywny tryb życia, podróżuje po świecie, są aktyw-

ni zawodowo. Dzisiaj życie ułatwiają im specjalne edytory i czytniki tekstów. Ale dopiero gdy sam zaslaniałem oczy, mogłem się zorientować, jak to jest z tą echolokacją, z odbiciami dźwięków.

No właśnie, scenariusz napisał pan po kilkumiesięcznej dokumentacji dotyczącej technik orientacji przestrzennej. A wręcz mówi pan, że najpierw pan taką metodę wymyślił, a potem okazało się, że ona rzeczywiście istnieje.

Wymyśliłem bohatera, który wykorzystuje odbicia dźwięków. Zainspirował mnie niewidomy amerykański muzyk, który poruszał się sam po scenie dzięki odgłosowi swoich butów. Potem, gdy dowiedziałem się o echolokacji, zmieniłem całkowicie pierwotną wersję scenariusza. Bo uważam, że nie ma sensu budować całego świata, stwarzać rzeczywistości, gdy można ją po prostu pokazać, odsłonić. Więc „Imagine” jest oparty na realiach, na rzeczywistej wiedzy o tym, jak sobie radzą niewidomi.

Jak z zagranic niewidomych poradzi sobie główni, widzący przecież, aktorzy, Alexandra Maria Lara i Edward Hogg?

Edward był zafascynowany tą rolą, nie miał najmniejszych wątpliwości, że chce tę postać zagrać. Przeszedł cykl sesji treningowych z Alejandro Navazem, niewidomym echolokującym, który wiele go nauczył. Alexandra też miała osobistą nauczycielkę, dziewczynę, która straciła wzrok już jako osoba dorosła. W tym przypadku bardziej strona psychiczna i stosunek do świata: a były tym, czemu przyglądała się aktorka.

Ale część aktorów to – jak to często w pana filmach – naturszczycy, prawdziwi niewidomi. I to w dodatku dzieci. Jak się z nimi pracowało?

Nie było to łatwe do zorganizowania. Pochodziły z różnych krajów. W każdym jest nieco inne prawo pracy, więc inną liczbę godzin mogły być na planie. Miały opiekunów, którzy sprawdzali, czy wszystko przebiega zgodnie z umowami. W związku z tym praca na pewno była trudniejsza i trwała dłużej.

Ale, co ciekawe, na planie odkryliśmy, że niektóre dzieci umiały już wcześniej echolokować. Na przykład mały Tiago zaczął to spontanicznie i po swoim robić przed kamerą.

Nakręciliśmy to i wykorzystaliśmy w filmie. Zresztą, jak się potem dowiedziałem, dziecko niewidome echolokuje już od pierwszych chwil życia, gdyż dźwięki odbija nachylająca się nad nim matka. Niektórzy niewidomi opowiadali mi, że w dzieciństwie nieświadomie używali tej metody, ale potem kazano im o niej zapomnieć, bo człowiek, który klaska czy młaska, sprawia wrażenie upośledzonego.

Odbiera pan swoim bohaterom wzrok. A w naszych czasach nieustannego podglądania innych przez portale społecznościowe, uploadowania obrazków na różne pinteresty, instagramy, które udowadniają, ile jesteśmy wari, jest to zagranie okrutne. Jaką wartość ma ktoś, kto nie może uczestniczyć w kulturze obrazkowej?

Tak nam się wydaje, ale tak nie jest. Tych rzeczy, które nas naprawdę interesują, nie da się zobaczyć. Nie wiemy, jakie są intencje osób, z którymi korespondujemy, a nawet kiedy z nimi rozmawiamy i patrzymy im prosto w oczy, i tak nie wiemy, co tak naprawdę myślą. Do tego potrzeba intuicji i tego możemy się uczyć od niewidomych. Odbieramy wiele dodatkowych informacji, ale nie umiemy z nich skorzystać, a oni łapią cały background sytuacji: zapach, odgłosy...

Piękną rzecz powiedział mi ktoś niewidomy: nawet nie potrzebuje słyszeć, że ktoś wchodzi do pomieszczenia, bo obecność nowej osoby w pomieszczeniu odbiera się jak powiew świeżości. To jest bardzo poetyckie, ale to prawda. Odczuwa się aurę, klimat – i to są ważne informacje, które pomijamy w kulturze obrazkowej. Brakuje nam ich. Rzeczy istotnych nie da się zobaczyć.

A poza tym te tysiące bodźców wzrokowych mocno nas rozpraszają, dekoncentrują.

Wzrok to bardzo zwierzęcy środek postrzegania rzeczywistości, który wykształciliśmy po to, żeby polować. I do takich celów, do technicznych zagadnień, najlepiej się nadaje. Natomiast my potrzebujemy czegoś więcej niż tylko informacji, potrzebujemy się komunikować z innymi głębiej. I do tego wzrok nie jest niezbędny.

Ale w „Imagine” opowiada pan także o pewnej projekcji rzeczywistości, o świecie, który sobie stwarzamy. Jest on taki, jakim chcemy go widzieć. Optyzmizm głównego bohatera, jego sposób postrzegania, odczuwania potrafi promieniować na innych.

Nawet żeby zobaczyć pewne przedmioty, które są obok nas, musimy użyć wyobraźni. Nasz mózg uczestniczy w przetwarzaniu informacji płynących z oka, np. odwraca obraz o 180 stopni, bez tego widzielibyśmy się do góry nogami...

Ale lan też trochę podkreca tę rzeczywistość. Jest w nim tyle pasji, energii, zapału, że bywa oskarżany o hochsztaplerstwo, kłamstwo, koloryzowanie.

Jego nauka jest zaskakująca dla otoczenia, bywa więc poddawany testom, potrafi intrygować różnymi sztuczkami, imitować dźwięk ptaków, ale przecież chodzi mu o to, by obudzić w kimś cie-

kawość świata. W ważnych sprawach nie kłamie, nie jest hochsztaplerem.

Bohaterowie pana filmów walczą o dobro, zdaje się, że wierzą, iż świat da się naprawić lub choćby udoskonalić. Jan w „Zmruż oczy” pokazuje Małej, że istnieje szacunek i głębia patrzenia na świat, co pozytywnie wpływa na jej relację z tatą. Stefek w „Sztuczki” za wszelką cenę chce, by ojciec, który porzucił jego matkę i siostrę dla innej kobiety, wrócił do domu i on w końcu wraca. Podobnie lan uczy niewidome dzieci oraz Ewę odbierania świata całym ciałem, otwartości, ciekawości...

Rozumiem, że pan podziela tę wiarę swoich bohaterów, że świat może być lepszy? Moi bohaterowie mają pozytywny stosunek do świata i na pewno przekazują to innym. Bez tego nie ma poznania. Często dajemy się nabrać na złowieszczy obraz świata, w którym epatuje się nas złem, okrucieństwem, czasami zwykłym chamstwem. To naiwna postawa,

REKLAMA

WYRZUCONY ZA TO, ŻE JEST PSEM.



1% KRS 0000154454



TOWARZYSTWO OPIEKI
NAD ZWIERZĘTAMI W POLSCE
WWW.TOZ.PL
POMAGAMY OD 1864 ROKU.

która ogranicza nasze horyzonty i uniemożliwia nam poznanie świata. Prawda jest złożona, skomplikowana. Ludzie są straszni i dobrzy zarazem. Żeby dostrzec prawdziwy świat wokół nas, ten z krwi i kości, trzeba wykrzesać z siebie pozytywne podejście. Inaczej będziemy skazani na powtarzanie oklepanych, ponurych banałów.

Ale widzowie zarzucają panu czasem, że jest pan takim filmowym Paulem Coelho, który w swoich filmach mówi: „Spójrz w głąb siebie, czas nie jest rzeczą linearną, jeśli czegoś naprawdę będziesz chciał, to to się stanie”.

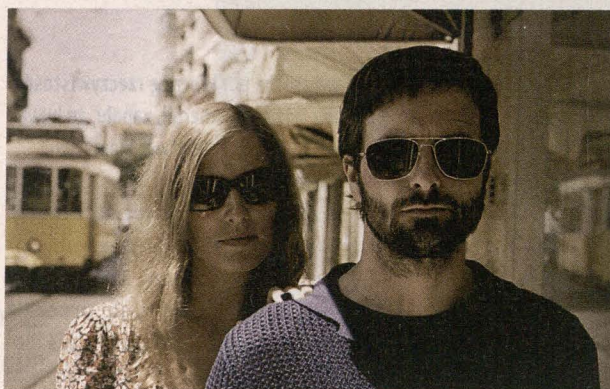
To dosyć powierzchowne stwierdzenie. Moje filmy nie są jakimiś lukrowanymi obrazkami, mają też gorzkie nuty, mówią o przemijaniu, śmierci, odrzuceniu, ostracyzmie, głupocie... Ale one są wymieszane z tymi pozytywnymi rzeczami. Nie lubię epatowania ludzi ponurymi myślami, to jest znanie mojego stylu.

Od debiutanckiego „Zmruż oczy” otacza pana nimb reżysera niezależnego. To ewenement w polskiej kinematografii, żeby reżyser osobiście zbierał pieniądze na swój film...

Może w Polsce nie, ale na świecie zdarza się całkiem często. Model uświęcony tradycją od Chaplina, Coppoli, przez wielu europejskich reżyserów. To nie jest coś nadzwyczajnego. Po to sam produkuję swój film, żeby mieć całkowitą nad nim władzę i moc podejmować wszystkie decyzje. To wyjątkowa sytuacja, która pozwala zachować niezależność.

Zaczynając karierę filmową, wiedział pan od razu, że taki model jest dla pana dobry?

Nie, to była konieczność. Nauczyłem się w praktyce, że nie ma innej drogi dla kogoś, kto chce robić coś niezależnego. W przeciwnym razie reżyser podlega nieskończonej presji i wymogom, które stawiają mu najpierw producenci, potem dystrybutorzy, różnego rodzaju naciskom komercyjnym, cenzuralnym, praktycznym... Jest wiele rzeczy, które ograniczają reżysera. Oczywiście wszystko zależy od jego pozycji. Są tacy, którzy z racji dorobku i autorytetu mają



KOMEDIODRAMAT
„Imagine”,
reż. Andrzej
Jakimowski
Francja, Polska,
Portugalia,
Wielka Brytania
2012, 105 min,
dyst. Kino Świat

zagwarantowaną niezależność. W polskim kinie Andrzej Wajda czy Agnieszka Holland mogą dyktować warunki, ale dla reszty samodzielna produkcja to jedyna droga do wolności twórczej.

Zjednoczenie Artystów i Rzemieślników, założone przed „Zmruż oczy”, jeszcze istnieje?

Oczywiście! I dobrze prosperuje dzięki filmom, które do tej pory wyprodukowało.

Ilu liczy członków?

To jest spółka akcyjna, ma kilku akcjonariuszy. Są nimi moi przyjaciele operatorzy, montażysta, kompozytor Tomek Gaśowski, dźwiękowiec Tomek Kokoński czy producent Arek Artemiuk. To jest takie niezależne przedsiębiorstwo produkcyjne stworzone do wykonania konkretnych przedsięwzięć.

Czyli pana filmów?

Nie tylko. Czasami firmuje też inne rzeczy, np. płyty muzyczne czy krótkie filmy, np. Darka „Cókiarka” Błaszczyka. Ale są to tylko przedsięwzięcia artystyczne, nie zajmujemy się zarabianiem pieniędzy.

Czyli reklamówek już pan nie kręci?

Nie mam na to kompletnie czasu.

Pieniądze zarabia pan na filmach?

Tak, ale robię je, bo czuję taką potrzebę, a nie dlatego, żeby zarobić.

Kręci pan jednak dosyć rzadko. „Zmruż oczy” w 2002 r., „Sztuczki” w 2007 r., na „Imagine” kazał pan widzom czekać aż sześć lat. Nie czuje pan potrzeby, żeby częściej coś robić?

Nieczęsto mam coś do powiedzenia. A nie lubię zabierać głosu bez potrzeby. Podobnie jest z książkami. Oczywiście można wydawać co roku, ale jeśli ktoś wydaje jedną na kilka lat, trzeba się z tym pogodzić. Dla mnie znaczenie ma to, czy filmy, które robię, zostają w pamięci.

Tym razem po raz pierwszy jest to koprodukcja, czy to jakoś wpłynęło na proces produkcyjny?

To dla mnie naturalna decyzja. Moje poprzednie filmy trafiły do tak dużej grupy odbiorców poza granicami Polski, że wyciągnąłem z tego wnioski. Największą barierą w dystrybucji ich w innych krajach był język. Obejrzenie „Sztuczek” zdubbingowanych, kiedy Elka albo Stefek mówią po niemiecku czy hiszpańsku, przekonało mnie, że warto spróbować produkcji międzynarodowej, że to może być bardziej nośne.

Jak to się przełożyło na dystrybucję, ile krajów go kupiło?

To jeszcze jest w toku, ale na dziś jest to, zdaje się, ok. 10 państw. Oczywiście kraje koproducentkie: Francja, Portugalia, ale także Rosja czy Niemcy.

A budżet? Pana pierwsze filmy były kręcone w skromnych lokacjach – wieś, zrujnowane budynki, a tu Lizbona, ulice, port...

Ale skala nie jest wiele większa. „Imagine” nie jest superprodukcją, to film o ograniczonych środkach, bardzo oszczędnie wydanych, zważając na trudności w zebraniu całej ekipy w jednym miejscu, tych wszystkich niewidomych dzieci z ich opiekunami. To było trudne przedsięwzięcie. Ale mimo wszystko działaliśmy bardzo ekonomicznie.

Sam pan pilnuje kosztów?

Oczywiście. Jako główny producent decyduję i odpowiadam za nie.

Który etap robienia filmu lubi pan najbardziej?

Wszystkie są do jakiegoś stopnia uderką... Ale chyba najprzyjemniejsze jest pisanie scenariusza i reżyserowanie. Bo ja najczęściej improwizuję. Moje filmy stają się na planie, w interakcji aktorów czy ekipy i lubię ten proces, podobnie jak montaż.

Jak pan odpoczywa, co pan robi pomiędzy filmami? To w sumie całkiem długie okresy.

Bynajmniej! Napisanie scenariusza zajmuje mi średnio rok, zebranie pieniędzy podobnie, przygotowanie do filmu kilka miesięcy, kręcenie go następne kilka. Następnie montujemy, a potem zaczyna się promocja, jeżdżenie po festiwalach, sprzedaż. A w międzyczasie lubię sobie pobyć w domu, mieszkam na wsi, lubię sobie tam żyć, wśród bliskich, daleko od Warszawy.

Pierwszy film poświęcił pan córce, drugi siostrze, a ostatni żonie. Zostały jeszcze jakieś panie w rodzinie, dla których warto coś nakręcić?

Ale ja nie rozdzielam kaszki łyżeczką (śmiech)! To są bliskie mi osoby, które dużo muszą wycierpieć z powodu braku mojego czasu i zaangażowania w różne projekty. Żeby te filmy mogły powstać, muszą mi wiele wybaczyć. Czasem, jak moja żona Ewa, są w nie moeno zaangażowane. Te dedykacje zdecydowanie się im należą.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Ryszard Bugajski
Polska 2013,
Kino Świat, 119 min
☺☺☺

THRILLER

Układ zamknięty

Spisek na szczytach władzy doprowadza do upadku firmę trzech młodych przedsiębiorców. Kino społecznie potrzebne i moralnie słusne, ale problem w tym bardziej, że publicystyka zabija tu materię filmową. Im dalej w las, tym podział na dobrych i złych staje się nieznosnie jednoznaczny, motywacje trywialne, a opowieść boleśnie przewidywalna. Szkoda wielka, bo oparta na faktach historia oraz aktorstwo Janusza Gajosa dawały szansę na namalowanie pełnego niuansów obrazu patologii systemu. A że takie portrety są na rodzimym gruncie możliwe, Smarzowski dowodem. Powinna być trójka, ale dodatkowo plus należy się – i to bezwzględnie – za doskonałe zdjęcia Piotra Sobocińskiego juniora. To już nie jest nawet klasa europejska, to jest klasa światowa.



reż. Dustin Hoffman
Wielka Brytania 2012,
Best Film, 98 min
☺☺☺

KOMEDIODRAMAT

Kwartet

Uregulowane życie mieszkańców domu seniora muzyka zostaje wywrócone do góry nogami wraz z przybyciem wielkiej gwiazdy na emeryturze, a prywatnie byłej żony jednego z lokatorów. Mniej film, bardziej pełnometrażowa reklama preparatów typu geravit – niemal wszyscy wiekowi bohaterowie są tu dziarscy, wręcz atrakcyjni, i modnie się ubierają, a śmierć jest praktycznie nieobecna. A to z kolei przekłada się na cokolwiek infantylny charakter ich życia wewnętrznego i przemyśleń życiowych. Wielkie brawa należą się tu tylko za koncert gry aktorskiej w wykonaniu najwybitniejszych przedstawicieli brytyjskiej sceny i ekranu, którym przewodzą zwłaszcza niezrównana Maggie Smith i ujmująco powściągliwy Tom Courtenay.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Psychofanka

Życie fana seriali nie jest usłane różami. Najczęściej spotykają nas rozczarowania. Jak „Bates Motel”, niestety. Czekałam na ten serial z niecierpliwością, rozentuzjasmowana jak nastolatka. Po pierwsze, jestem psychofanką „Psychozy” – uwielbiam film Hitchcocka i wszelkie związane z nim apokryfy i anegdoty (nawet całkowicie zbędny remake Gusa Van Santa lubię). Pomyśl, by dopowiedzieć historię Normana Batesa, pokazać jego młodość i skomplikowane relacje z matką, wydał mi się więc z miejsca doskonały. A kolejne informacje o produkcji utwierdzały mnie w tym radosnym oczekiwaniu. Zwłaszcza te, że w roli głównej wystąpi uroczy, acz odpowiednio demoniczny Freddie Highmore („Marzyciel”, „Charlie i fabryka czekolady”), jego matkę zagra zaś wielka Vera Farmiga („W chmurach”, „Kod nieśmiertelności”). Niestety, efekt, a przynajmniej ten skrawek efektu w postaci pierwszych odcinków serii, nie dorósł do moich oczekiwań. Jest płasko, przewidywalnie do bólu (biedny Alfred chybaby tego nie zniósł), z takim freudyzmem (to akurat jeszcze w miarę wybaczone) i quasi-mangową pornografią w stylu hentai (tak!). Uspółcześnienie historii, choć odbiera odrobinę magii (smartfony są wrogami suspense), jest tu najmniejszym problemem.

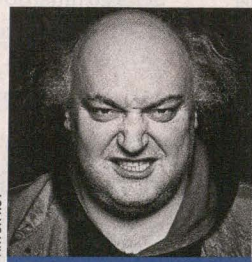
Na dobry, mocny i wytrawny gatunkowy thriller przyjdzie mi jeszcze poczekać. Bo „The Following” z Kevinem Baconem, które miało być jak „Milczenie owiec”, tylko lepsze, też okazało się gorsze. Tym razem klasycy górą.

Kanał 13th Street Universal, emisja od 14 kwietnia, czwartki godz. 21.00



Maciej Nowak

Frau Jelinek, Ruhe!



ARTUR KOT

Tylko swoim znaczeniem reżyser rozświetla puste torby na zakupy, obwisłe nieszczęsne worki o mniejszej lub większej zawartości poezji.

To już zaczyna być nudne. W Teatrze Polskim w Bydgoszczy znowu sukces, do którego tym razem dołączył Teatr Powszechny w Łodzi. Oba teatry wspólnie wyprodukowały doskonałą „Podróż zimową” wg Elfriede Jelinek. Aż dziw bierze, że dla Mai Kleczewskiej to dopiero trzecie spotkanie z tą literaturą. Jej reżyserskie strategie wydają się całkowicie przylegać do dzieła austriackiej noblistki i z niego wyrastać. Z jej bezwzględności wobec ojczyzny, wściekłości na świat i przede wszystkim – z bezkompromisowego kwestionowania póź współczesnej kultury. Opowiadali mi aktorzy, że praca z Kleczewską polega również i na tym, że przynoszą na próby swoje aktualne lektury, opowiadają sny, z których reżyserka tka sceniczne sytuacje. Jakże to bliskie temu, co o teatrze i jego artystach pisze Jelinek w „Sztuce protestu”. Reżyser? „Kto jest szefem? Proszę sobie niczego nie uzurpować! Wynocha! Sensem teatru jest brak treści (...) Tylko swoim znaczeniem reżyser rozświetla puste torby na zakupy, obwisłe nieszczęsne worki o mniejszej lub większej zawartości poezji. Aż nagle niemające znaczenia znaczy coś! Kiedy pan reżyser sięgnie do wieczności i wyciągnie coś, co się miota”. W przekładzie autorstwa Karoliny Bikont mówi się o Panu Reżyserze. Ale po „Podróży zimowej” wiem, że chodzi o Panią Reżyser.

„Podróż zimowa” to obszerna powieść Elfriede Jelinek, której nie czytałem i pewnie raczej nie przeczytam. Zbliżyłem się do niej za pośrednictwem Kleczewskiej i Łukasza Chotkowskiego, który uczestniczył w tworzeniu scenariusza. Wyciągnęli z niej zamiatane pod dywan brudy austriackich domów. Mamy monolog Elisabeth Fritzl, więzionej i gwałconej przez prawie ćwierć wieku przez własnego ojca. Wypowiadająca go Julia Wyszynska zamienia się w zaszczute zwierzątko, balansujące między roślinnością a czarną otchłanią bólu, na wpół zmarła, pozbawiona wszelkiej nadziei. Mamy brawurową i paraliżującą scenę z udziałem Ka-

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

roliny Adamczyk, grającej dziewczynkę wykorzystaną seksualnie przez ojca. Mamy prezentację niczym z telewizyjnej reklamy z zadowoloną z siebie wiedeńską gospodynią domową (Beata Ziejka) przygotowującą koktajl z cytrusów i ludzkich prochów. Mamy hymn ku czci internetowych rozkoszy śpiewany przez Piotra Stramowskiego w stroju królika Bugsy, który eksponuje wszystkie atuty swego boskiego ciała uformowanego na modnej siłowni. Hmm, na mnie to działa. Mamy też skunksa, który uzurpuje sobie prawo do bycia rzecznikiem zwykłych ludzi, którzy nie życzą sobie wyciągania na wierzch tego, co ukryte w nieodkurzanych od dawna kątach. I w końcu mamy też jedną z tych rozwibrowanych, sensualnie odczuwanych scen, które są znakiem rozpoznawczym teatru Kleczewskiej: szaleńcza orgia w potokach kolorowych farb przy muzyce, od której drżą lustra, budujące przestrzeń do gry, autorstwa Wojciecha Pusia. A to przecież niejedyna atrakcja tej scenografii. Gdy wchodzimy na spektakl, lustra przesłonięte są muślinowymi firanami. Za nimi mającą postaci aktorów, projekcje, cudownie kreacyjne kostiumy Konrada Parola, a na środku czerwonej sceny niczym gwiazda w poświęceniu punkowego reflektora swinguje niezdarnie pluszowy misio na baterie. I wtedy rozpoczyna się ekstatyczna parada panien młodych płci obojga (m.in. Michał Jarmicki), komentowana przez szalonego konferansjera z talerzami perkusyjnymi w dłoniach.

Konferansjerem jest Michał Czachor, który w finale zakłada czerwone szpilki, prostą spódnicę, koszulę oraz charakterystyczną peruczkę z dwoma warkoczykami i upięciem nad czołem. Mówi cichym, właściwie zamierającym głosem, patrzy w oczy widzów ze spojrzeniem osoby śmiertelnie zmęczonej. „I co, Jelinek znowu wraca do tych samych tematów? Macie już mnie dość? Frau Jelinek, czas się uspokoić! Wasze niedoczekanie! Piszę dalej! Jak zwykle będzie mokro i czerwono!”. ☹



„Podróż zimowa”
wg Elfriede Jelinek,
rez. Maja Kleczewska,
Teatr Powszechny
w Łodzi (prapremiera 23.03)
i Teatr Polski Bydgoszcz
(premiera 23.04),
spektakle: 24–26.04, godz. 19
(Bydgoszcz)

ROZMAWIA ANGELIKA KUCIŃSKA

Nie jesteśmy góralami

Wszyscy by chcieli, nie każdemu się udaje. Oni regularnie występują za granicą – na dużych festiwalach i na samodzielnych koncertach. Właśnie wrócili z kolejnej wycieczki do Stanów Zjednoczonych. O polskiej muzyce na świecie rozmawiamy z **Tomkiem Szpaderskim** z eksportowego zespołu **Kamp!**.

Jak to się robi w Ameryce?

Dobrze. I dużo. Właśnie wróciliśmy, chociaż nie zdążyliśmy za wiele zobaczyć. Zagraлиśmy na festiwalu South by Southwest, z czego jesteśmy naprawdę zadowoleni.

Szansę grania w Stanach daje polskim zespołom Instytut im. Adama Mickiewicza. Tak jest wciąż w waszym przypadku? Instytut wysyła czy już was sami zapraszają?

Instytut nam bardzo pomógł – chociażby dlatego, że finansuje połowę kosztów

podróży. Ale tym razem zagraлиśmy też trzy koncerty, które sami zorganizowaliśmy. Zresztą zaproszenie na South by Southwest również było efektem naszej inicjatywy – udało się połączyć wsparcie Instytutu z własnymi działaniami.

Instytut załatwił nam jeden showcase, nam udało się dodatkowo zdobyć zaproszenie na showcase wytwórni Kitsune. Oczywiście można było zagrać dużo więcej koncertów, ale my już widzimy spory progres u siebie. Działalność Instytutu procentuje i wysyłanie polskich zespołów za granicę zaczyna przynosić efekty. Wiadomo, że wciąż pewne bariery organizacyjne nie pozwalają nam pojechać w dużą trasę po Stanach, ale jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, co udało się zrobić do tej pory.

A o jakich efektach mówisz? Na co przekłada się występowanie za granicą? Z czym wracacie?

Występ na South by Southwest to fantastyczna rzecz w CV zespołu – furt-



TOMEK SZPADERSKI

W **Kamp!** śpiewa, gra na gitarze i klawiszach. Prowadzi też z kolegami z zespołu wytwórnię internetową Brennessel. Pod jej szyldem ukazały się wszystkie wydawnictwa **Kamp!**, w tym wydany w 2012 roku pełnowymiarowy debiut zespołu.

ka, która wiele otwiera. To świetna wizytówka, działa na promotorów. Po pierwszym występie na festiwalu dostaliśmy zaproszenia na kolejne zagraniczne imprezy – np. na festiwal w Serbii. To też idealne miejsce, żeby nawiązać branżowe kontakty – możliwości jest aż nadto, więc trzeba być uważnym i skupionym na tym, żeby znaleźć odpowiednich ludzi. Chociaż może ja jestem ostatnią osobą, żeby się na ten temat wypowiadać, bo my prawie nigdy nie dotrzymujemy obietnic...

Branża branżą, a co z publicznością? Polski zespół jedzie na festiwal do Teksasu – ktoś to chce oglądać?

Graliśmy dwa razy w Teksasie, pierwszy raz dwa lata temu. Zaproszonych zespołów jest mnóstwo, więc trzeba się dobrze ulokować. W tym roku wystąpiliśmy w ramach dwóch przeglądów – Kitsune, które jest rozpoznawalną marką, i niezależnego magazynu „Filter”. Pamiętam, że jak graliśmy dwa lata temu z kolei w Los Angeles, frekwencja była naprawdę niska. Teraz publiczność na naszych koncertach w Stanach liczy średnio 100 osób, a nie gramy w dużych klubach.

Wasza zagraniczna publiczność różni się od polskiej?

Tam mamy zupełnie inny status, chociaż w Stanach muzyka elektroniczna przeżywa renesans – nawet jeśli najpopularniejsze nie są te formy elektroniki, które nas interesują i które lubimy. Po latach słuchania rocka Ameryka chce potaćzyć, więc na naszą muzykę reaguje żywiołowo.

Kiedy i gdzie zagraлиście pierwszy zagraniczny koncert?

W Czechach, i to jeszcze w pierwszym roku działalności **Kamp!**. Czesi mają bardzo fajną scenę elektroniczną, słuchają elektroniki, potrafią się przy niej dobrze bawić. Po koncercie w Brnie zostaliśmy zaproszeni na trasę z zespołem **Midi Lidi**, który jest dużą gwiazdą w Czechach, bo zrobił muzy-

kę do jakiegoś dobrze przyjętego filmu („Protektor” Marka Najbtra – przyp. red.). Chcemy wrócić do Czech, publiczność jest świetna, czasem bardziej entuzjastyczna niż w Polsce, nawet na koncertach zespołu, którego nie znają.

Podobno macie wielu fanów w Meksyku?

Nie potrafię tego potwierdzić. Przez nasz profil na Facebooku przewija się wiele latynoskich nazwisk, chociaż ja się łudzę, że to amerykańscy imigranci. Inna sprawa, że bardzo chciałbym zagrać w Meksyku. Byliśmy już blisko, w San Diego, gdzie z najwyższych budynków w mieście było widać granicę meksykańską. Rozmawialiśmy na miejscu z kilkoma promotorami, którzy namawiali nas, żebyśmy przy kolejnej wizycie w Stanach odwiedzili też Meksyk, bo to tam jest najlepsza publiczność na świecie. Albo głęboka Ameryka Południowa albo właśnie Meksyk – najbardziej żywiołowi ludzie. Chcemy to sprawdzić.

Wiele polskich zespołów próbuje, nie wszystkim się udaje. Dla was zagranica od początku była celem. Skąd przekonanie, że się uda?

Nikt nie chce się ograniczać do lokalnej publiczności, każdy zespół marzy o tym, żeby go słuchano na całym świecie. My możemy, bo robimy muzykę, która jest w miarę prosta i uniwersalna – gramy elektronikę, nie jesteśmy zespołem górali wykonujących tradycyjne przyspiewki.

W Internecie nie ma granic – wy zawsze intensywnie funkcjonowaliście w sieci. To pomogło?

Funkcjonujemy tak bardzo w Internecie niekoniecznie dlatego, żeby dotrzeć do zagranicznej publiczności, ale dlatego, że dzisiaj inaczej zwyczajnie się nie da. Jak powiesz plakat na mieście, nie wiesz, ile osób je zobaczy, pewnie niewiele. Masz płytę w sklepie, musisz jakoś o tym powiedzieć ludziom. To jedyna droga. ☞



Kamp! grają sporo za granicą, ale nie zapominają o polskiej publiczności. 13.04 zespół podsumuje dotychczasową trasę koncertem w warszawskim klubie Palladium.

Nowa fala soulu w Basenie

Noszą się według odzieżowych wytycznych niedysyjszych klubów disco i udają Prince'a lepiej niż Prince. Najgorętszy duet nowego R'n'B, czyli amerykański Inc., zagra w Warszawie.

Niewiele wiadomo o braciach Aged. Obaj mają dyplom z jazzu. Ten starszy, Daniel, pacyfikuje młodszego, Andrew – zwolennika kreatywnej demolki (jeden grzecznie nagrywa, drugi chce wszystko wyrzucać do śmieci – tak podobno powstały ich najlepsze piosenki). Do Los Angeles przenieśli się z niewielkiego miasta w północnej Kalifornii. Przez lata pracowali jako muzycy do wynajęcia, koncertując i nagrywając z gwiazdami: Beyonce, Eltonem Johnem, Beckiem czy Pharrellem Williamsem. W nielicznych wywiadach lubią podkreślać, że granie na zlecenie było świadomym wyborem – chcieli się uczyć od największych. Prace nad autorskim debiutem zaczęli już dwa lata temu, premierę opóźniły jednak poszukiwania odpowiedniego wydawcy. Ostatecznie podpisali kontrakt z 4AD, jedną z najbardziej opiniotwórczych marek w historii muzyki niezależnej. Dziś Inc. stawia się w jednym rzędzie z How To Dress Well czy The Weeknd – najważniejszymi nazwami nowej fali soulu. Wyda-



Inc.
12.04. Basen
Warszawa

nym kilka miesięcy temu albumem dowiedli, że są warci zamieszania. Na żywo będą musieli pokazać, że niedysyjsze granie z gwiazdami było skuteczną szkołą. Inc. wystąpią 12 kwietnia w warszawskim klubie Basen. → Angelika Kucińska

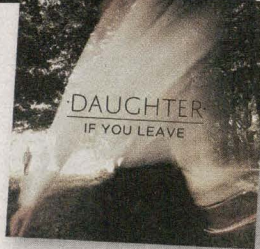


INDIE FOLK

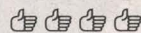
Daughter nie krzepi

Najsmutniejsza dziewczyna w Londynie, zamiast wykupić dożywny zapas prozacu, założyła zespół. Gdzie traci przemysł farmaceutyczny, tam zyskuje publiczność – płyta Daughter to najlepszy folkowy debiut tej wiosny.

Według banalnej prawdy sprzed wieków najładniejsze piosenki powstają, gdy boli. Teksty Eleny Tonra, krtani i twarzy zespołu (trzyosobowy dziś Daughter kiedyś był solowym projektem dziewczyny), potwierdzają regułę. Zgodnie z tytułem albumu pisze o tym, co się dzieje z jednym, gdy drugie sobie idzie, zgodnie z sentymentalną naturą – nadużywa konkretnie przygnębiających linijek. Treść zgadza się z formą – barwa głosu wokalistki dobrze współgra z przestrzennym, oddychającym brzmieniem muzyki. Przy produkcji płyty pomagał współpracownik The xx i słysząc pokrewieństwo wrażliwości. Nawet jeśli albumy The xx ustawia wielkomicjski puls, a estetykę pierwszego długogrającego albumu Daughter definiują folkowe melodie, to w jednym i drugim przypadku mowa o podobnym emocjonalnym minimalizmie. To bardzo smutna płyta, ale daleka od melodramatu. → Angelika Kucińska



Daughter,
„If You Leave”,
Sonic



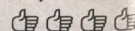
ELEKTRONIKA, CHILL OUT

Duży, coraz większy

U Bonobo bez zaskoczeń. To wciąż wysokiej jakości elektronika z duszą i klimatem.

Ciepłowość i upór popłacają. Stojący za Bonobo Simon Green długo zabiegał o uznanie fanów leniwej, relaksującej elektroniki wyrosłej z hip-hopu i jazzu. Udało się dopiero po siedmiu latach od jego singlowego debiutu przy okazji wydanej w 2006 r. płyty „Days to Come”. Od tamtej pory muzyk i producent z Brighton tylko rośnie. Opublikowanym trzy lata temu albumem „Black Sands” zasłużył awansować do grona liderów wydającej go cenionej okołoelektronicznej wytwórni Ninja Tune. Na nowej płycie Green nie zmienia kursu. Pozostaje wierny charakterystycznym dla siebie brzmieniom, znakomicie łączy organiczne z syntetycznym, a nastrojowe i odprężające z coraz większą fascynacją klubowymi, tanecznymi rytмами. Wśród śpiewających gości tym razem m.in. sama Erykah Badu – i to jest najlepszy dowód na to, jak duży jest dziś Bonobo. → Bartek Winczewski

Bonobo,
„The North Borders”,
Ninja Tune



PRZEKRÓJ numer 11



NOWY NUMER

w sprzedaży, a w nim m.in.:

- **Andrzej Talaga** / Pierwsza RP była kilkakrotnie biedniejsza zarówno od Prus, jak i od Rosji. Jak mieliśmy przetrwać z taką różnicą potencjałów?
- **Jacek Borkowicz** / W Birkenau zamordowano co najmniej 40 tysięcy Polaków
- **Leszek Moczulski** / Granicę zachodnią Polski ukształtowała samowola Dmowskiego i upór Lloyd George'a



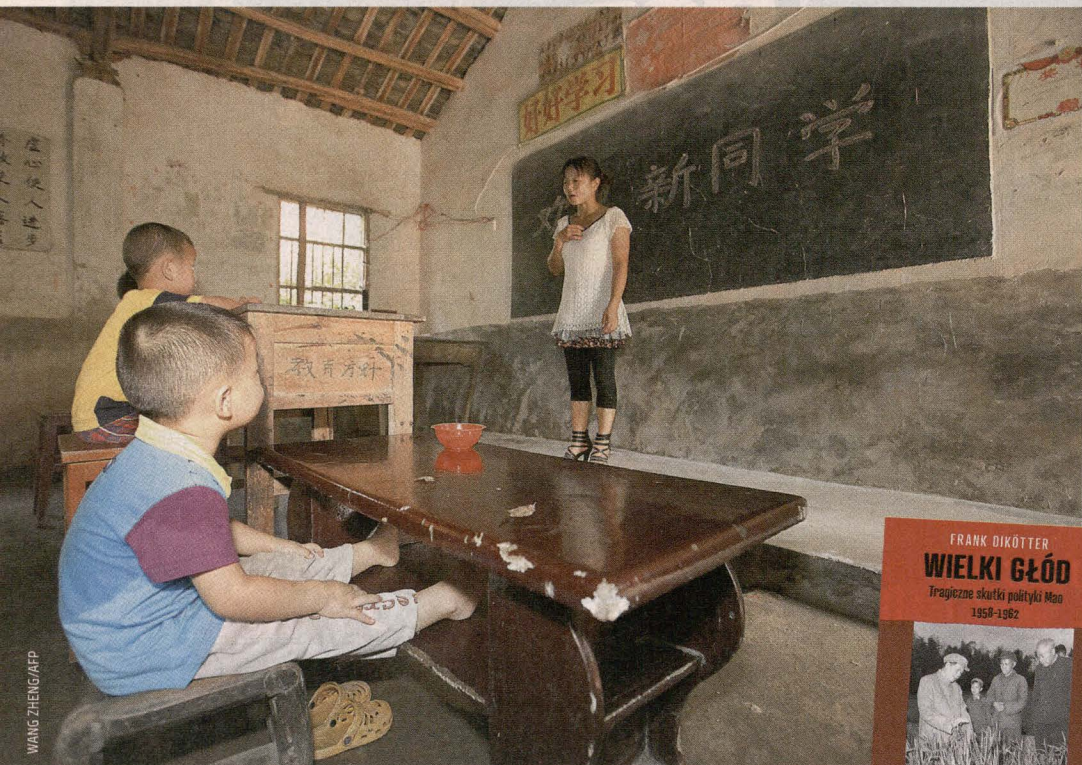
Available on the
App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl



JACEK TOMCZUK

Chiny x 2

Najlepsze książki o dzisiejszych Chinach piszą zachodni reporterzy. A najciekawsze syntezy dziejów prezentują zachodni historycy.

Chińczycy nie lubią spontaniczności. Nawet artyści nie mają co liczyć na odrobinę szaleństwa i wolnej woli. W Europie zwykle osiedlają się tam, gdzie można najtaniej wynająć pracownię, w Państwie Środka o założeniu wioski artystycznej decydują drogowcy i urzędnicy. Jedna z nich stanęła przy zjeździe z autostrady na południu między Lishui a Da-gangtuo.

Chińczycy za to lubią wielką skalę i precyzyjny plan. Ulgi podatkowe, obniżki czynszów na pierwsze trzy

lata działalności, które zadziałały w przypadku zakładów produkujących zabawki – dlaczego miałyby nie zadziałać w przypadku sztuki? I tak „komuna artystyczna” (!) ściągnęła 11 przedsiębiorstw, które zatrudniły zawodowych malarzy, ci zaś tworzą pejzaże amerykańskich i europejskich miast na zagraniczny rynek. „Menedżer jednej z firm powiedział mi, że podpisał umowę z kupcem z Europy na comiesięczną dostawę tysiąca przedstawień Wenecji. Popytem cieszą się też kopie prac mistrzów

holenderskich” – pisze Peter Hessler w monumentalnej jak Wielki Mur książce „Przez drogi i bezdroża. Podróż po nowych Chinach”. Wyprodukowanie obrazu zajmuje zwykle jeden dzień. Ceny w zależności od wielkości. Młotki małe idą zwykle za 6 dolarów i 25 centów, większe za 12,5 dolara, największe, 30 na 49 metrów (!) – 45 dolarów i 11 centów. Można się tylko domyślać, za ile handlarze pod Bazyliką św. Marka w Wenecji wciskają je turystom. Ciekawe, czy produkcja widoków Wawelu czy Barbakanu też przeniosła się do Azji?

Latem 2001 r. Peter Hessler, korespondent „New Yorkera”, zdobył chińskie prawo jazdy i ruszył w podróż przez Kraj Środka, by obserwować zmiany, jakie zaszły w Chinach dzięki rozwijającemu się przemysłowi. Kapitalny tom reportażu został nawet przełożony na chiński i zdobył tam miano bestsellera. Tamtejsi czytelnicy docenili poczucie humoru Amerykanina, który przemierzał kraj wynajętym jeepem i potrafił oddać absurdy ich zmieniającej się rzeczywistości. Jego Chiny pozbawione są egzotyki i tajemniczości. Opisał, jak zupełnie wyludniona wioska niedaleko Pekinu przekształciła się w ciągu kilku lat w centrum turystyczne. Był świadkiem zakładania specjalnych stref ekonomicznych, gdzie jak grzyby po deszczu wyrastają fabryki guzików, butów czy uszytywniaczy do biustonoszy.

Hessler pisze przede wszystkim o ludziach poznanych w drodze: o autostopowiczkach jadących do rodziców, którzy zostali na wieś o starcach, którzy jako jedyni nie wyjechali z opuszczonych osad o początkujących biznesmenach marzących o rozkręceniu własnego interesu i robotnikach migrujących w poszukiwaniu lepszych warunków życia.

Reportaż zresztą w chińskich księgarniach to towar deficytowy. Literatura faktu nie jest zbyt dobrze widziana przez cenzurę. Historie oparte na autentycznych opowieściach, bohaterach

z imienia i nazwiska mieszkających w konkretnej wsi znikają z półek, zanim dotrą do nich czytelnicy. Tak właśnie działa tamtejsza cenzura. Nie opinuje tekstów do druku, lecz dopuszcza towar do handlu. Jeżeli książka okazuje się nie po linii partii, rekwiruje nakład, czym doprowadza często niepokorne wydawnictwa do bankructwa. Łagodniej traktowana jest beletrystyka – dzięki filtrowi fikcji autorzy mogą poruszać nawet trudne tematy jak wysiedlenia, piramidy finansowe czy masowe zakażenia AIDS...

Podobnie jak z reportażem sprawa ma się z historią. „Wielki Głód. Tragiczne skutki polityki Mao 1958–1962” Franka Diköttera to wstrząsający zapis jednej z największych katastrof XX wieku – wielkiej klęski głodu w Chinach, będącej konsekwencją bezwzględnej polityki. W ramach kampanii, której hasłem było: więcej, lepiej, pręcej i taniej, Chiny miały się stać jedną z najprężniejszych gospodarek świata, jednak rezultaty okazały się tragiczne – ten „szalonec” kosztował życie kilkadziesiąt milionów ludzi. Belgijski historyk dotarł do wielu dokumentów, o których Chińczycy mogli tylko marzyć. Paradoks polega na tym, że wgląd w partyjne archiwa mają tylko zaufani badacze, którzy z kolei nie potrafią napisać krytycznej historii swego kraju.

O ile Dikötter opisuje klęskę komunistycznej utopii, o tyle Hessler odkrywa Chiny rządzone przez byłych stalinowców nawróconych na kapitalizm. Z jego książki wynika, że Chińczycy podważyli ideę, w którą tak bardzo ułcieli wierzyć zachodni intelektualiści, że kapitalizm i pojawienie się zamożnej klasy średniej prowadzą do wyłonienia się liberalnej demokracji. Kiedy czyta się „Przez drogi i bezdroża”, można zobaczyć, jak to właśnie nowi mieszczanie, przekupieni obietnicą jeszcze większej zamożności, robią wszystko, by zachować istniejący porządek polityczny. Być może kiedyś tego pożałują, ale na razie ich wybór jest jasny: posłuszeństwo w zamian za pieniądze.

Smutek kibucu

Etgar Keret, drugi najpopularniejszy w Polsce pisarz izraelski, słynie z opowiadań. Ale i Amos Oz równie często sięga po krótką formę. Tak było w jego debiutanckim zbiorze „Tam, gdzie wyją szakale”, tak jest i teraz w jego najnowszej książce „Wśród swoich”.

Osiem krótkich historii osadzonych w latach 50. rozgrywa się w kibucu – miejscu, do którego Oz w swojej twórczości stale powraca. Nic dziwnego, skoro w samowystarczalnej komunie spędził prawie ćwierć wieku. Trafił tam, kiedy miał 15 lat, krótko po samobójstwie chorej na depresję matki, o czym pisał w autobiograficznej „Opowieści o miłości i mroku”. Bohaterowie „Wśród swoich” to ludzie spokojni i wycofani. Można by protekcyjnie nazwać ich loserami – nie walczą o swoje i nie zmagają się z życiem. Poddają się losowi, tak jak Osnat udzielająca małżeńskich rad kobiecie, do której odszedł jej mąż. Niezwykle poetyckie i szczegółowe opisy sprawiają, że ten spokój udziela się czytelnikowi. → Marcin Kube

Pilch jak Hrabal

Jerzy Pilch wydał nową powieść i znów jest to literatura przedniego sortu. Wszyscy ci, którzy wieszczęli, że pisarz z Wisły ugrzęźnie w komponowaniu memuarów (pracuje nad drugim tomem dziennika) albo gazetowej felietonistycy, po lekturze pięciu stron „Wielu demonów” zmienią zdanie. To ciągle ten sam Pilch – błyskotliwy stylistą, sypiący bonmotami jak z rękawa, gawędziarz, gładko snujący narrację i żonglujący konwencją, wnikliwy malarz, analityk ludzkiej natury z jej egzystencjalnymi oraz metafizycznymi ciągotami. Akcja podbitej sensacyjną intrygą powieści rozgrywa się w Pilchowym Macondo, czyli na Śląsku Cieszyńskim w latach 50. ubiegłego wieku. Pilch portretuje życie mieszkańców małego miasta i stopniowo odkrywa przed czytelnikiem ich problemy i tajemnice. Pełna zwrotów, obyczajowych fresków i ciepłego humoru wielowątkowa fabuła podszyta jest głęboką refleksją i pytaniami o sens życia, wiarę i naturę Boga. Po drugiej stronie granicy żył kiedyś pisarz, który pisał podobnie lekko. Nazywał się Bohumil Hrabal. → Cezary Polak

Bibliofilski romans

Poznają się w księgarni. On jest sprzedawcą, a tytułowa Ana Severina kradnie książki. On prowadzi regularny tryb życia, ona mieszka w pensjonacie i ma kilka paszportów. Pojawia się w jego życiu tak nagle, jak potem znika. Okazuje się jednak, że nie był jedynym księgarzem, któremu zawróciła w głowie. Pod jej nieobecność zaprzyjaźnia się z towarzyszącym jej starcem. To jej mąż, ojciec, a może dziadek? Trudno powiedzieć. Kiedy dostanie drugą szansę, już jej nie zmarunie.

Książka zaczyna się jak skandynawska komedia romantyczna, a kończy jak naturalistyczne kino latynoamerykańskie – łopatą i kopaniem grobu na zalesionym wzgórzu. Krótka, niewiele ponadstustronicowa powieść pochodzącego z Gwatemali Rodrigo Rey Rosy to opowieść o dojrzewaniu do pisarstwa i hołd dla książek – zmaterializowanej formy literatury. Kim jest piękna Severina? Odpowiedź będzie nieco banalna, ale całość ujmuje stylistyczną lekkością i wdziękiem. → Marcin Kube



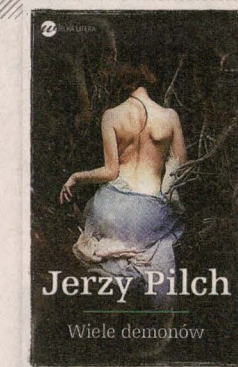
Frank Dikötter, „Wielki Głód” tłum. Barbara Gadomska, Czarne 2013, 39,90 zł



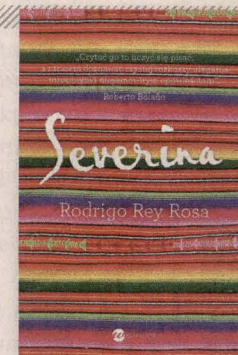
Peter Hessler, „Przez drogi i bezdroża” tłum. Jakub Jedliński, Czarne 2013, 35,90 zł



Amos Oz, „Wśród swoich” Rebis 2013, 34,90 zł



Jerzy Pilch, „Wiele demonów” Wielka Litera 2013, 39 zł



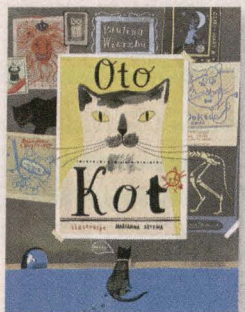
Rodrigo Rey Rosa, „Severina” tłum. Barbara Jaroszuk, Wielka Litera 2013, 19,90 zł



O psie, który szukał

Joanna Guszta, rys. Marta Szudyga, Ładne Halo 2012, 27,90 zł 3+

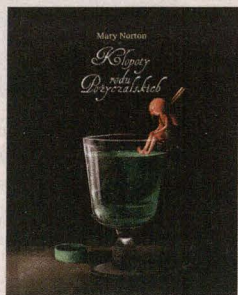
Pięknie narysowana historia małego białego pieska. Wodzony za noskę feerią miejskich zapachów przemierza ulice, place, śmietniki i zakamarki. A my wraz z nim – sklepik mięsny, kot w oknie, budka z gazetami, dwaj dziadkowie grający w szachy – niestety, nikt z nich nie ma tego, czego szuka piesek. A co to jest? Małe, żółte, potrafi pięknie skakać – zagadka rozwiązuje się na ostatnich stronach. Nieskomplikowana historia, ale rysunki tak ładne, że już samo trzymanie tej książeczki w dłoniach jest przyjemne. → mb



Oto kot

Paulina Wierzbka, rys. Marianna Sztyma, Albus 2012, 42 zł 3+

Dla wszystkich, którzy wielbią kocią rasę, zwierzęcych indywidualistów. Książeczka rozpoczyna się zresztą od wykładu o kociej metafizyce (dlaczego kot jest zwierzęciem niezwykłym?), potem zahacza o kocią anatomię (po co kotu ogon?) oraz ewenementy (kot z wyspy Man) i świetne przykłady (ryś w staropolskim znaczył „szybki”), by na koniec uraczyć nas pulą przysłów z kotem w tle. A, no i można też sprawdzić, jakim typem kota bylibyśmy my sami. Z pięknymi rysunkami Marianny Sztymy, której prace cenimy od wielu lat, to prawdziwa encyklopedia kociej wiedzy, którą chętnie przedstawimy latoroślom. → au



Kłopoty rodu Pożyczalskich

Mary Norton, rys. Emilia Dziubak, tłum. Maria Wisłowska, Dwie Siostry, 2013 6+

Nic tak nie bawi dorosłych jak wmawianie dzieciom, że są jeszcze mniejsze istoty od nich, które ukrywają się gdzieś po kątach ich pokoju.

Brytyjczycy mają do tego szczególną smykałkę. Z ich repertuarem krasnoludków, hobbitów, elfów oraz skrzatów nic dziwnego, że w roku 1952 na Wyspach powstała kultowa powieść o rodzinie małych Pożyczalskich. Żyją w ścianach i pod podłogą starego domu. Był rodziny zależy od sprytnego pożyczania niezbędnych rzeczy od ludzi, a przetrwanie od nieświadomości wielkich o ich istnieniu. Arietta, nastoletnia córka Pożyczalskich, ma jednak ciągotki towarzyskie do dużych ludzi, co dostarcza rodzinie licznych przygód i przysparza tytułowych kłopotów. W roku wydania „Kłopoty rodu Pożyczalskich” wygrały nagrodę Carnegie Medal, największe brytyjskie wyróżnienie dla książki dziecięcej. Autorka Mary Norton napisała również inne książki dla dzieci, w tym „Gałkę od łóżka” (wydaną w serii „Mistrzów Ilustracji”) oraz cztery kolejne tomy przygód Pożyczalskich. To doskonała wprawka do lektury specyficznej brytyjskiej fantastyki dla dzieci. → zz

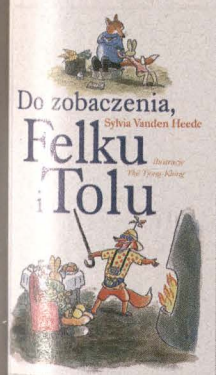
Walizka pana Hanumana



Rafał Witk, rys. Emilia Dziubak, Edukacyjny Egmont 2013, 12,99 zł 5+

Seria książek „Czytam sobie” dla początkujących czytelników to pomysł na odcięcie dziecka od bajkowej pępowiny, by mogło czytać samo. Być może wychowujemy ostatnie czytające pokolenie, więc zadanie jest warte uwagi. Seria Egmontu wydzieliła trzy różne poziomy czytelnictwa – od składania wyrazów z liter, następnie z sylab, by wreszcie – w książeczkach z poziomu dla zaawansowanych – płynnie czytać całe zdania. W dodatku każda z dziewięciu książek serii tworzona jest przez inną parę pisarza i rysownika. Do szczególnie udanych należy duet Rafała Witka i Emilii Dziubak. W ich książeczce (drugi poziom czytania) zatytułowanej „Walizka pana Hanumana” historia Darii, która podczas ulewy znajduje walizkę pełną magicznych zaklęć, wsparta jest rysunkami tak magiczno-realistycznymi, że nawet czytelnicy z poziomu jeden i trzy poczuć się skuszeni. A może nawet ich rodzice. → zz

Do zobaczenia, Felku i Tolu



Sylvia Vanden Heede, rys. The Tjong-Khing, tłum. Jadwiga Jędryas, Dwie Siostry 2013, 34 zł 3+

W drugim tomie serii o lisie Felku i zajęczycy Toli nadchodzi zmiana sezonów i perypetie związane z naszą wrodzoną niechęcią do zmian ogólnie, a do zimy szczególnie. Lubimy i polecamy przygody tej uroczej pary z różnych powodów. Po pierwsze, język i konstrukcje zdań sprzyjają wymienianiu się przy czytaniu ze starszymi dziećmi. Po drugie, z perspektywy rodzica Lisa kłopoty z nadwagą, Sowy nadopiekuńczo-histeryczny stosunek do swojego jajka oraz Toli cierpliwość w stosunku do całej tej ferajny kogoś nam przypominają... Ale tak naprawdę najbardziej ją lubimy za genialne ilustracje The Tjong-Khinga, Indonezyjczyka pracującego w Holandii, który podbił świat szalenię pomysłow i zabawną rysowaną opowieścią dla dzieci „Gdzie jest tort”. → zz

Mama bohatera



Roberto Malo i Francisco Javier Mateos, rys. Marjorie Pourchet, tłum. Filip Łobodziński, Tako 2012, 36 zł 3+

Rycerz Dick van Dyke, słynący z brawurowego władania mieczem, zostaje wezwany przez młodego króla, który dopiero co wstąpił na tron i został poproszony o pomoc w negocjacjach z kłopotliwym sąsiadem – Czarnym Kawalerem. Podejmuje się misji, lecz jest jedno ale... Nie odstępować go na krok nadopiekuńcza matka. Podąża za rycerzem krok w krok, robi mu kanapki, udziela rad, chroni. I mimo fortelu, który miał sprawić, że finałową walkę nasz bohater stoczy w końcu samotnie, ostatecznie matka przychodzi mu z pomocą. Historia maminsynka czy przypowieść o tym, że gdybyśmy częściej odwoływali się do matczynej pomocy – świat musiałby być lepszy? Oceńcie sami. → mb



Pan Jaromir na tropie klejnotów. Powieść detektywistyczna

Heinz Janisch, rys. Ute Krause, tłum. Joanna Borycka-Zakrzewska, Bona 2013, 24 zł 6+



Klasyczna powieść detektywistyczna w wydaniu dla najmłodszych. Jest kradzież skarbu, hotel, tajemnicza dama z dumnym pudłem i detektyw, któremu towarzyszy tytułowy Pan Jaromir, czyli... pies! Nie da się uciec przed literackimi konotacjami – Sherlock Holmes i Agata Christie odcisnęli na tej prozie swoje piętno. Ale autor zadbał też

o to, by nie trąciła ona myszką, wprowadzając odpowiednią liczbę technologicznych gadżetów: jest laska, która nagrywa, mikrofon w obroży psa i UFO transportujące przedmioty. Fabuła wartka i dowcipna, dzieciaki nie będą się nudzić, a wy, rodzice, też najprawdopodobniej nie! → au



KRZYSZTOF KOWALSKI

Wielka woda umiera

Globalne ocieplenie prowadzi do **redukcji życia w oceanach**. Zdążymy zobaczyć, jak znika jedna trzecia gatunków morskich.

Widok będzie okropny: ani specjalnie powołane służby, ani wolontariusze nie uratują stad fok dogorywających na plażach Kalifornii. Nie będą zaobserwowane, naukowcy tylko z grubszą określą, skąd przybyły, natomiast z pewnością stwierdzą, jaki jest powód

hekatomb – głód, brak ryb w oceanie. Z tego samego powodu na wybrzeżach Alaski będą leżały martwe białe niedźwiedzie. Zdechną z głodu, ponieważ zabraknie im fok, które odpłynęły w poszukiwaniu ryb. Handlarze i „traperzy” obdadzą ze skór niedźwiedzie, lisy polarne zjedzą padlinę, reporterzy

Nat Geo Wild i Animal Planet nakreślą wstrząsające obrazy.

Głód w wodzie

Błyskawicznie postępujący proces zakwaszenia wody morskiej – skutek globalnego ocieplenia – sprawi, że zacznie się rozpuszczać rafa koralowe, które sta-

nie siedliskiem tysięcy gatunków ryb, skorupiaków, robaków. Do 2100 r. mogą stać się martwe.

Ostrygom, małżom, krewetkom w zbyt kwaśnym oceanie nie uda się wytwarzać chroniących je skorup i panerzy. Zmaleje ich populacja. Podobnie trudno będzie wegetować różnym drobnym organizmom stanowiącym pokarm ryb, którymi z kolei żywią się delfiny, orki, wieloryby, rekiny, mieczniki i tuńczyki. Zacznie ubywać ogniw w łańcuchu pokarmowym, który stopniowo zamieni się w łańcuch głodowy.

International Union for Conservation of Nature przedstawiła na konferencji w Kopenhadze listę gatunków, które poniosą największe straty z powodu globalnego ocieplenia. Znalazły się na niej wieloryby, pingwiny, morsy, tuńczyki. Niestety, lista jest długa. Sytuację pogarsza człowiek (ratowanie fok na plażach Kalifornii poprawia samopoczucie ratowników, ale nie wpływa na poprawę stanu środowiska i ekosystemów).

A że populacja dużych ryb morskich została już przetrzebiona – wielu gatunkom grozi z tego powodu wygaśnięcie – odławiane są teraz masowo ryby mniejsze. Według FAO – Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa – blisko 80 proc. łowionych małych ryb przerabianych jest na olej i mączkę, na karmę dla farm hodujących łososie.

Globalne ocieplenie jest faktem. Rosyjski tankowiec „Rzeka Ob” przepłynął Ocean Lodowaty i dotarł do Japonii – to pierwszy taki handlowy rejs na świecie. Udał się, ponieważ powierzchnia lodów arktycznych się kurczy. Nie może być inaczej, skoro dekada 2001–2011 była najcieplejsza od 1880 r., odkąd prowadzone są regularne pomiary temperatury.

10 tys. lat temu skończyła się epoka lodowa. Ludzi było wówczas zbyt mało, aby z ich ognisk płonących przed jaskiniami do atmosfery ulatniało się tyle dwutlenku węgla, aby spowodowa-

ło to efekt cieplarniany. A jednak bez udziału człowieka nastąpiło globalne ocieplenie. Teraz też nie można wykluczyć, że jego przyczyny są naturalne. Wpływać na ocieplenie może zmiana nachylenia osi planety czy zmienne promieniowanie słoneczne. Jednak faktem jest, że w wyniku działalności człowieka do atmosfery emitowana jest

Jeśli nie zahamujemy tego procesu, zamiast oceanów: Atlantycznego, Spokojnego, Indyjskiego, będziemy mieli Oceany Martwe.

kolosalna ilość węgla w postaci metanu i dwutlenku węgla. To właśnie węgiel zakwasza ocean i zamienia go w gigantyczną beczkę, w której jednak zamiast cucumis sativus (ogórek siewny) zakwaszają się glony, małże, kraby, ślimaki i koralowce.

Ale to już było

Ten proces to żadna nowość w dziejach Ziemi. Miał on już miejsce wtedy, gdy po naszej planecie biegali protoplaści ssaków wielkości nyszy polnych.

W ciągu minionych 300 mln lat kilka razy doszło do zakwaszenia oceanu i związanego z tym wymierania gatunków. Ale nigdy proces ocieplania i zakwaszenia nie przebiegał tak gwałtownie jak teraz, nawet 55 mln lat temu podczas trwającego kilka tysięcy lat paleoceńsko-eoceńskiego maksimum termicznego (10 mln lat po wyginięciu dinozaurów).

Wówczas proces zakwaszania trwał od 5 do 10 tys. lat, obecnie odbywa się w ciągu 150–200 lat. Wtedy odbudowa zrujnowanych ekosystemów zajęła 125 tys. lat, a kolejnych 10 mln lat trzeba było na ewolucję gatunków morskich, w wyniku której dostosowały się one do nowego, zmienionego środowiska. Czy teraz wystarczy na to czasu?

Gdyby ludzkość istniała już w owym czasie, proces ten badaliby biolodzy. Ale tamten dramat rozgrywał się bez ludzkich świadków. A to, co po nim pozostało, badają teraz geolodzy, ludzie z bardzo rozwiniętą wyobraźnią. Jest ona potrzebna, aby na podstawie kilkunastymetrowej warstewki na dnie oceanu odtwarzać epizody z dziejów planety.

U wybrzeży Antarktydy naukowcy odkryli warstwę w dnie pozbawioną planktonu. Znajduje się ona pomiędzy białawymi warstwami skamieniałego planktonu. Dowodzi ona tego, że 55 mln lat temu, w okresie zaledwie kilku tysięcy lat (mgnienie w skali geologicznej), ocean stał się tak kwaśny, że woda rozpuściła planktonową skamielinę. Tworzyły ją miliardy obumarłych organizmów. W tym okresie ilość węgla w atmosferze się potroiła, a przeciętna temperatura wzrosła – w ciągu kilku tysięcy lat – o 6 st. C.

Jeżeli kilka tysięcy lat temu mgnienie w skali geologicznej, jak nazwać szybkość, z jaką proces ten zachodzi współcześnie? Od rewolucji przemysłowej do dziś, czyli w ciągu półtora wieku, ilość węgla w atmosferze się potroiła, a temperatura, według prognoz, może wzrosnąć o 4 st. C do końca bieżącego stulecia!

Jeśli globalne ocieplenie będzie następowało w takim tempie, ewolucja może nie nadążyć za zmianami. Gatunki nie zdążą się przystosować do zmienionej chemii oceanu. Poziom jego zakwaszenia wzrośnie tak bardzo w tak krótkim czasie, że życie będzie się w nim ledwie tliło, a nie bujnie krzewiło, przynajmniej przez setki, a może miliony lat, zanim natura powróci do równowagi i wykształci nowe formy życia i gatunki. To nie wymysł katastroficznie nastawionych publicystów, lecz prognoza tak szacownej instytucji naukowej jak Lamont-Doherty Earth Observatory na Uniwersytecie Columbia (dr Baerbel Hoenisch).

„Kolumbijczycy” nie są w swej opinii odosobnieni. Raport ONZ ogłoszony podczas konferencji w meksy-

kańskim Cancun stwierdza, że połowę światowej emisji CO₂ wchłania ocean, powstaje z tego kwas węglowy. Z tego powodu od czasu rewolucji przemysłowej od połowy XIX w. współczynnik pH mórz i oceanów spadł średnio o 30 proc. Główny autor raportu, dr Carol Turley z brytyjskiego Morskiego Laboratorium w Plymouth, stwierdził wprost: „Jeśli nie zahamujemy tego procesu, zamiast oceanów: Atlantycznego, Spokojnego, Indyjskiego, będziemy mieli Oceany Martwe”.

Biada skorupiakom

Na obumieranie najbardziej narażone są organizmy, które mają powłoki zbudowane z aragonitu (węglan wapnia). Minerale ten jest wyjątkowo czuły na zmiany kwasowości. Rosnące zakwaszenie oceanów sprawi, że około 2050 r. niedobór aragonitu będzie bardzo poważny. Preludium naukowcy obserwują już teraz, po tym jak wykryli miejsca postępującej martwoty, rzecz jasna, z braku aragonitu. Sytuacja najgorzej wygląda w niektórych regionach Antarktyki i przy północnych wybrzeżach Kanady.

Niedobór aragonitu to tylko jeden z objawów postępującej martwoty oceanów. W tym globalnym akwencie zaj-

mującym ponad 70 proc. powierzchni ziemskiego globu naukowcy zlokalizowali 530 martwych stref o łącznej powierzchni blisko 250 tys. km kw. Niestety, jest wśród nich martwa strefa w Bałtyku. Według szwedzkiego Instytutu Meteorologiczno-Hydrologicznego w 2012 r. 20 proc. powierzchni dna Bałtyku pozbawione było tlenu. Brakuje go od Bornholmu po Zatokę Fińską w pasie oddzielającym Skandynawię od Polski, Litwy, Łotwy i Estonii. Całkowicie martwe dno rozciąga się wokół Gotlandii i na północ od Półwyspu Helskiego. Bałtycka martwota nie ma na razie nic wspólnego z brakiem aragonitu, ale jej przyczyną też jest w dużym stopniu globalne ocieplenie. Związki azotu i fosforu z pól i ścieków w cieplejszej wodzie powodują najpierw bujny rozwój planktonu, sinic i wodorostów. Przeżywna woda żyje tak intensywnie, że cały tlen zostaje zużyty i w rezultacie pozostaje martwe dno. Ryby czy skorupiaki w takiej strefie nie mają szans.

Prac naukowych nie piszą ludzie o skłonności do jeroimiad, lecz beznamiętnie trzymający się faktów. Do tego grona należy dr Jason Hall-Spencer z University of Plymouth. Przypomina on, że oceany już teraz pochłaniają ponad połowę całkowitej emisji gazów

cieplarnianych. Rezultatem tego apetytu jest zmiana poziomu pH w oceanach, która prowadzi do utraty różnorodności biologicznej. W następnej dekadzie zmaleje ona o 30–35 proc.

Ocean nie poczeka

Zakwaszony ocean – co to w ogóle znaczy? Ponad połowa węgla emitowanego do atmosfery (metan i CO₂) rozpuszcza się w wodzie morskiej. Tym samym obniża się współczynnik pH. Wartość pH (z łacińskiego potentia Hydrogeni, siła wodoru) odpowiada stężeniu jonów wodoru w płynie. Ten wskaźnik służy do określenia, czy woda ma odczyn kwasowy, obojętny czy zasadowy. Wartość współczynnika pH mierzy się w skali od 0 do 14. Czysta woda ma wartość pH 7,0 (substancja obojętna). Wartości mniejsze wskazują na kwasowy charakter płynu, wartości wyższe – na zasadowy.

Jeżeli w oceanie rośnie kwasowość, zwiększa się stężenie jonów wodorowych. To spowoduje, że zabraknie materiału do budowy muszli ślimaków i pancerzy krabów. – Kilka lat zajęło nam udoskonalenie techniki na tyle, aby przyjrzeć się zewnętrznej stronie muszli pod mikroskopem elektronowym, gdyż skorupy są bardzo cienkie, a ślady procesu rozpuszczania się bardzo subtelne – wyjaśnia dr Gerain Talling z British Antarctic Survey.

Zakwaszenie oceanów jest dla nas sprawą fundamentalną, ponieważ owoce morza stanowią podstawę żywienia miliarda ludzi. Gdy zabraknie frutti di mare, głód nawiedzi Chile, Polinezję, Tajlandię, Islandię. Prezydent Programu Środowiskowego ONZ Achim Steiner powiedział: „Zakwaszenie oceanów to dzwonek alarmowy w sprawie rosnącej emisji gazów cieplarnianych. Jest to nowy element naukowej układanki, budzący szczególne zaniepokojenie”.

Owszem, budzi zaniepokojenie, ale głównie naukowców. Politycy, którzy byłiby władni zredukować emisję CO₂ i metanu, zdają się tym nie przejmować. Ocean, niestety, nie poczeka, a się ockną.

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/zakupy

MONIKA BRZYWCZY

Wybiera Novika

Ceni radio, czyta książki, jeździ autobusem – na szczęście mimo tych **retropodobań** Novika nagrywa całkiem nowoczesną muzykę.

Pamiętacie? Jakieś 10–15 lat temu była moda na clubbing i muzykę klubową, taneczne rytmy grane przez didżejów w miejscach takich jak warszawska Piekarnia, trójmiejski Sfinks czy krakowski Prozak. Dziewczyna za dekami była wtedy rzadkością. Właśnie w tamtych czasach debiutowała Novika, nie tylko na didżeje, ale dokładając do tych klubowych rytmów swój melodyjny wokal. Kasia jest konsekwentna: doskonalą warsztat, pisze coraz dojrzalsze teksty, remiksuje swoje piosenki, nie porzuciła klubów, od lat prowadzi audycje muzyczne w radiu. Właśnie ukazuję się jej czwarty autorski krążek „Heart Times”.

1 Zespół, czyli moi „lovefindersi”

Grają ze mną osoby zjawiskowe, same osobowości. Nigdy nie kończą nam się tematy do rozmów. Czasem przez to za mało pracujemy, za dużo gadamy, albo zamiast na próbie grać materiały, za dużo improwizujemy, ale na szczęście na koncertach zazwyczaj jest profeska. Agim Dzeljilji – kipiący energią i pomysłami kierownik zespołu, na scenie w nieustających podskokach pomimo największej liczby guziczków do ogarnięcia (+ gitara!), Jan Młynarski – zdolny perkusista obdarzony przy okazji rzadkim talentem kabaretowym, Tomek Dogiel – czujny basista i świetny tancerz, prawdziwe zwierzę sceniczne, Kasia Piszczek – najbardziej zdolna i wszechstronna kobieta wśród muzyków, jaką znam, i niezła laska. O tej bandzie mógłby powstać niezły film.

2 Radio

Radio to moje uzależnienie. Mam swoje programy od przeszło 10 lat. Prowa-

dząc audycję, zawsze mam poczucie, nawet jeśli jest złudne, że to, co i jak zaraz powiem i zagram, jest ważne dla kogoś, kto akurat jedzie samochodem czy siedzi w nudnej robocie. Czuję, że ktoś powierzył mi fajną moc oddziaływania na ludzi i muszę z niej korzystać najlepiej, jak się da. W każdej stacji, w której pracowałam, zaczynając od legendarnej starej Radiostacji, bardzo się zadomowiałam. W Roxy jest mi bardzo dobrze, a w moją pracę nikt się nie wtrąca, mam pełną swobodę.

3 iTunes

Jeszcze dwa lata temu w tym miejscu pewnie byłaby płyta kompaktowa, a 8–9 lat temu (końcówka mojego epizodu didżejskiego) winyl. Nie będę ściemniać. Winyły, które musiałam wybierać godzinami, dźwigać do klubu, a potem porządkować, na tyle dały mi w kość, że obecny trend na powrót winyla jest mi obojętny. Natomiast moja okazała kolekcja kompaktów, ułożona alfabetycznie na olbrzymim regale obok równie okazałej wystawki mojego partnera, stała się zakurzoną mełocianką. Smutne, ale chcąc być na bieżąco z muzyką, nie dałam rady oprzeć się fali cyfryzacji. Moja biblioteka itunesowa wyzwała we mnie podobne uczucia jak kiedyś kompakt. Jest dla mnie niezwykle cenna, daje mi możliwość grania fantastycznych dźwięków godzinami, bez ruszania pupy z krzesła. Uwielbiam moment, kiedy przy albumie, na który czekam, znika ikonka „pre-order” i mogę ją kupić. Czy za rok w tym miejscu będzie Spotify? Nie wiem, wdrażam się.

4 Swanski

Na sztuce to ja się nie znam. Ale street art mnie wciąga. Uwielbiam przeglądać dokonania różnych artystów, szcze-



NOVIKA, czyli Kasia Nowicka, ur. 1974 w Warszawie, wokalistka, didżejka. Występowała w formacji Futro oraz u boku Smolika, Fisza, 15 Minut Projekt. Solowo zadebiutowała w 2006 r. albumem „Tricks of Life” (Kayax) nominowanym do Paszportu Polityki. Kolejne płyty: „Lovefinder” (2010) i album z remiksami „Mixfinder” (2011) zostały nagrodzone Fryderykami w kategorii klubowej. Wystąpiła na najważniejszych polskich festiwalach (Open'er, Freeform, Auditoriver, Selector, Tauron Nowa Muzyka) oraz za granicą (Wilsonic Festival, Great Escape, Waves Vienna, Targi Expo w Szanghaju).

gólnie murale. Myśląc o okładce nowej płyty, chciałam połączyć zdjęcie z grafiką, z rysunkiem. Spodobały mi się prace Swanskiego. Ma charakterystyczną „tłustą” kreskę, lubuje się w motywach zwierzęcych i roślinnych, ale wszystko jest zamotane w baśniowej płataninie. Rozpoznawalny styl. Przy okazji jest przemilnym gościem, który na pierwszym spotkaniu drwił trochę z ludźmi tytułujących go artystą streetartowym. „Street art to pojęcie szerokie, to styl życia” – tłumaczył – „Ja jestem malarzem”. Niestety, było już za późno. W materiałach prasowych widnieje jak wół: Swanski – artysta streetartowy.

5 Klub

Od wielu lat miejsce pracy oraz niezliczonych przygód i niezapomnianych sytuacji towarzyskich. Większość moich rówieśników omija kluby szerokim łukiem, dla mnie to uzależnienie. Od lat nie gram już jako didżejka, za to często występuję koncertowo z zespołem, a w duecie didżejsko-wokalnym: Novika & Mr. Lex. Uwielbiam moment wejścia do klubu, kiedy jest już w nim tłum ludzi. Nigdy ich nie analizuję, nie przeszkadza mi lekki smród czy kolejka do toalety. Najważniejsza jest nieć porozumienia z tymi ludźmi i pierwszy okrzyk, kiedy biorę mikrofon do ręki. Po występie rzadko idę od razu spać. Jak żeglarze w każdym klubowym porcie mamy grono osób, z którymi spędzamy trochę szalonego czasu. To dla mnie coś na kształt wyczerpującego resetu. Jeśli mamy wolne, to też z przyjemnością odwiedzam warszawskie miejscówki. Jeszcze mi się nie znudziło.

6 „Drwał” Witkowskiego

Jeśli idzie o czytanie, pozostanę chyba tradycjonalistką na wieki i zawsze będę chciała kupować literaturę namacalną.

Mój problem polega na tym, że książki strasznie mi się podobają też jako przedmioty, coś jak zeszyty w pięknych okładkach, i przez to kupuję ich znacznie więcej, niż jestem w stanie przeczytać. Staram się czytać na zmianę – raz coś po angielsku (żeby nie zapomnieć), raz po polsku. Zazwyczaj najbardziej wciągały mnie książki z ciekawym dnem psychologicznym czy społecznym, niekoniecznie zabawne. Przy Witkowskim okazało się, że czytając, lubię też się pośmiać. Rechotałam już przy „Margot”, ale „Drwał” rozłożył mnie na łopatki. Cała szydera z hipsterów, zderzenie lokalnego „luja” z gejowskim pisarzem z Warszawy, lekomańskie odjazdy, mafia z Międzyzdrojów, panie bufetowe z opuszczonych kurortów. A wszystko w zgrabnie utkanej kryminalnej fabule.

7 Autobus

Mimo że jestem zmotoryzowana i prawo jazdy mam od matury, samochód mnie strasznie wkurza, a parkowanie w mieście wysysa energię całego dnia. Odkąd mieszkam w samym sercu Gocławia, z przystankiem pod nosem, do centrum dojeżdżam w 12 minut. Wraz z wiosną z radością przesiadam się więc w autobus, a jak czas pozwala, to na rower. Dzień planuję tak, żeby omijać godziny szczytu, i cieszę się wolnością: w autobusie czytam książki i prasę, obserwuję ludzi, a potem wyskakuję w moje ulubione warszawskie rewiry ścisłego centrum i załatwiam sprawy bez martwienia się o straże miejską. Autobus kojarzy mi się też z dzieciństwem, kiedy z Jelonek (dziś znienawidzona przeze mnie część miasta!) dojeżdżałam do szkoły muzycznej na Miodowej autobusem linii 506 na pętlę, wówczas jeszcze na plac Teatralny. Codziennie miałam piękny spacer do szkoły, a w autobusie zaliczałam pierwsze flirty miłosne.

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Drumla, papuga i skrety

O braku zamiłowania do pieniędzy i młodzięcych pracach zarobkowych opowiada nam przyrodnik Adam Wajrak.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Pomagałem w remoncie tacie mojej koleżanki. Wynosiłem jakieś dechy. Całą masę. Za wypłatę kupiłem sobie golde-ny. Palił je Jacek Kuroń, który był wtedy moim sąsiadem. Nie mogłem wybrać innych.

Ile miałeś lat?

Kilkanaście. Chodziłem jeszcze do liceum. Nie pamiętam, do której klasy, chyba trzeciej lub czwartej. Ale

za to dobrze pamiętam smak golde-
nów (śmiech). Kupiłem chyba dwie
paczki. Byłem bardzo dumny. Część
wypaliłem z kolegami, a resztę z Jac-
kiem, który mnie zawsze częstował.
To był pierwszy raz, kiedy mogłem się
zrewanżować.

Czyli rozpalil cię Jacek Kuroń...

Rozpaliłem się sam. W Norwegii. Poje-
chałem tam na zarobek... O! Teraz wi-
dzicie, jak szybko kłamstwo wyszło

ADAM WAJRAK

(ur. 1972)
jest przyrodnikiem
i dziennikarzem
związany
z „Gazetą Wyborczą”.
Ma na koncie cztery
książki poświęcone
zwierzętom.
Od 16 lat mieszka
w wsi Teremiski
północnej w Puszczy
Białowieskiej.

jaw (śmiech). Pamięć zawodzi. To tam
zarobiłem pierwsze pieniądze. Przy
wycinaniu małych brzoźek. Nie mam
dziś zielonego pojęcia, po co trze-
ba je było wycinać. W każdym razie
za pierwsze zarobione tam pieniądze
sprawiłem sobie bibuły i tytoń do skrę-
cania. Za resztę kaski kupiłem drumlę
i później, w drodze powrotnej do Pol-
ski, czekając na stopa, cały czas na niej
brzdąkałem.

I taki miałeś plan od samego początku?

Kupił sobie skrety i drumlę?

Jasne, że nie. Przede wszystkim ma-
rzyłem o sprzęcie wspinaczkowym
i gadającej papudze (śmiech). Dobrze,
że nic z tego nie wyszło. Potem w Au-
stralii zobaczyłem, jak te papugi pię-
nie rozrabiają na wolności, i zarzuci-
łem ten pomysł do końca życia. Nigdy
nie sprzedałem i nie kupiłem żadnego
zwierzaczka. No, może poza rybkami
akwariowymi. Nie zarabiam na zwie-
rzętach, tylko na opowieściach o nich.
Mam teorię, że każde zwierzę w końcu
znajduje swojego człowieka. Nie trzeba
nim handlować.

Zaskoczyłeś nas. Myśleliśmy, że pierwsze pieniądze zarobiłeś, krojąc skórów na placu Wilsona...

To oszczerstwo! Było zupełnie inaczej.
Razem z moim przyjacielem Romkiem
Wolańskim zobaczyliśmy, że dwóch
skórów skubie z portfela młodszego
dzieciaka pod kinem Wisła. Podbiegli-
śmy do nich, odebraliśmy portfel i kaza-
liśmy spadać z naszej dzielnicy. Wyglą-
daliśmy na tyle groźnie, że spierdalali aż
miło. Portfel od razu oddaliśmy właścicielowi.
Pefen Janosik (śmiech).

Nigdy nie chciałeś pracować w sklepie zoologicznym?

Nie, jako dziecko miałem pomysł,
aby zatrudnić się w warszawskim zoo.
Chciałem się tam opiekować ptakami.
Ale jak poszedłem zbierać materiały
do pracy na olimpiadę biologiczną
i podpatrzyłem, jak ta opieka wygląda,
to mi szybko przeszło. Przeraziłem się.
Wszyscy pili wódeczkę i codziennie

świętowali czyjeś imieniny. To było w la-
tach 80. Dzisiaj w zoo jest super.

Pracowałeś kiedyś przy jajkach?

Oczywiście. Było o tym głośno przede
wszystkim w... „Przekroju”! Wraz
z Julkiem Ćwieluchem wyruszyliśmy
po małe świąteczne kurczaczki. Mu-
siałem je zamordować po to, żeby na-
karmić nimi bociany. Julek na waszych
łamach nazwał tę akcję „wielkanocnym
holokaustem”.

Którą z pierwszych wypłat pamiętasz najlepiej?

Sto dolarów, które zarobiłem w 1989 r.
Niedługo po pierwszych wolnych wy-
borach kolega założył jedną z pierw-
szych w Polsce agencji reklamowych.
I poprosił mnie, żebym sfotografował
kioski Ruchu i przystanki autobusowe.
To był materiał dla jakiegoś dużego
zachodniego totalizatora sportowego.
Mniej więcej w godzinę zrobiłem rolkę
filmu i dostałem sto dolarów. W tamtych
czasach to była kupa kasy.

W przeliczeniu na poświęcony czas to mogła być twoja najlepsza fucha w życiu.

I tak ją właśnie wspominam. Całe sto
dolarów przechulałem w okamgnieniu.
To były czasy cudownych balang żoli-
borskich. Łatwo przyszło, łatwo poszło.
Pieniądze szczęścia nie dają.

Zaraz potem zostałeś radiowcem.

W Radiu Solidarność prowadziłem pro-
gram „Aperitif”. Nie był zbyt mądry. Sie-
działem przed mikrofonem i opowiada-
łem głupoty. Czasami zapraszałem kum-
pli, żeby również poopowiadali głupoty.
Na antenie zwykle omawialiśmy impre-
zy z poprzedniego dnia. Na szczęście
w radiu zaczęła pracę Dorota Wellman
i od razu wszystkich wywaliła. Jestem
jej za to do zgonnie wdzięczny. Zmobi-
lizowała mnie do poszukania sobie mą-
drzejszego zajęcia. W ten sposób zna-
lazłem się w „Gazecie”.

Pamiętasz swój pierwszy tekst?

Oczywiście. Napisałem bardzo stan-
dardowy artykuł o orłach bielkach.

Na maszynie. Już wtedy się okazało, że
Wajrak oznacza kłopoty. Tekst uraził
jakiegoś nadgorliwego patriotę. Facet
nazwał mnie polakożercą, bo napi-
sałem, że pierwowzór godła żywi się
ścierwem. Skończyło się w prokura-
turze (śmiech). Zarabiałem też jako
fotograf, robiąc zdjęcia na różnych de-
monstracjach. To były czasy, w których
pikieta goniła pikieta. Fotografowałem
też bójki skinów z punkowcami. Póź-
niej niektóre foty chciał ode mnie od-
kupić Mirek Pęczak z „Polityki”, który
pisał książkę o subkulturach młodzie-
żowych. W końcu chyba mu te zdjęcia
podarowałem, a on w zamian zmusił
mnie do tego, żebym poszedł na studia.
Sam siedział w komisji egzaminacyj-
nej, więc nie miałem problemu, żeby
się dostać (śmiech). Na stosowanych
naukach społecznych wytrzymałem
całe trzy miesiące.

Chciałeś kiedyś zostać biznesmenem?

Nie, bo mnie nie fascynują pieniądze,
tylko przygody. Jak mi starcza na przy-
gody, to jest OK. Zarabiam na przygo-
dy i na przygodach. Taki specyficzny
recykling. Mam świadomość, że moja
praca jest marzeniem, a jednocześnie
nadzieją wielu osób. I wiem, że wszy-
scy mi zazdroszczą. Wy też (śmiech).
Choć to w sumie dziwne całe życie sie-
dzieć w lesie.

Na jaką przygodę teraz odkładasz?

Chcę podejrzeć rosomaki w Finlandii.

Wczoraj był prima aprilis. Kto cię zrobił w konia?

Są tacy, którzy próbują przez cały rok.
Na przykład utrzymują, że jestem my-
śliwym i dlatego piszę o nich tak zło-
śliwie, bo znam to środowisko. Na nie-
których łowieckich forach można prze-
czytać wpisy w stylu: „Po tym, co kolega
Wajrak o nas pisze, to ja nigdy w życiu
nie stanę z nim w jednej linii na zbio-
rówce” (śmiech). No dobra, czas do ro-
boty. Muszę założyć narty, wziąć aparat
i pobiec do lasu....

BartosiaK & Klinke - Wywiadowcy.pl



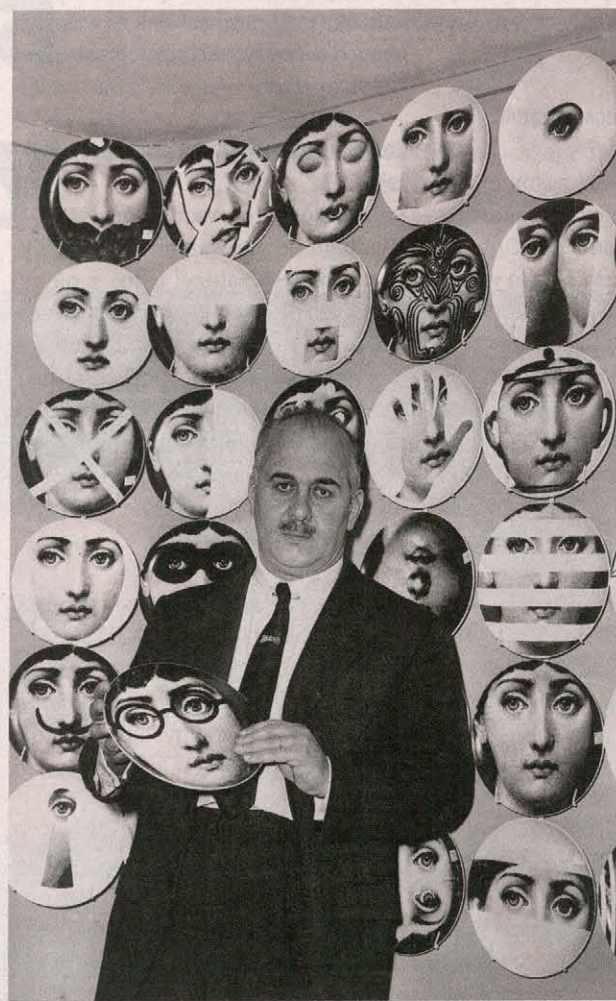
KUBA DĄBROWSKI

Z opery na talerze

Piera Fornasettiego rysunkowe podróże w przeszłość.

Mediolan, lata 40. Piero Fornasetti jest ważną postacią lokalnej artystycznej sceny. Zaczynał w latach 30. jako malarz, bez większych sukcesów. Wyrzucono go z akademii, nie udało mu się przebić do żadnej poważnej galerii. Teraz wymyka się wszelkim klasyfikacjom – maluje, rysuje, ale przede wszystkim projektuje niesamowite przedmioty codziennego użytku. Współpracuje z architektem Gio Pontim, redaktorem naczelnym pisma „Domus”. Udać im się stworzyć szalony twór czy duet. Odrzucając modernistyczną ascezę formy i priorytet funkcjonalności. Uważają, że świat – a szczególnie świat po wojnie – potrzebuje oddechu i lekkości. Punktem odniesienia jest dla nich przede wszystkim włoska tradycja: architektura miast, zdobione karty do gry, pajace, małe dziwnostki. Słowa klucze to dla nich dekoracja i ironia. Fornasetti i Ponti tworzą szafy w leopardy, komody w kształcie pałaców, niefunkcjonalne, ale piękne fotele, zastawę stołową w optyczne iluzje. Ponti odpowiada za konstrukcję, Fornasetti za ozdoby. Zdarza się, że tworzą całe spektakularne wnętrza – kasyno w San Remo, statek wycieczkowy „Andrea Doria”. Część projektów sprzedają przemysłowi, część jest tak odważna i dziwna, że poważni producenci nie są nimi zainteresowani albo wręcz nie potrafią ich sobie wyobrazić. Dla tych projektów Fornasetti prowadzi atelier-manufakturę, w której na własną rękę produkuje i sprzedaje swoje małe i większe cuda.

Piero Fornasetti jest kompulsywnym kolekcjonerem. Zbiera inspiracje, zatapia się w przeszłości, przetrawia ją i hurtowo, w ekspresowym tem-



HULTON-DEUTSCH COLLECTION/CORBIS

pie, przerabia we własną twórczość. Codziennie odwiedza antykwiariaty w dzielnicy Brera. Skupuje czeskie szklanki, obrazki, pocztówki, sztychy, talie kart. Im bardziej nietypowe, tym lepiej. Półki w jego mieszkaniu pełne są książek z rycinami, map, wszelkiego rodzaju atlasów: anatomicznych, botanicznych itp. Fornasetti jest także kolekcjonerem kolekcjonerów – na fiszkach zbiera informacje o dziwnych zbiorach na terenie Włoch. Kolekcjo-

ner XVIII-wiecznych skrzyń po porażkach, kolekcjoner przedmiotów w kształcie żółwia, kolekcjoner ołówków. Podczas jednej z wycieczek w przeszłość Fornasetti przegląda XIX-wieczną francuską gazetę. Natrafia w niej na portret Liny Cavalieri – operowej sopranistki, uznawanej za najpiękniejszą kobietę swoich czasów. Dla Fornasettiego to olśnienie. W twarz śpiewaczki znajduje ucieleśnienie wszystkiego, czego szuka: klasycyzm, piękno, tajemnica, czar minionej epoki, no i włoskość. Cavalieri jest dla artysty współczesnym odpowiednikiem Giocondy, mówi, że jej uroda jest ponadczasowa jak piękno greckiego posągu. Twarz śpiewaczki staje się obsesją Fornasettiego i punktem wyjścia dla większości jego prac. Zamiast codziennie szukać nowych inspiracji, zaczyna tworzyć niekończącą się serię: „Tema e Variazioni” (Wariacje na temat), w której rysuje różne, nieraz bardzo surrealistyczne wersje twarzy Cavalieri. Seria bezskutecznie stara się zainteresować przemysłowych producentów porcelany, w końcu decyduje się wyprodukować talerze we własnym atelier. Talerze jako znacznie tańsze niż na przykład krzesła czy komody, sprzedają się bardzo dobrze. Dzięki nim więcej ludzi może sobie pozwolić na Fornasettiego. „Tema e Variazioni” szybko stał się znakiem rozpoznawczym artysty. Wielcy producenci, jak na przykład Rosenthal, zaczynają produkować „własne produkcje” oryginalnych projektów Szaleństwo trwa do dziś.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.

Sprawdzony program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



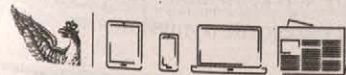
Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15

Wpisz kod: **RZ2012PIT**
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy

Partner projektu:



Pobudzamy myślenie **RZECZPOSPOLITA**

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Uzdrowianie korka

Szokuje was jeszcze metalowa zakrętka na winie? Najwyższa pora się przyzwyczaić.

Na to wino długo się czekałem. Clos de Gamot to legendarne chateau w Cahors na południu Francji, słynie ze swoich długowiecznych win. Krzewy winorośli mają tu ponad 100 lat! Marzyłem o nim, w końcu znalazłem w sklepie rocznik 1995, ale 40 € to sporo. Już się jednak załęgło w mojej głowie, zdjąłem butelkę z półki, poszedłem do kasy. Potem włożyłem do piwnicy na trzy lata. Czekano na „okazję”, jak każde wspaniałe wino, które głupio tak po prostu otworzyć do wtorkowej kaszanki. W końcu okazja nadeszła, z nabożeństwem wyciągnąłem korek, przelałem do karafki. Goście przyszli, nadeszła wielka chwila, wino trafiło do kieliszków i... „Korkowe” – powiedzieli wszyscy chórem.

Dla niezorientowanych: wino korkowe to wino zepsute, chore na chorobę korka. Objawia się ona nieprzyjemnym bukietem przypominającym wilgotną piwnicę, zbutwiały papier, a także skrótym, suchym posmakiem. Takie wino nie nadaje się do picia, a tylko do wylania do zlewu. Niestety, zdarza się to nie rzadko. A w przypadku takich wychuchanych butelek jak moja, nieraz bardzo drogie, rozczarowanie jest wyjątkowo dotkliwe. Hitem winiarskiego Facebooka stało się ostatnio zdjęcie korkowej butelki Romanée-Conti. Pechowiec z Holandii zapłacił za nią... 10 tys. euro. Miała być najlepszym winem jego życia.

Holender oczywiście odniesie flaszkę do sklepu i dostanie zwrot pieniędzy. Mnie udało się zwrócić wino korkowe nawet do Leclerca i Biedronki. Obsługa nie miała co prawda pojęcia, o czym mówię, ale kasę dostałem. Paradoksalnie, bardziej bojowe są małe sklepy winiarskie, które często utrudniają konsumentom zwrot. Niesłusznie – sprzedały wadliwy towar i mają obowiązek go wymienić na wolny

od wad. Wadliwe butelki i tak refakturuje producentowi.

Problem istniał zawsze. Źródłem smrodu jest 2,4,6-trójchloroanizol, czyli TCA. To produkt metabolizmu grzybów występujących m.in. w korze dębu korkowego. W zetknięciu ze związkami chloru (np. w procesie bielenia korków) produkują one TCA, który ludzki nos wykrywa nawet w stężeniu jeden do trylionu. Przez dekady procent zepsutych win oscylował wokół 5 proc., ale się tym tak bardzo nie przejmowano. Wobec naturalnego korka nie było alternatyw, konsumenci nie byli tak wyedukowani, nawet najszlachetniejsze wina nie były bardzo drogie. Winiarze brali to na klatę.

Groźnie zaczęło się robić w latach 80. i 90. Produkcja korka rosła, wraz z nią – problemy. Proces produkcji korka w zacończonych fabrykach głównie w Portugalii i Hiszpanii tylko pogarszał sprawę – zarażony TCA mógł być mały kawałek kory, ale grzyb przenosił się potem na całą partię produktu. Wadę wykrywano już w 10 proc., według niektórych statystyk nawet 15 proc. win. To już było dla winiarzy zdecydowanie zbyt kosztowne, a poza tym fatalne wizerunkowo.

Zaczęto poszukiwać alternatyw. Korki plastikowe, które stosowano głównie do win tanich. Nadal można je spotkać, pojawiają się coraz bardziej zaawansowane patenty, ale nie spełniają swojej roli. Trudno je wyciągnąć z butelki, a poza tym są nieszczelne – po półtora roku jest duże ryzyko utlenienia wina, czyli kolejnej wady. O wiele lepiej sprawdzili się metalowe zakrętki (znane głównie pod marką Stelvin). Otwierane jednym ruchem, mają szereg zalet. Są higieniczne, w 100 proc. wolne od TCA, można je produkować wszędzie, co uniezależnia winiarzy od importu korka z Portugalii.



1 Salomon Grüner Veltliner Hochterrassen 2012/12, świeże i rześkie pod zakrętką, ok. 36 zł



2 Tomas Cusiné Geol 2007/08, balsamiczne, ładnie zestarzone pod korkiem, ok. 99 zł

3 Korkociąg dźwigniowy, (kelnerski) typu Pulltap, wybór profesjonalistów na całym świecie, ok. 15 zł



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu WiniCjatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

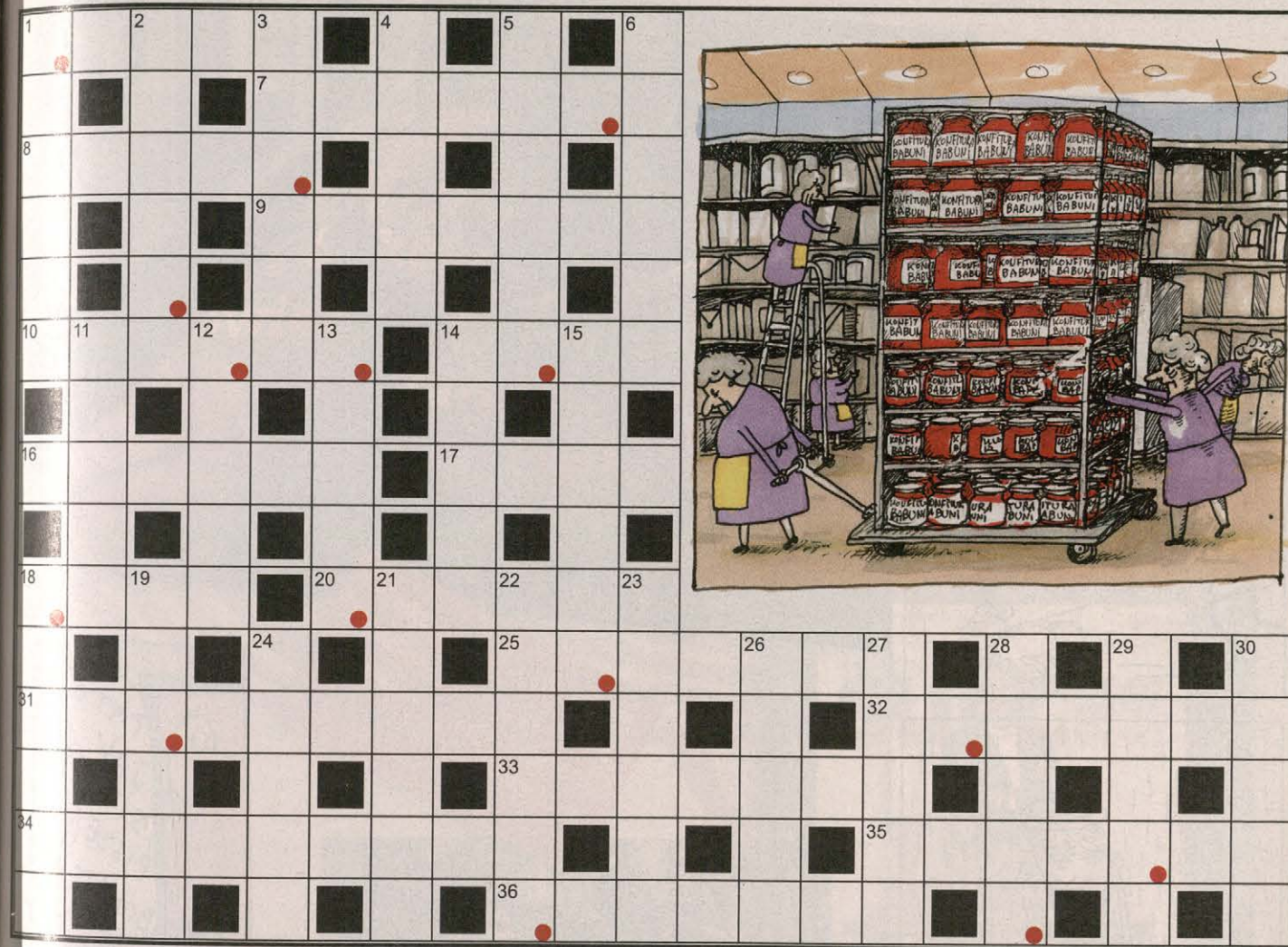
Wino można ponownie zakręcić, włożyć do lodówki, wypić na drugi dzień.

Zakrętki dokonały na rynku wina prawdziwej rewolucji. Wygoda i pewność przemówiły zarówno do producentów, jak i konsumentów. Dziś aż 80 proc. win z Australii i 90 proc. z Nowej Zelandii zamykanych jest zakrętkami! Na takich rynkach jak Anglia, USA, Skandynawia zakrętka w pełni się zadomowiła, konsumenci zaakceptowali ją nie tylko na winach tanich, ale i na takich po 100 dolarów. Dużo oporniej idzie w tradycyjnych krajach winiarskich: we Włoszech, Francji i zwłaszcza w Portugalii stosują je pojedynczy producenci. Konsument lubi to staromodne „puk” przy otwieraniu butelki. Polska jest gdzieś pośrodku.

Spojrząwszy śmierci w oczy, przemysł korkowy wziął się ostro do roboty. Zainwestował miliony euro w unowocześnienie produkcji, nowe, higieniczne technologie. Procent win z TCA konsekwentnie spada. W 2007 r. na konkursie IWC stwierdzono, że 2,7 proc. win dotkniętych chorobą korka i 2,6 proc. chorobą zakrętki! Bo jest taka – nadmierna redukcja związków siarki – objawia się zapachem kapusty, spalonych zapalki czy wręcz zgnitych jaj. Przy okazji okazało się, że korki są tak naprawdę nie do zastąpienia. Przepuszczają one 0,08 ml tlenu dziennie, czyli idealną ilość do wolnego starzenia wina w butelce. Zakrętka nie osiąga takich parametrów. Krótko mówiąc – do win na co dzień lekkich białych, różowych i wielu czerwonych – wybierajmy zakrętkę, kupujmy pewność, oszczędzajmy lasy korkowe. Do 18-letniego Cahors – tylko naturalny korek, bo mimo 30 lat wysiłków nie lepszego nie wymyślono.

WINA

litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

1. WZRZUSZENIE
7. ZASTAWA W ZASTAWIE
8. NARAMIENNIK
9. W ZWIĄZKU Z
10. BŁZEMIENNA W SKUTKACH
14. LICZBA MNOGA
16. ŁONO MATKI NATURY
17. O TO TO
18. PIĘŚĆ MILIONÓW

20. OTRZYMAŁ WIELE KŁOSÓW
25. SKRĘT DO WÓDKI
31. NA RAMIE GOŃ
32. PRZEKRĘT
33. W ELEKTROWNI
34. ZAKŁADANA PRZEZ GŁOWĘ
35. ŚRODEK DO PIECZENIA
36. PAMIĘĆ ODRĘCZNA

PIONOWO:

1. SZUKA KOCHANIA
2. ZWLEKA SIĘ Z ŁÓŻKA
3. CZYTUJĄ I CYTUJĄ
4. NOŚNIK WIEŚCI
5. MAŁO PALI
6. BUDZONA NON STOP
11. DROBNA ROLA
12. UPRZEJMY W URZĘDZIE
13. OBEJMUJE MAŁPĘ
14. STO CENTYMETRO
15. TAŃCOWALI
18. AKT W DWÓCH
19. KŁADZIE KARTY NA STÓL
21. KUPA MYŚLI
22. BUFAN
23. BRAT GRATA

24. ORGAZM JĘDZY I ROZPACZY
26. PAN JAJECZNICA
27. MATEMATYCZKA PRZY TABLICY
28. TRZYMA WŁADZĘ W PRZEDSZKOLU
29. STOPA OD TYŁU
30. CHOROBA PRZODKA

Nagrodą w tym tygodniu jest książka

„Jak najazdy barbarzyńców ukształtowały współczesny świat” autor Thomas J. Craughwell, wyd. PWN



Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 14”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 14 kwietnia 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 11

Bernadeta Kolodziejczak, Zary; Tadeusz Dulowski, Trzebinia; Danuta Klepińska, Toruń; Maciej Mytnik, Łysa Góra; Joanna Kucharzka, Słupsk; Kazimierz Trochim, Mieszkowice; Maria Dziamba, Tarnobrzeg; Inga Chlewicka, Warszawa; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Edward Chojnacki, Poznań

ROZWIĄZANIE Z NR. 12

KRZYŻÓWKA: WYMARZONY URLOP

POZIOMO: 1. OPERACJA KOLANA – WYKOP 7. WIE, ŻE WSZYSTKO WIE – AROGANT 8. TAFLA NA KLAFLACH – BASEN 9. EKS PAN KLEKS – INKAUST 10. NA KRZYWY RYJ – GRYMAS 14. TAŚMA, CO JĄ STAŚ MA – TROK 16. RĄBIE DRZEWA – PIORUN 17. CIĄGNIĘ SIĘ W OGONIE – RZEP 18. MA SAME GRUBE – KASA 20. ŁUK HEROSA – TRIUMF 25. NIESTRZĘŻONEGO PAN BÓG STRZEŻE – PARKING 31. ZE SPALONEGO TEATRU – ZGLISZCZA 32. DZIKI W KŁATCE – LOKATOR 33. PILNUJE TWOJEGO NOSA – DOZORCA 34. RZADSZE W GÓRACH NIŻ NAD MORZEM – POWIETRZE 35. DŹWIĘKI DESZCZOWEJ PIOSENKI – CHLUPOT 36. POPRAWI BLENDY – KOREKTA

PIONOWO: 1. LWIA CZĘŚĆ – WYBIEG 2. CIĘTE, GDY ROSNĄ – KOSZYK 3. NAPAD PODCZAS NAPADU – PANIKA 4. MATKA DO TAŃCA I DO RÓŻAŃCA – POLKA 5. DRAPIEŻNIK NA BIEŻNIK – JAGUAR 6. OBERWAŁ BUTELKĄ NA CHRZCINACH – STATEK 11. LOKAL PRZED RESTAURACJĄ – RUINA 12. PSI UROK – MORDA 13. GDZIE RYM, GDZIE KRYM – SONET 14. KSIĄŻKI W WARSZAWIE – TARGI 15. OKURZA – OFERMA 18. SIŁA KRYSZTAŁU – KRZEPA 19. PIŚTOLET NA ŚLŪGĘ – SPLUWA 21. STAŁE W ŻELAZIE – RYCERZ 22. RYM DO CHODNIKA – UPADEK 23. NIE SKRYWA, ŻE SKRAWA – FREZER 24. TRZY, CZTERY: I JESZCZE JEDEN... – OSIEM 26. IZORBA – IGREK 27. ŁYSA GÓRA – GLACA 28. CIĘTA RIPOSTA INDIANINA – SKALP 29. OBIAD PO OPUSCZENIU ZAKOPANEGO – STYPA 30. KJĘ DO GOLFA – DRUTY

Kociak tygodnia: Elisabeth, 18 lat. Interesuje się modą i matematyką. W wolnych chwilach lubi oglądać seriale. Fot. **Sonia Szóstak**

” Zając LUBI buraczki – takie jest zdanie kucharza. Stanisław Jerzy Lec



” Współczesne suknie są jak drut kolczasty: chronią teren, lecz pozwalają go obejrzeć. Danny Kaye



Szarmantkie ssaki

Na co napina dżentelmen?

Elegancki zyciorys to wielki przywilej, ale jeszcze nie gwarancja wszelkiej pomyślności. Nawet dżentelmen o pierwszorzędnym talencie i tak urozmaiconym usposobieniu, że aż żal by to zmarnować, pewnego dnia może odkryć, że marne są jego dotychczasowe osiągnięcia. A wiadomo, że nie ma gorszego kanibala niż ludzka ambicja. Bywa, że człowiek nią zamroczony jak bezrefleksyjny popapraniec dąży do celu. Jednak dżentelmen nawet jak ma parcie, to nie napiera. Ma to na względzie, że jednym z naczelnych kanonów dobrego wychowania jest nie fatygować nikogo ponad miarę. Nie napina więc na friendów znanych tylko z widzenia lub z fejsbuka, by uzyskać protekcję. Spina się raczej, by jego wielkoformatowe uczynki same ściągały na niego glorię... i otacza się ludźmi, którzy glorię tę rozpoznają i sami z siebie chcą o niej szepnąć światu. → Ula Ryciak



FLUTEK



PRZEKRÓJ numer

Lista 500

Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się czym tak naprawdę jest dla największych polskich przedsiębiorców

W SPRZEDAŻY



Czytaj m.in.:

Relikwie na sprzedaż

Pamiętki po gwiazdach kosztują majątek

Garnitur szyty na miarę

Oto tajna broń współczesnego biznesmena

Marissa Mayer

Uratowała Google. Zarabia miliony dla Yahoo!

SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

www.sukcesmagazyn.pl



KRK

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza

OFF plus camERa

INTERNATIONAL FESTIVAL
OF INDEPENDENT CINEMA

12-21.04.2013
KRAKÓW



znajdź
nas na:



www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny:



Sponsorzy główni:



Mecenas:

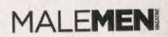


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.
Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy:



Patroni medialni:



Współorganizatorzy:



Stowarzyszenie Sztuki
Niezależnej i Nie Tylko
OFF CAMERA

